

Magdalena Orzeł

Urodzona w 1974 roku. Wolnomyślicielka, wegetarianka, nauczycielka etyki i języka polskiego. Zadebiutowała książką „Dublin moja polska karma” (zbiór opowiadań zbierający czteroletnie irlandzkie doświadczenie emigracyjne). Ukończyła polonistykę i filozofię na Uniwersytecie Warszawskim.

W książce „Dotyk gwiazdy” autorce udało się niełatwa sztuka; połączyła wciągającą akcję z mądrą refleksją i subtelnym liryzmem, siłę wyrazu z wyrafinowaniem. Powieść nie tylko intryguje fabułą, zachwyca niezwykłą atmosferą, ale też stawia pytania o siły kierujące ludzkimi decyzjami, o rolę przypadku i moc archetypicznych wyobrażeń.

Magdalena Orzeł

DOTYK GWIAZDY

Replika

Copyright © Magdalena Orzeł, 2011 Copyright © Wydawnictwo Replika, 2011

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja Alicja Danecka

Projekt okładki Iza Szewczyk

Zdjęcie na okładce Copyright©iStockphoto.com/TriggerPhoto

Skład Stanisław Tuchołka

Wydanie I ISBN 978-83-7674-092-8

Wydawnictwo Replika

ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo

tel./faks 61 868 25 37

replika@replika.eu

[www.replika.eu](http://www.replika.eu)

Druk i oprawa: WZDZ - Drukarnia „LEGA”

#

Oto świat, w którym żyją ludzie. Oswoiwszy nieznanne i dzikie ostępy, wyznaczają swoje mapy i granice niczym żywy krwiobieg większej całości. Oto proste domy

- w nich małe pomieszczenia, różne sprzęty i drobne przedmioty, a wszystko ma swój cel, który tylko przypadkiem nie jest osiągnięty. Takie przeznaczenie. Przedmioty nie potrafią mówić o swych prawdziwych zadaniach, bo ich najgłębszą istotą jest trwanie w ciszy.

Cisza przedmiotów jest ich wewnętrznym stanem, najgłębszą tkanką materii. Czasem wibruje ona w dłoniach mieszkańców, gdy z większą czułością trzymają kubek, pijąc z niego herbatę, lub upuszczają nóż, aby nie niszczyć jego spokoju zabójstwem. Stawiając zupełnie na stole, nie zdają sobie sprawy, iż w ciszy został on przemieniony, by nigdy nie użyto go jako młota rozbijającego dziecięcą czaszkę. Taki jest świat, w którym żyją ludzie

- miasto.

Ulice miasta utrzymują kroki mieszkańców w stałym rytmie równej powierzchni, aby mieli więcej czasu na swoje myśli o kłopotach. Mieszkańcy miasta to ludzie, którzy mają problemy, rozwiązują je i stwarzają na nowo.

5

Miejsce problemów jest w mieszkańcach i zawsze, gdy jakiś problem próbuje ulecieć z klatki, by rozplątać się nad cudownymi łąkami otaczającymi miasto, mieszkańcy mocniej ryglują drzwi swych umysłów, by zatrzymać przy sobie to, co z pewnością stanowi ich własność.

Ulice miasta wyznaczają drogi, po których poruszają się mieszkańcy. Na końcach dróg są śmiertelne miejsca docelowe. Widnieją dumnie i uroczyście, często przystrojone i ukwiecone niczym królewskie świątynie - miejsca docelowe - szpitale, biura, domy, puste bramy... Miejsca docelowe mają swoje nazwy, fałszywe szyldy, aby mieszkańcom zdawało się, że mogą wybierać, do czego chcą dojść: sukces zawodowy, rodzina, pasja, podróże, rozwój wewnętrzny, miłość, szczęście... Przechodząc przez bramę miejsca docelowego, mieszkańcy słyszą muzykę i anielskie śpiewy. Każdy chce szybko dojść do miejsca docelowego.

Wielu mieszkańców pracuje nad udoskonaleniem chodników wyznaczających drogi do miejsc docelowych. Starają się, żeby były równe i dobrze widoczne, by z nich nie zbaczać. Nie powinny też zatrzymywać uwagi idącego swym układem lub kolorystyką. Przepisy miasta wyraźnie mówią o zagrożeniach, jakie czyhają na każdego, kto zatrzyma się na drodze bez powodu. Można być potrąconym przez innego przechodnia, można stracić czas wyraźnie określony i przeznaczony na dotarcie do miejsca docelowego. Można wtedy, powiedzmy, spóźnić się na autobus, co będzie skutkowało lawiną przypadkowej konieczności. Jadąc samochodem, tym bardziej nie można się ot tak zatrzymywać w drodze. Każdy mieszkaniec wie, że grozi to utratą zdrowia, a nawet śmiercią.

6

Nikt z mieszkańców nie chce tracić zdrowia, nikt też nie chce umierać. Takie jest tam prawo.

Geneza tego prawa jest właściwie nieznana, prawo istnieje od dawna, wywodzi się z pierwszych dni, gdy powstawało miasto, więc nikt jego początków nie pamięta i nikt nie rozumie.

Mieszkańcy miasta są ciekawi pierwszych dni powstawania ich aglomeracji - ale, ale; może, może; tak, tak; nie, nie; chyba, chyba - to właściwie wszystko, co mówią na temat tego początku.

Tak więc, mieszkańcy miasta chodzą, biegają, stąpają po swoich drogach zawsze w kierunkach miejsc docelowych. Miejsc docelowych jest tysiąc i jeden, ale mieszkańcy nigdy nie wymieniają ich sumy, zawsze poprzestają na działaniu. Mieszkańcy miasta są mistrzami w matematyce, ale nie w tej starożytnej, która podawała wyniki. Kultuwują matematykę nowoczesną, która - dochodząc do wyniku podaje go najwyżej w przybliżeniu. Jest to prosta ekonomia postępu naukowego. Zawsze łatwiej w razie pewnych okoliczności zmienić wynik podany w przybliżeniu niż zmagać się z prawdą ogłoszoną dawno temu i tylko raz, że  $2 + 2 = 4$ .

Miejsc docelowych jest tysiąc i jeden, dróg prowadzących milion i jeden, mieszkańców miliard i jeden. Tak więc wystarczy iść miejskim chodnikiem lub jechać miejską drogą, aby dotrzeć do miejsca docelowego -jednego z wielu - i usłyszeć anielski śpiew spełnienia. Tylko miasto jest jedno.

Poza granicami miasta są łąki. Nie wiadomo, co było pierwsze; łąki czy miasto. To znaczy - mieszkańcy mają wątpliwości, choć odpowiedź jest oczywista. Mieszkańcy

7

pytają też siebie nawzajem, co jest lepsze: łąka czy miasto. Teraz pytają wręcz, co jest dobre - łąka czy miasto. Mimo iż w mieście zimy są bardziej surowe, a lato duszne i bardziej gorące niż na łące, to i tak mieszkańcy wolą miasto. Są jego wynalazcami i budowniczymi. Miasto ich kocha, daje im też tysiąc i jeden miejsc docelowych, by wiedzieli, dokąd iść, i milion i jeden dróg, by zawsze do jakiegoś trafili.

Niedaleko miasta jest morze, a jego końca nie widać, choć mówi się, że gdzieś jest. Morze rozciąga się wszerek, wzdłuż i w głąb. Co jakiś czas ze swych czeluści wyrzuca skrzynie wypełnione złotymi monetami, martwe ryby i półżywe kraby, gloniste papiirusy, a nawet zamknięte przed wiekami w butelkach wskazówki, zapisane ludzkim językiem.

Najdalej są góry, dlatego też rzadko kto się tam zapuszcza. Pożądając nieba, próbują przebić się skałami na drugą stronę.

Pewnej nocy na niebie miasta pokazała się nieznana wcześniej gwiazda. Była wyraźnie widoczna i wyraźnie inna niż pozostałe. Niczym diament trzymany w palcach można ją było oglądać ze wszystkich stron. To bardzo dziwiło mieszkańców. Wieczorem niektórzy wyłączyli telewizory, odłożyli gazety i wyszli przed domy, by lepiej przyjrzeć się gwiazdzie. Gwiazda była po prostu piękna. Mieniła się, wirowała delikatnie wokół własnej osi,

8

świeciła wyjątkowo mocno, nie rozświetlając przy tym nieba. Gwiazda była zagadkowa.

Astronomowie z instytutu Opiszy Niebo skierowali w jej stronę wszystkie lunety. Radary same wystawiały swe uszy, a komputery powtarzały w pamięci programy do opisu nowych obiektów kosmicznych. Nic - cisza. Gwiazda była białą plamą dla lunet, radarów i komputerów. Oj, to już było zbyt dziwne.

W instytucie astronomicznym, po tygodniu bezskutecznie prowadzonych badań, dyrektor nakazał powrócić do poprzednich zajęć, obserwacji i analiz. Tak też uczyniono, skończyła się więc labia astronomów beczynnie siedzących przy biurkach.

Radio podało: „Zdaje się, że nad miastem świeci nowa, nieznana gwiazda”. W telewizji pokazano dokument o lądowaniu na Księżycu. Pokazano też widzom zdjęcia gwiazdy. Rzeczywiście przedstawiały gwiazdę widoczną na niebie.

Niezwykła, zadziwiająca i zagadkowa gwiazda została włączona w ciąg wydarzeń miasta. Szybko też weszła na stałe do słowników jako jeszcze jedno ze znaczeń słowa „diament”.

Miasto trwało, owinięte siecią swych dróg. Wabiło majestatycznymi świątyniami na ich końcach. Układało wszystko w porządku i harmonii, a mieszkańcy podążali do miejsc, z których dobiegały anielskie śpiewy. Miasto było wciąż królestwem autobusów i samochodów, metra i pociągów, chodników i ścieżek wiodących przez parki. Gwiazda podziwiała dziwną dla niej kompozycję komunikacyjną.

Mieszkańcy wchodzili i wychodzili, budowali i burzyli, opowiadali prawdziwe historie i kłamali, uruchamiali

9

krzesła elektryczne i rodzili dzieci. Gwiazda miała tylko jeden blask, by wyrazić swoje zdumienie.

Rośliny marzyły, by latać jak ptaki, ptaki pragnęły poznać dno morskie, ryby z zazdrością spoglądały na ssaki, które swym mlekiem karmiły młode, a zwierzęta dziwiły się, że nie potrafią mówić jak ludzie, ludzie natomiast zerkali na gwiazdę.

I wtedy gwiazda rzekła: „Niech, niech, niech!!!”. Mówiła tak po trzykroć i po milionkroć. I choć nie było to żadne zaklęcie, to i tak wielu zostało przemienionych. Choć gwieździe brakło mocy czynienia cudów, to i tak wielu martwych ożyło.

W tym momencie właśnie mały kamyk przydrożny podążył za mrówką. Wilgoć domu-kanalu przycupnęła zdumiona przy stopach Saszy, czule obejmującego swą ukochaną Glorię. Plastikowe, błyszczące oko misia z plecaczkiem, jadącego tramwajem razem z sześciolatkiem Wojtkiem, trzyletnią Marysią i ich mamą, odbija bezmiar duszy poważnego kontrolera biletów, duszy która mogłaby pomieścić wszystko. Wielu żywych umiera, na przykład tonąca od lat w depresji Bożena. Popiwszy środek nasenny, widzi swój krwiobieg, którym pędzą czerwone autobusy - do pętli, bo dzień się kończy, a jutro przyjeżdża papież i nikt nie idzie do pracy, nawet motorniczy. Dźwięki świata uderzają kulą armatnią uzdolnionego

muzycznie pośła Wiktora, requiem rozbrzmiewające w jego sercu nigdy nie zostanie

10

zagrane. Usta nieżyjącego od lat Sokratesa mówią do ludzi: „Nie pogadamy, bo mnie już nie ma”, a Kierkegaard się jeszcze nie narodził. Podstarzały Filip, od lat ćwiczący jogiczne postawy, uśmiechnął się niczym Budda. Małeńka nirwana, a myślał, że wybuchnie wulkan. Ręka Magdy uchyla okno: „leć motylku”, śpiewają jej myśli na pożegnanie. Noe wprowadza do arki pary zwierząt, zapomniawszy o jednorożycy i jej mężu, nie przyjmuje pocieszeń anioła, mówiącego, że znajdą miejsce w legendzie. Nóż przemieniony gniewem - zamiast kroić chleb - prowadzi oszalałą Klarę po mieszkaniu. Tysiące włosów na zdumionej głowie młodego księdza w jednej sekundzie zmienia swój kolor - z brązu w dostojne srebro. Przemienia się też jego serce. Karol pragnie przebaczenia - spowiada się psu. Gwiazda dostrzegła też to, co stało się nie po raz pierwszy. To Ewa wciąż wymyka się z rąk Adama, a Piotrek spotyka we śnie kobietę-kota i nie chce się budzić. Topi się krem na torcie truskawkowym, zaczynamy już te urodziny!

@

- Klara, nie masz czegoś? Można by przypalić...

Klara od razu pokazała dziewczynom małą torebeczkę z trawą, schowaną w pogniecionym pudełku po papierosach. Bożena popatrzyła niechętnie, ale też miała ochotę zapalić. Łatwiej się wtedy uśmiechać, bo od razu się rozluźniała i nie myślała ani o facetach, ani o kobietach, ani o swojej samotności. Magda chciała wyjść z knajpy i zapalić na zewnątrz, ale krótkie „przestań” Klary znaczyło, że zapalą zwyczajnie - w toalecie. Czego się bać? Wszyscy są pijani, sala wynajęta tylko dla nich, żadnych obcych, jest późno, bez przesady, parę machów i po sprawie.

- Ale jak wrócimy? Magda, będziesz prowadzić? Po trawie? Ja mogę wziąć taksówkę, ale co z twoim samochodem?

Bożena starała się zaplanować powrót do domu, zanim się upalą, upiją i zapomną o wszystkim.

- Bożena, przestań! Magda, zadzwonisz po Filipa? Przyjedzie po nas? Co?

Klara chciała od razu wszystko ustalić i mieć święty spokój. Zapalić, odurzyć się, nie myśleć, tylko patrzeć

12

na knajpiany teatr, który po trawie robi się z pewnością pasjonujący.

- Filip nie przyjedzie, jestem sama, pojechał na delegację. Też masz pomysły! Ze niby weźmie taksówkę, przyjedzie w środku nocy i będzie szoferem trzech pijanych i upalonych lasek. Absurd...

Magda oparła się o ścianę toalety, aby przytrzymać drzwi, które nie miały zamka, bo jednak lepiej, żeby nikt teraz nie wchodził, i pierwsza pociągnęła, zatrzymując w płucach dym jak najdłużej.

- Przecież kiedyś po nas przyjeżdżał. O co ci chodzi? Do cholery, na pewno by teraz nie przyjechał! Po tym,

co mu powiedziała? Pierwszy raz rozstali się w milczeniu, bez sensu, a ona i tak nie odważyła się powiedzieć mu tego, co chciała. Idiotka, teraz jest jeszcze bardziej bez sensu.

Magda patrzyła na Klarę, której twarz była niezwykle pogodna, naprawdę śliczna z lekko zadartym noskiem. Działanie trawy, czy ona po prostu taka jest? Radosna i niewinna, miła, ładna z tymi białymi włosami i opaloną delikatnie twarzą, z błękitnymi oczami przymrużonymi przy każdym uśmiechu.

- Bożena? I jak? - Klara podszczypywała Bożenę, śmiejąc się bardzo głośno. - Jest nieźle? Jest bardzo dobrze?

Bożena nie miała takiej twarzy jak Klara, nawet po trawie nigdy nie była pogodna, co najwyżej jej oczy robiły się bardziej szkliste, a zmarszczki w kącikach odrobinę się wygładzały.

- Chyba coś by się zjadło...

13

Bożena od razu poczuła apetyt, a przez jej język, zęby i gardło przebiegła pieśń kubków smakowych, które potrzebowały nut, by dać zadziwiający koncert. Bożena wyszła już z toalety i lekko uśmiechnięta szła w stronę stołu. Rozejrzała się po pięknej i niezwykle barwnej sali, wypełnionej muzyką i ludźmi harmonijnie i miarowo wykonującymi swoje gesty, miny i kroki. Cudownie wyodrębniała pojedyncze dźwięki i wpuszczała je do swojej głowy. Wszyscy znani jej z poprzedniej pracy lektorzy, angiści, germaniści, iberyści i native speakerzy wyglądali wspaniale, ale najwspanialsza była ona. W bańce z marihuany otaczającej jej ciało czuła się bezpiecznie. Świat pytań nie był groźny, stał się śmieszny. Jej życie było życiem, a nie szukaniem sensu.

Podchodząc do stołu, przez chwilę zaniepokoiła się, że zaraz wszyscy poznają, że jest mocno upalona, i zaczną rzucać bańką osłaniającą jej ciało jak piłką plażową i wołać: „Hej, Bożena”, „Znamy cię na wylot”, „Jesteś goła”, „Jesteś sama”, „Bożena, co męża nie ma”, „Bożena”, „Bożena”, „Bożena”. Czuła silne zawroty głowy, to od tego rzucania. „Przestańcie mną grać!” Zawroty stawały się tak przykre, że idąc do stolika, musiała oprzeć się o ramię czarnego Dave'a, a ten, uśmiechając się, dał jej odczuć, że wie, że jest upalona i do tego strasznie głupia. Po co on się tak uśmiecha?

Również z jej twarzy nie schodził uśmiech, wrysował się w mięśnie jak na rozkaz. Bańka bezpieczeństwa ponownie otuliła ją niczym pianka chroniąca przed lodowatą wodą. Lęk przed rozpoznaniem zacisnął mocniej wargi, a strach przed obnażeniem przymrużył oczy. Paraliżująca myśl, że inni mogliby ujrzeć jej smutek, rozpacz,

14

a właściwie beznadzieję - odpłynęła, by przycupnąć w cieniu upalonych pomysłów.

Bożena zerknęła ze swego miejsca na drzwi toalety, ale Klara i Magda jeszcze nie wyszły. Jak zwykle mają jakieś swoje sprawy. Lata studiów je zbliżyły, wspólne imprezy i Bóg wie, jakie jeszcze szaleństwa, o których dużo się wtedy plotkowało. Bożena unikała takiego studenckiego życia, wołała się uczyć. Teraz

Bożena jest trochę na doczepkę, właściwie tylko jako koleżanka z byłej pracy. Zaraz po maturze starała się zbliżyć do Klary, zdawało się nawet, że coś z tego wyszło, że coś się wyjaśni, że niemożliwe jest możliwe, ale w końcu strach sparaliżował Bożenę tak bardzo, że odsunęła od siebie Klarę. Przeraziła się samej siebie i Klary, która bez najmniejszego lęku zaakceptowała ją wraz z jej homoseksualnymi skłonnościami.

Bożena tak bardzo się wtedy przestraszyła, że wyparła się swej tożsamości i wraz z odebraniem świadectwa maturalnego powzięła mocne postanowienie, że nie będzie lesbijką i że może się odkochać, a Klara nic dla niej nie znaczy. Tyle lat pracy nad sobą i nic się nie udało zmienić. Jej stłumiony homoseksualny duch skarłowaciał i wydał na świat potwora.

Bożena coraz bardziej zaczynała nienawidzić ludzi - po prostu. Teraz mogła już tylko marzyć o Klarze, jednocześnie starając się wyrzucić ją ze swojej głowy... Po krótkiej i intensywnej z nią przyjaźni, Klara zbliżyła się do Magdy. Klara i Magda - papużki nierozłączki - nawet po trawie wolą gadać i siedzieć same w kiblu, a jej po prostu chce się jeść. Szkoda, że firma nie funduje żadnych dań, tylko alkohol, napoje i jakieś nędzne paluszki czy

15

chipsy. Gdy ona zrobi imprezę dla swoich pracowników, na pewno zafunduje też jedzenie.

Bożena rozmarzyła się, myśląc, co by tu zjeść. Najlepiej, żeby było dużo drobnych rzeczy do smakowania, w różnych kształtach, o zwartej konsystencji, pięknie kolorowych, niektóre powinny być gorące, a niektóre zimne jak lody. Chór kubków smakowych Bożeny żałośnie zawodził, śledząc jej wizję wspaniałego dania. Szybko poprosiła o menu. Jakie to proste, wystarczy wybrać. Wystarczy poczuć apetyt, mieć ochotę, przejrzeć kartę, wybrać i już można się delektować, no... jeszcze tylko trzeba zapłacić. Gdyby tak można było wybierać spośród ludzi, dostać ich spis i pełen opis. Kim są, czego oczekują i jacy będą po latach, jak kochają, czy nie skrzywdzą Bożeny?

Zdecydowała, że zamówi rosół. Może to i banalny wybór, ale cudownie było pomyśleć o wielu drobnych kluseczkach i lekko słonawym smaku. A może znajdzie się też delikatna, mała marchewka... Rosół jest najlepszy. Bożena siedziała i siedziała, z coraz większym niepokojem patrząc na drzwi łazienki, z której jeszcze nie wyszły dziewczyny. Przesadzają.

Magda nie za bardzo chciała wychodzić, tu było wszystko, co potrzebne; uśmiechnięta Klara i pustka w głowie, trochę drwiny od czasu do czasu. Pustka w głowie była pozorna, wciąż miała przed oczami Filipa, z którego opada cała pewność, który patrzy na nią tak, jakby zobaczył ją po raz pierwszy.

Po co ona mu to właściwie powiedziała? To było idiotycznie głupie, a on od razu uwierzył, czuła to. Przyjął, zamknął w sobie... Teraz pewnie myśli, co było nie

16

tak, czego nie zrobił, albo może, czy z nią jest coś nie w porządku. Jak to możliwe, że powiedziała mu to tak szybko? Nagle, bo właściwie nie planowała tego. Ale że on od razu uwierzył, chyba musiał coś

podejrzewać. Jej jedyny przyjaciel, ukochany mężczyzna, po raz kolejny nie dowiedział się o Bartoszu. Magda coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że jest żałosna, a ich ślub nie ma najmniejszego sensu. Pociągnęła duszący dym... Niech uśpi te głosy. Na razie i tak nic nie zmieni.

- Kiedy Filip wraca?

Klara wyrwała ją z rozmyślań.

- W piątek. Mam nadzieję, że zdąży na imprezę u Gawronów, cały tydzień będę sama. Chcesz u mnie nocować?

Magda zadała to pytanie z przyzwyczajenia, bo studiując razem, często u siebie nocowały. Klara była wtedy spokojniejsza, zupełnie inna niż teraz, dużo czytała, uczyła się, naprawdę lubiła się uczyć, świetnie tłumaczyła - z wycuciem, lekko i szybko. Już na trzecim roku zaczęła pracować jako lektor i załatwiła Magdzie pracę w tej prywatnej szkole, chyba najlepszej teraz w mieście - Języki Obce w Biznesie.

Po dyplomie Klara poznała swego obecnego szefa, którego jest teraz asystentką. Chyba coś między nimi było, na samym początku, bo parę razy pokazywali się razem, ale skończyło się. Klara zawsze wszystko szybko kończyła, raczej niepotrzebnie..., że ją zdradził, cóż...

Teraz Klara codziennie paliła trawę i zawodowo asystowała byłemu partnerowi. Niby nic, a jednak. Miała wielu facetów, same nieudane sprawy. Sporo płaczu, żal. Teraz wołała swoją trawę.

17

Magda wiedziała, że nie kończy się na trawie, ale nie chciała o tym rozmawiać z Klarą. Miała swoje sprawy, ślub za miesiąc. Czuła, że Klara jej tego zazdrości, że Filip i jej się zawsze podobał. Poznali go przecież razem. Pozował Adamowi do jakiegoś obrazu, nawet nie pamiętała teraz, co to było. W każdym razie, Filip był wtedy na piątym roku psychologii i filozofii. Świetnie wyglądał - wtedy jeszcze nosił długie włosy.

Adam usadził go na starej wersalce w swojej kawalerce, a one we dwie siedziały pod ścianą i chociaż Adam prosił je, by już poszły, bo chce się skupić i malować, to one siedziały i patrzyły na nieruchomo pozującego Filipa.

- Filip, nie przeszkadza ci, że dziewczyny tu sobie posiedzą? Sam widzisz...

Filip spojrział na nie. Magda doskonale pamiętała, jak zatrzymał na niej wzrok, z hipnotyzującą siłą, ale ona wcale się tym nie spieszyła i mimo że go w ogóle nie znała, odwzajemniła to spojrzenie.

- Patrz tak, Filip. - Adam od razu coś spostrzegł, chciał mieć to niezwykle spojrzenie na obrazie. Ciekawe, czy ma ten obraz, czy może ktoś go kupić? Filip na zielonej wersalce w dżinsach, bez koszuli, z pięknym chińskim wachlarzem, mieniącym się od cekinów i czerwonych smoków.

Lepiej, żeby Klara nie zostawała u niej na noc. Po co? Przecież nie będą rozmawiały tak szczerze jak



kiedyś. Za dużo teraz mają tajemnic, problemów. A Magda nie miała odwagi wspominać Bartosza, nie chciała wypuszczać stłumionej tajemnicy. Klara też pewnie nie miałaby ochoty udawać, że wcale nie bierze różnych prochów, że tylko czasem pali trawę.

18

-Jutro muszę iść do lekarza... rozumiesz...

- Coś ci jest?

- Oj, nie wiem. - Klara zaśmiała się. - Coś mi się rozregulowało, okres jakoś albo za często, albo wcale, coś mnie boli, nie wiem, hormony mi pewnie wariują.

Magda zatęskniła nagle do bliskości, jaka była kiedyś między nią i Klarą. Chciałaby jej wszystko opowiedzieć, poradzić się, popłakać sobie. Powiedzieć jej: „Mogę z tobą iść, znam fajną ginekolog, spędzimy razem dzień, pogadamy, co?” Już się tak nie da. Kiedyś były takie podobne do siebie, a teraz są zupełnie różne. Oddaliły się. Magda ma Filipa, a Klara tych różnych facetów. Trudno to połączyć.

- Wyjdźmy już z tego kibla! - Klara rzuciła to szybko, na wszelki wypadek ucinając możliwą rozmowę.

Magda dobrze pamiętała tamten koncert, ile to już lat, to wtedy ich drogi zaczęły się rozchodzić. Przed koncertem wino, koniecznie czerwone, piły u Klary. Potem jakieś drinki w klubie i rozglądanie się po sali, która stopniowo napełniała się ludźmi - wypatrywanie znajomych i nowych twarzy. Tym razem Magda chciała kogoś poznać. Zwyczajnie chciała się zakochać i mieć chłopaka. Od matury i jej pierwszej niewinnej miłości minęły trzy lata. No i... nawet Klarze o tym nigdy nie mówiła - wciąż była dziewicą. Dlaczego tak jej to ciążyło? Dlaczego żadnym sposobem nie mogła sobie poradzić z wszechotaczającą presją? Miała wrażenie, że na imprezach o niczym innym

19

się nie mówiło i o niczym innym nie plotkowało. Było jej tym ciężiej, że Klara miała tak bogate doświadczenia. Ile było w tym prawdy, nigdy się nie dowiedziała, pewna była natomiast swoboda Klary i jej lekkie podejście do spraw damsko-męskich.

Magda nie czuła wtedy braku mężczyzny jako towarzysza życia, jako drugiej połówki czy przyjaciel-la-kochanka. Miała Klarę, a intensywność przyjaźni z nią była tak duża, że naprawdę nie starczało miejsca na kogoś innego. Z Klarą studiowała i razem się uczyły, chodziły do czytelni i na te same wykłady, miały wspólne grono znajomych i gdyby jeszcze razem mieszkały, to naprawdę stanowiłyby nierozzerwalny damski team, małżeństwo. Bez seksu, ale też ona, Magda, jakby w ogóle go nie pragnęła.

To, czego pragnęła, to zwyczajna wiedza, jak to jest. Chciała wiedzieć, musiała tego doświadczyć. Chyba wciąż czuła się seksualnie małą dziewczynką, której wyobraźnia sięgała co najwyżej namiętych pocałunków i niewinnych pieszczot, będących niczym więcej jak tylko przytulaniem bez ubrań. A dalej była już granica, której nigdy nie przekroczyła, choć coraz wyraźniej zaczęła czuć, że przekroczyć

powinna.

Klara nigdy nie podejrzewała, że jej piękna koleżanka nigdy nie spała z żadnym mężczyzną. Jak to, a ten chłopak z liceum? Przecież i teraz czasem się spotykali, choć nie byli już razem, to przecież z pewnością jeszcze nie raz zdarzało im się zwyczajnie zapomnieć.

Klara uwielbiała zapominać się, oddawać gorącemu pożądaniu, które potem nazywała zwykłą chemią. Zawsze myślała, że tak się dzieje ze wszystkimi, że każdy

20

reaguje tak jak ona. Stąd też jej strach przed jakimkolwiek prawdziwym związkiem. Była pewna, że niemożliwe jest trwanie w uczuciu do jednej osoby, bo co z chemią, która wybucha, kiedy chce, bez uprzedzenia. Po co więc udawać, że można być sobie wiernym i kochać się tak samo intensywnie przez lata.

Magda myślała zupełnie inaczej. Choć nigdy nie doświadczyła tej chemii, o której wiele mówiła Klara, to wiedziała, że jeśli już kiedyś coś porwie jej zmysły i odurzy ją pożądanie, to jego siła będzie tak wielka, że z pewnością nie będzie w stanie powtórzyć tej intensywności z kimś innym. Stąd właśnie myślenie o wierności, związku i małżeństwie było dla niej naturalne.

Jednak wtedy Magda zdecydowała, że musi kogoś poznać i w końcu iść z kimś do łóżka. Dlaczego? Nie była to jej autentyczna potrzeba, z presją otoczenia też jakoś sobie radziła, kamuflując się i roztaczając wokół siebie nimb tajemniczości, który mógł przecież kryć bogate życie erotyczne. Postanowiła to zrobić dla Klary. Chciała zbliżyć się do niej, doświadczyć tego, o czym ona wiedziała tak dużo, chciała być taka jak ona, bo ją po prostu uwielbiała.

Tego dnia dziewczyny wybrały się na koncert Basów. Dwóch basistów, wokalista z gitarą - Bartosz - kultowy Bartosz i perkusja. Proste, snobistyczne brzmienia, świetne teksty Bartosza i ich ulubione wiersze z muzyczną basową oprawą i niskim głosem wokalisty.

„Dwunastu braci wierząc w sny, zbałało mur od marzeń strony, a poza murem płakał głos, dziewczęcy głos zaprzepaszczoney... O, prędzej skruszmy zimny głaz, nim

21

śmierć Dziewczynę rdzą powlecze! Tak, waląc w mur, dwunasty brat do jedenastu innych rzecze..."

To był ich ulubiony wiersz, staromodnie rytmiczny dawał się wspólnie recytować i wyśpiewywać, jednoczył je w ich dziewczęcości. Klara i Magdalena - odwieczna dziewczyna.

Bartosz wszedł na scenę ostatni, w lekko zblazowany sposób droczył się z publicznością i nie chciał zacząć śpiewać. Nic nie robił sobie z gwizdów, dopiero, gdy publiczność sama zaczęła śpiewać, Bartosz, jakby znudzony, dołączył do niej i dalej już śpiewał sam.

Dziewczyny szybko opuściły miejsce przy barze, z którego nie dość dobrze widziały muzyków, i podeszły

pod samą scenę. Początkowo Magda była lekko zażenowana, patrząc na Klarę i jej zmysłowy taniec u nóg Bartosza. Wyglądała niczym kurtyzana z haremu, pragnąca zwrócić na siebie uwagę swego pana, by zasłużyć na nagrodę. I tak jak zazwyczaj, początkowy niesmak Magdy zaczynał przemieniać się w pragnienie bycia taką jak Klara. Zdjęła więc gumkę z włosów i rozpuściła je, a ten gest dodał jej śmiałości, mogła już zacząć tańczyć, chwilowo nieporadnie naśladowując Klarę, by za moment wyczuć jej ruchy, oddać się rytmowi, upodobnić i być z nią w tańcu sam na sam, pomimo tłumy falującego tuż za nimi.

Scena była na wysokości ich twarzy, więc niezbyt dobrze widziały samego Bartosza, a bliskość głośników ogłuszała je tak, że tańczyły i śpiewały jakby poza tą muzyką i tym koncertem. „I runął mur tysiącem ech, wstrząsając wzgórze i doliny! Lecz poza murem - nic i nic! Ni żywej duszy, ni Dziewczyny! Niczych oczu ani

22

ust! I niczyjego w kwiatach losu! Bo to był głos i tylko - głos, i nic nie było oprócz głosu!"

W pewnym momencie Bartosz po prostu usiadł na scenie, zwiesiwszy nogi w dół, siedział blisko nich, trzymał mikrofon w ręce i wyraźnie na nie patrzył. Nie przerywały swego tańca, ale on przerwał swój śpiew. Tym milczeniem wszedł pomiędzy nie. Mogły go dotknąć. Zrobiły to. Dwie kurtyzany dotknęły jego nóg - patrząc sobie w oczy.

Magda zapomniała już o szukaniu chłopaka, patrzyła tylko na Klarę, a Klara zazdrośnie zerkała na Bartosza, który cały czas przyglądał się Magdzie. Magda zawsze skupiała na sobie męskie spojrzenia, tym intensywniej, im bardziej nie zdawała sobie sprawy z tego, jak jest piękna, pociągająca i niewinna jednocześnie.

- Po koncercie idziemy do nich za scenę - Klara wykrzychała Magdzie do ucha, próbując przedrzeć się przez ogłuszający jazgot gitar.

- Po co? Nie chcę! - Magda czegoś się przestraszyła. Przecież to są dużo starsi mężczyźni, Bartosz ma żonę, dzieci, bez sensu...

- Po autografy, a co ty myślałaś!

Nic. Bardziej chyba wyczuła, że chwilowa bliskość Bartosza może wyzwolić w Klarze pokusę.

Jeszcze trochę tańca, jakieś bisy i już Klara pociągnęła Magdę za rękę. Dziewczyny znały drogę do garderoby. Po schodkach na górę, tam można było pójść i poprosić gwiazdę o rozmowę, wywiad, zdjęcie. Zawsze po koncertach młode fanki ustawiały się i czekały aż ta czy inna gwiazda zaprosi je do środka. Klara i Magda podśmiewały się z takich zachowań i nie wyobrażały sobie

23

siebie w takiej sytuacji. Nie rozumiały, jakie motywy trzeba mieć, by prosić jakąś sławną osobę o autograf. Stać w rzędku i udawać normalne rozmowy, a w środku pisać z radochy. Czy trzeba mieć duszę kolekcjonera? Nie, raczej naiwną wiarę, że gwiazda spojrzy w sposób szczególny, wyróżni

uściskiem dłoni, wpisaniem fajnej dedykacji, tak by później każda słuchana piosenka zdawała się być tą powstałą tylko dla tego fana, jakby był jedynym odbiorcą na świecie, a nie zwykłym płatnikiem, który kupując płyty i chodząc na koncerty, daje gwiazdzie pieniądze na życie.

Ale dzisiaj Klara zawiesiła swoje ironiczne postrzeżenie klubowych gwiazdorów. Nie były pierwsze na górze, dołączyły do innych dziewczyn wyczekujących na schodkach. Stojący niedaleko ochroniarz dał się wciągnąć w rozmowę. Zdradził im, że zespół sporo pił przed koncertem, a teraz catering przywiózł im jakieś jedzenie, no i dlatego trzeba czekać. Więc czekały...

- Klara, po co nam te autografy? Przecież nigdy cię nie kręciły takie klimaty. Jedźmy do domu, zdążymy na ostatni autobus.

Ale Klara uparła się, a nawet szybko zbudowała nową ideologię dla swej decyzji, że trzeba się czasem wyłamać nie tylko z tego, co ktoś ci narzuca, ale przede wszystkim z tego, co sobie sama narzucasz.

Drzwi do garderoby uchyliły się, nadeszła ich kolej. „Wejźcie”, dobiegło ze środka, więc weszły. W garderobie było o wiele jaśniej niż w samym klubie, gdzie przeważnie królowało przytłumione kameralne oświetlenie. Jasność pomieszczenia od razu nadała spotkaniu inny

24

charakter, żadnej gry, żadnej pozy - spotkanie w pełnym świetle. Pełne światło od razu wiele wyjaśniło.

Basy był to zespół panów po czterdziestce, których rockandrollowe życie zbyt wyraźnie postarzało ich twarze. Kilka skórzanych foteli, szklana ława, a na niej resztki jedzenia na wynos, w tym uderzająco pospolite pierogi, sprowadziły gwiazdy do ich zwykłego człowieczeństwa, z żołądkiem, trzewiami, a nie tylko z demonicznym głosem i metafizycznym klimatem koncertów. Alkohol - piwo i drinki - papierosy, zapachy kwaśne i duszne, męskie perfumy w nadmiarze i kilka pustych krzesel. Na ścianie lustro, które odbiło twarze Magdy i Klary, dziewczęce, młode, bo już dawno wyparował z nich wypity alkohol, a zespół pił cały czas, podtrzymując chemicznie swój luz i przekrwienie oczu.

Klara śmiało podeszła bliżej i usiadła na kanapie obok Bartosza. Jak zwykle naturalnie, ale też intrygująco, zaczęła rozmowę, że nie przyszła po zwykły autograf, że chce się dowiedzieć o nich czegoś prawdziwego, że interesują ją jako ludzie. Spytała też Bartosza o jego dzieci. Chłopczyk i dziewczynka? Prawda? Bartosz, opowiadając o dzieciach, zdawał się mniej gwiazdorski, bardziej normalny, ale połyskujący modny garnitur i świetnie przycięta grzywka dekadenco opadająca na jedno oko, zdradzały jego przyczajoną i gotową do skoku powierzchowność. Nie chciał rozmawiać o dzieciach, nie dawał się podejść, nie wpuszczał Klary w swój osobny, rodzinny świat. Teraz był gwiazdą i tylko tę rolę chciał odgrywać.

Magda stała obok drzwi, jakby nie mogła się zdecydować, czy zaistnieć na tej garderobianej scenie, w tym spektaklu o scenariuszu aż nazbyt oczywistym.

25

- A ty też nie chcesz autografu?

Bartosz wychylił się zza ławy i skierował swe pytanie wprost w oczy Magdy, która, mimo że speszona, zrobiła jednak krok do przodu.

- Nie, nie, ja tylko tak, z koleżanką, dla towarzystwa... - Męskie śmiechy zamiast pohamować jej tłumaczenie, prowokowały ją tylko dalej. - Ale właściwie czemu nie, jeśli można, to tak, poproszę o pana autograf.

Sięgnęła do małej torebki w poszukiwaniu jakiejś kartki. Co za bezsens: stary bilet autobusowy, portfel, legitymacja studencka, gumy do żucia, chusteczki, żadnej kartki.

- Proszę! - Bartosz wstał i podał jej kawałek papieru, nawet nie spojrzęła, co tam dla niej napisał.

- Dobra, dziewczyny, trzymajcie się, przed nami długa droga, kierowca też jest zmęczony, a jeszcze musimy zapakować sprzęt.

Jak to? Już? Tak po prostu chcieli je spławić? Jechać do swych domów, czy dalej w trasę, a może gdzieś do hotelu?

Klara próbowała ich jakoś zatrzymać. Narzekała, że się nie wybawiła, i kiedy przyjadą znowu, i żeby ostrzej grali, więcej hardcoru, mówiła i gładziła włosy, i że właściwie to tak, ona też chce autograf, ale nie na papierze. Odchyliła bluzkę i podsunęła Bartoszewi nagie ramię. Wtedy Magda złapała ją za drugie, by nie pozwolić jej przedłużyć momentu wyjścia, jednak spojrzenie Klary zmroziło ją. Telepatycznie usłyszała, jak mówi: „Nie wtrącaj się”.

Udało się, były już za drzwiami, niestety ostatni autobus odjechał, a szkoda pieniędzy na taksówkę.  
Magda

26

rozważała w myślach, jak najlepiej wrócić do domu. Klara pewnie będzie dzisiaj u niej nocowała, to nie tak daleko stąd, można by po prostu iść na piechotę.

- Mam go, mam, widziałaś? - Klara prężyła swe ramię, pokazując Magdzie zamaszyste litery tworzące słowo Bartosz.

- Nie wiedziałam, że tak ci zależało na tym autografie.

- Przestań, nie o to chodzi. Jak ty nic nie czujesz! On jest naprawdę świetny, mogłabym się w nim zakochać albo chociaż raz zaszaleć, wyjechać gdzieś razem, potańczyć. - Klara rozmarzała się w znany Magdzie sposób.

- Przecież on ma żonę, rodzinę, i czy nie jest za stary, Klara? - Próbowała ją jakoś otrzeźwić, pokazać niewidoczną rzeczywistość.

- Przestań, przecież ty nic nie czujesz, tylko analizujesz, przestań, właściwie to przez ciebie musiałyśmy

wyjsć. - Klara była podpiła, drink, który szybko wypła w garderobie, okazał się czystą wódką i teraz mieszał jej słowa, myśli i kroki. - Zamiast wejść, usiąść, porozmawiać, przecież to są normalni ludzie, normalni faceci, czy nie widziałaś, jak ten basista na ciebie patrzył, nie wiem, jak ma na imię, w tej białej koszuli. Czy ty zawsze musisz być taka sztywna? Przestań już mnie podtrzymywać, przecież idę normalnie.

Magdzie było przykro, ciężko, i nie wiadomo, jak to wszystko mogłoby się skończyć, gdyby nie wyszły. Dla niej to nie byli normalni ludzie, mężczyźni. Byli starzy i pijani, dalecy i obcy w tej garderobie, z normalnymi słowami na ustach, które zdawały się bliskie, tylko wtedy gdy śpiewali ulubioną piosenkę. Ale Klara ma rację, Magda jest sztywna, zawsze taka była, chłodna, do bólu

27

analityczna, przewidująca i wstrzemięźliwa. Czuła, że to ją ogranicza, choć na pewno chroni, to również zatrzymuje i nie pozwala iść naprzód.

Chłód zimowej nocy uspokajał je. Szły oddzielnie, skupiając się na krokach, pierwszych krokach na świeżo spadłym śniegu. Było pięknie, pusto i jasno. Magia zimowej bezwietrznej nocy - świetlista ciemność i rozgrzewający chłód.

W domu Magdy dziewczyny usiadły obok siebie na dużym materacu. Klara włączyła jakąś muzykę, było bezpiecznie. Kartka, pospiesznie przez Bartosza wyrwana z notesu, niecierpliwiła się, leżąc złożona w pół w małej torebce Magdy. Ta historia nie może się tak zwyczajnie skończyć. Dziewczyny nie mogą jeszcze iść spać, by zbudzić się następnego dnia, pojechać na zajęcia i szczęśliwie żyć dalej. Szereg liter i cyfr na kartce od Bartosza nie może zostać nieodczytany i niewykorzystany. Gdyby Magda sięgnęła po tę kartkę jutro, pojutrze, pewnie nic już by się nie stało. A jednak stało się coś i właśnie się dzieje, i za moment Magda sięgnie do swojej torebki po papierosy.

- Co ci napisał? - Klara wychyliła się przez ramię koleżanki, by zerknąć na autograf Bartosza.

- Co? Zostawił ci swój numer? Ale szok! Zajebicie! Gdyby Klara się tak nie cieszyła, nie emocjonowała, nie nakręcała. Gdyby, gdyby, gdyby... Palce Klary zaczęły wystukiwać szereg cyfr na klawiaturze telefonu...

- Dobry wieczór, Bartoszu, a może lepiej będzie powiedzieć, dzień dobry, przecież jest już dawno po północy. Mówi dziewczyna z tatuażem. Z twoim imieniem na ramieniu. Cóż, tak...

- Gdzie jesteś? - Głos Bartosza w telefonie był niecierpliwy.

- U Magdy, tak, tej samej, z którą byłam na waszym koncercie, u niej w domu. Adres?

Magda przeczącym ruchem głowy dawała znać Klarze, żeby nic już nie mówiła, że nie chce tu ich widzieć. Klara jednak zerknęła na nią znacząco, dając do zrozumienia, że i tak zrobi, co zechce.

-Jasna 7, mieszkania 25, druga klatka, pierwsze piętro.

Jeszcze kilka słów, zalotny śmiech, Magda schowała twarz w dłoniach, koniec rozmowy. Klara bez żadnych tłumaczeń poszła do kuchni, zrobiła kawę, a znalazłszy wino, nalała sobie i Magdzie.

- Wypij, nie będziesz taka spięta. - Podała jej pełen kieliszek.

- Nie jestem. - Magdę irytowało, że Klara tak dobrze wyczuwa jej niepokoje. - Po prostu jestem zmęczona, a ty zapraszasz tu jakiś starych facetów. I o czym my będziemy z nimi rozmawiać? Żenada, dwie studentki i panowie po czterdziestce... Nie widzisz, o co tu naprawdę chodzi?

Klara, chowając swą twarz za szkłem kieliszka, uśmiechała się tajemniczo.

- To oni będą z nami rozmawiać, my się po prostu zabawimy, poza tym, Magda, przecież to są Basy. Basy i Bartosz! Przepuścić taką okazję? Nasze życie może się teraz zmienić, jakieś nowe znajomości, przypuszczałaś kiedyś, że sam Bartosz przyjedzie do ciebie, i że może coś z tego będzie. - Klara nakręcała się coraz bardziej. - O co tu chodzi? Wiadomo, że im chodzi o seks. Zresztą mi też, bo od tego się zaczyna, możesz sobie owinąć każdego

29

faceta wokół palca. Przestań zgrywać niewiniątko. Zabawimy się po prostu, z gwiazdą, z prawdziwą gwiazdą.

Klara przytuliła się do Magdy, rozmarzyła się, piła wino i upijała się. Magda musiała iść do łazienki, bolał ją brzuch, zaczynała pulsować głowa. Stres nie pozwalał się jej upić. Coś przebiegało przez głowę. Może przyznać się Klarze, że jest dziewicą, że się ich boi, że są za starzy.

Przyjechali. Dzwonek domofonu. Pisk Klary. Szczery pisk radości, więc będzie fajnie. Po prostu wpadają znajomi, spontaniczna imprezka. Tak, będzie fajnie. Nastrój Klary powoli udzielał się Magdzie, alkohol roztopiał trzeźwe myśli. Musi być fajnie.

Zachowywali się rzeczywiście jak starzy znajomi, cześć dziewczyny, cześć, czego słuchacie, hmm, dobra, dobra, fajne mieszkanie. Wino kolejne, śmiech z głębi wnętrza po zapaleniu marihuany, starzy znajomi, muzyka, można tańczyć, dobrze jest tańczyć, opierać zmęczone ramiona na nim. Na kim?

Magda nawet się nie zorientowała, kiedy znalazła się w objęciach jednego z basistów, tego w białej koszuli, Paweł, aha. Klara siedziała z Bartoszem na kanapie, było sympatycznie, lekko. Zauważyła, że on przygląda się Magdzie - znowu. Zrozumiała, że przyszedł tu dla niej. Tym bardziej zaczęła go pragnąć, jej dłoń wsunęła się przez rozchylony kołnierzyk koszuli, zsunęła po obojczyku lekko w dół, by zatrzymać się w oczekiwaniu jego ruchu. Bartosz zwrócił swą głowę w jej stronę i mocno ! pocałował. Muzyka brzmiała coraz bardziej transowo. . Ktoś zgasił światło, w mieszkaniu migały tylko świa-tekka radia, skacząc rytmicznie wraz z dynamiką basów. Przez okno wpadały refleksy latarni i pobliskiej reklamy.

Bartosz, Paweł i ten trzeci, Klara i Magda, razem ni to tańczyli, ni to trwali w jakimś uścisku na środku pokoju, oddając się muzyce i nie wiadomo czemu.

I to właśnie wspomnienie uderzyło teraz Magdę, gdy po latach uświadomiła sobie, że między nią a Klarą

nie ma już bliskości i nigdy już nie będzie. Opierała się o ścianę toalety, odpychała od siebie Klarę, nie dość zdecydowanie jednak. Nie udawało się jej odgonić ani koleżanki, ani natarczywie pulsujących wspomnień.

Jak to się stało, że cała piątka wylądowała na materacu? Jak to możliwe, że Magda jakby zapomniała, że jest dziewicą, że ma jakieś wahania? Czy naprawdę ta orgia-styczna piątka to zwykły sex, drugs and rock'n'roll? Czy stało się to tak zwyczajnie, siłą rozpędu? Jakieś perpetuum mobile damsko-męskich wytańczonych uścisków, wymieszanie pościeli i zdzieranych ubrań, czyjeś nogi, ręce, oddech Klary, naturalny i namiętny. Oni. Magda i jej pierwszy seks z nim, z Bartoszem, z gwiazdą. Nie bolało, raczej jakby wcisnęło się w nią i gniotło jelita. Poczuła się jak pognieciony stary łąch. Jego orgazm zdziwił ją. Więc on czuł coś zupełnie innego niż ona? Dziwny dźwięk, jakby ktoś strzelał gumką. Bartosz zdjął prezerwatywę i rzucił za materac. Przytulił Magdę i sięgnął po papierosa. Muzyka huczała nerwowym transem, a kolejne odpalane papierosy zakończyły pościelowe zamieszanie. Co dalej?

Wspomnienie Magdy ożywało tym silniej, im mocniej pragnęła niczego nie pamiętać. „I była zgroza nagłych cisz! I była próżnia w całym niebie! A ty z tej próżni czemu drwisz, kiedy ta próżnia nie drwi z ciebie?” - piosenki Bartosza wciąż przypominały Magdzie tamtą noc.

31

Basy szybko się ubrali i zwyczajnie wyszli z mieszkania. Słychać było silnik ich samochodu, dźwięk ten oddalał się nieuchronnie, pozostawiając je same z bezładną materią zdarzenia, której musiały teraz nadać formę, którą musiały jakoś nazwać, określić, ocenić, oswoić.

Magda, leżąc naga pod kołdrą, milczała. To słowa Klary nadały wszystkiemu sens. Gdyby Magda zwyczajnie się rozplakała albo zaczęła krzyczeć... Mogła też piszczeć i rwać włosy z głowy, wywalić ubrania z szafy, rozpieprzyć półkę, drzeć książki, łamać płyty, demolować : i wrzeszczeć z głębi siebie - NIE. Wypluć ze swego pogniecionego wnętrza - NIE. Gdyby pozwoliła sobie na to wyraziste NIE, wtedy i aprobujące słowa Klary mogłyby mieć mniejszą siłę.

- Tak, tak, tak, zobaczysz, Madziu, będziemy to wspominać na starość, ale jazda, jesteś boska, Madziu.

Potężne NIE rozsadało Magdę. Nie mając ujścia, skondensowało się w jedną niezauważoną, a teraz już zapomnianą - łzę.

Teraz po latach wszystko zaczynało wypływać na powierzchnię, a obecność Klary przypominała Magdzie ! o dawnym gwałcie, który pozwoliła nazywać przygodą | erotyczną, namiętnością, romansiem z gwiazdą, najwspanialszą nocą. Nawet się wtedy nie umyła, tylko zasnęła brudna, obok Klary.

Klara szarpnęła ją mocniej za rękę. Nagle ból brzucha ukłuł ją potężnym ostrzem, na chwilę zamroził całe ciało. ;

Szyjka macicy odginała się wszystkimi nerwami, wykręcając Klarze głowę. Nie, to nie jest normalne, nawet jeśli bolesne odrętwienie szybko odeszło, to nie na tyle daleko, by dać o sobie zapomnieć. Musi iść do lekarza.



- Chodź już, nie zostawię cię samej w tym kiblu.

Klara jeszcze raz złapała Magdę za rękę, chciała jak najszybciej usiąść. Ten chwilowy ból zmuszał jej ciało do odpoczynku.

Dziewczyny wyszły z toalety. Im większy ciążył im smutek, im bardziej nie mogły go wypowiedzieć, tym piękniej wyglądały, idąc przez salę, z błyszczącymi policzkami, gwiazdami w oczach. Drobną blondynką i smukłą brunetką. Na moment zatrzymały się koło didżeja, bo lubiły razem tańczyć, z rękami w górę, patrząc sobie w oczy, kołysząc biodrami, ale nie tym razem.

Bożena od razu je spostrzegła, myśli jej ogarnęło pragnienie miłości, ale szybko się skarciła, kazała sobie jeść dalej, wypełnić żołądek. Może nakarmione ciało przestanie chcieć czegoś jeszcze.

Zauważył je również Piotrek, który od dłuższej chwili wypatrywał Magdy. Pociągnął papierosa, gwałtownie jej zapragnął.

Na moment zmroziło go spojrzenie Klary. To też jest świetna dziewczyna, prawie się w niej zakochał, łagodna, namiętka, ale przecież niczego jej nie obiecywał. To było tylko kilka spotkań, parę wspólnych nocy, to mogłoby trwać nadal, ale wiedział już z doświadczenia, że niektóre kobiety od razu czegoś oczekują, a on nie chce. Za bardzo ceni swoją niezależność, święty spokój, brak zobowiązań. Niektórzy już zaczęli przyczepiać mu łatkę starego kawalera, bo z żadną kobietą nie był nigdy

33

prawdziwie związany. Robili to dyskretnie, by go nie urazić, by nie narzucać się współczuciem.

Jednak jego to wcale nie bolało, nie rozumiał, dlaczego bycie wolnym mężczyzną ma być powodem do współczucia. Zawsze, gdy był świadkiem jakiś dramatycznych kłótni między zakochanymi, utwierdzał się tylko w swym wyborze. Nawet współczuł kolegom, którzy związani od lat z jedną dziewczyną, wpadali w rutynę wspólnego, monotonnego życia, ślub, dziecko, kredyt: kołowrót takich samych dni i nocy.

Dzisiaj dziwił się, że jego dawna miłosna przygoda, Klara, przyszła na ich firmową imprezę, bo przecież już u nich nie pracuje. Wtedy mówiła, że nie chce mieć z nim nic wspólnego. Nic nigdy. A on z ulgą słuchał tych wyrzutów. Boże, ona prawie chciała go zabić, wariatka, zupełnie niezrównoważona. Złapała nóż, wygrażała, że nie może jej ot tak zostawić. „Albo będziesz żyć ze mną, albo wcale...” Przez moment ciarki przeszły mu po plecach, ale gdy zobaczył, że pomimo noża w dłoni, uspokaja się, bardziej płacze niż roztrzęsiona pokrzykuje, wyjął go z jej rąk i przytulił - instynktownie wiedział, że to ją wyciszy, że musi się wypłakać.

Piotrek po prostu jej nie kochał i chciał skończyć te spotkania. Czuł rosnące w niej przywiązanie, a jej szczerość i zwierzenia z licznych romansów, gdy zawsze każdy traktował ją jak łatwą panienkę, którą można potem bez skrępowania zostawić, tym bardziej utwierdzały go w przekonaniu, że nie chce się z nią w ogóle wiązać.

Teraz wydawała mu się wstrętą, przypomniał sobie jej twarz, gdy błagała, by jej nie zostawiał.

Czerwona od płaczu, zupełnie wypruta z samej siebie, żałosna. Po co

34

ona tu dzisiaj przysłała? Pewnie Bożena z Magdą ją wyciągnęły, może myślała, że jego nie będzie.

Klara wróciła do stolika, rzucając szybkie „cześć” w stronę Piotra. Boże, oni są wszędzie, faceci, którzy jej dotykali, którym przez chwilę ufała, którzy mieli z nią być, a nie odchodzić, zawsze odchodzić, bo to, bo tamto, bo, kurwa, tak się zawsze pierdoli. Chciała się nie przejmować, przysunęła się do Bożeny, zapragnęła się do niej przytulić, ale ta jadła rosół. Zupa z trupa... wywar z martwego kurzego ciała. Przecież Bożena nie jest taka! Dlaczego ona to je, dlaczego się godzi? Przecież wiele już rozumie!

- Zabiłaś chociaż tę kurę?

Nie wytrzymała, musiała jej to wytknąć, upokorzyć ją i jej bezmyślność, a obecność Piotra tylko podniosła temperaturę jej pretensji.

Bożena zaskoczona milczała, jakby nie wiedziała, o co chodzi, lecz po chwili, zerkając na sphywający z łyżki rosół, zrozumiała już. Klara to wojująca wegetarianka, nigdy nie wiesz, kiedy obudzi się w niej prawdziwy obrońca zwierząt, który zaatakuje nawet dobrą koleżankę nie rozumiejącą idei.

- Nie musiałam, zrobił to za mnie ktoś inny. - Palnęła, a w duchu miała nadzieję, że nie będzie się musiała dalej tłumaczyć z tego nieszczęsnego rosółu.

- Ten świat już tak jest zorganizowany, że dzielimy się pracą. - Piotrek wtrącił się i od razu zaczął przedstawiać swoją wizję porządku społecznego. - Ja uczę angielskiego, ty jesteś asystentką, organizujesz czyjąś pracę, a ktoś zabija kury. Każdy ma swoje zadania.

35

- Nie porównuj normalnej pracy z zabijaniem zwierząt. Widziałeś kiedyś rzeźnię? Myślisz, że tak łatwo jest szybko zabić krowę, świnie, a nawet kurę? No powiedz, widziałeś kiedyś zwierzęta żywcem obdzierane ze skóry, bo jakiś palant ich nie dobił?

- W każdej pracy mogą się zdarzyć źle przygotowani pracownicy, jakieś błędy. To jest normalne.

Piotrek postanowił ciągnąć swój wywód. Bożena, siedząca między nim a Klarą, odsunęła się trochę do tyłu, nie chciała brać udziału w takiej rozmowie, ale rosółu też już nie mogła skończyć. Właściwie to rozumiała Klarę, ale ten świat tak już jest skonstruowany, że trudno cokolwiek zmienić, poza tym jest tyle innych problemów, a ona widzi tylko te zwierzęta...

- Nie porównuj zabijania do normalnej pracy, a jeśli ' tak, to... Czy mógłbyś pracować w rzeźni? Pytam! Mógłbyś?

- Klaro, śmieszna jesteś... Nie, nie mógłbym pracować w rzeźni, tak samo jak nie mógłbym być piosenkarzem, bo nie mam głosu, ani malarzem, bo nie potrafię rysować. Każdy ma predyspozycje do innych zawodów, inne szkoły kończy, w ogóle inaczej mu się układa.

- Nie udawaj, że nie rozumiesz, o czym mówię, to jest kwestia wyobraźni, chyba że jej zupełnie nie masz, że żyjesz bezrefleksyjnie jak zaprogramowana maszyna. Wyobraź sobie, że twoja praca to zabijanie zwierząt. Mógłbyś?

Klara nie dawała za wygraną, i choć wiedziała, że z takich rozmów nic nigdy nie wychodzi, że nigdy nie przekonała żadnego zjadacza mięsa do wegetarianizmu, to i tak nie zamierzała się poddawać. Tym bardziej, że Piotr

36

był spokojny i pewny siebie, jak wtedy, zrównoważony i nieprzejednany.

- Ludzie od zawsze jedli mięso, muszą je jeść, po prostu taki jest ten świat, mocniejsi zjadają słabszych, nie zmienisz tego. Chcesz czy nie, też jesteś zwierzęciem, drapieżnikiem. A czy ty się w ogóle badasz? Ciekawe, czy dalej byś jadła te swoje marchewki, gdybyś wiedziała, że przyczepiło się do ciebie jakieś paskudztwo, że musisz jeść mięso, żeby wyzdrowieć. Co ty się tak przejmujesz zabijaniem zwierząt? Ludzie ludzi zabijają i co? Nic.

- Głupio gadasz, idiotycznie, nudzisz, wyrzucasz z siebie slogany, stereotypy, artykułujesz to, co ci wpro-gramowała w czaszkę chora ludzkość, której się zdaje, że jest bandą drapieżników. Łatwo jest swoją bezwzględną agresję tłumaczyć wrodzonym, naturalnym stanem drapieżcy. Tylko co z ciebie za drapieżnik, bez prawdziwych kłów, bez szponów, z przewodem pokarmowym identycznym jak u wszystkich roślinożernych? Jasne, tak jest o wiele prościej. Przykro mi, ale ja nie jestem zwierzęciem, tylko człowiekiem. Rozumiesz? Człowiekiem! Wolnym człowiekiem, z wyobraźnią, mogę decydować o sobie i świecie, ode mnie zależy wiele, ale jestem też gotowa brać odpowiedzialność, ciężka sprawa, no nie. Być odpowiedzialnym...

Klara miała już zeszkłone oczy, nie potrafiła rozmawiać bez emocji, tym bardziej, że Piotrek był taki cyniczny jak wtedy - zimny. „Świat tak już jest skonstruowany, że ludzie się rozstają, nie pasujemy do siebie, nie zmienisz tego". Za żadne skarby nie chciałyby tego teraz zmieniać. Jak w ogóle mogła chcieć z nim być, wylać tyle

37

łez? Chciałyby go upokorzyć, zranić, tak jak on ją, ale nie wie jak. Nie potrafi.

- Oj, ty walcząca wegetarianko. - Bożena, widząc popłoch Klary, objęła ją. - On po prostu nie ma takiej wrażliwości jak ty, jesteście zupełnie różni.

- Idę do łaźienki, idziesz ze mną? - Klara chciała przypalić, nie myśleć: jutro idzie do lekarza, jest chora, boli ją brzuch, żadne prochy już tego nie zagłuszają. Boli ją ciało, a ten ból dotyka też sekretów duszy.

Piotrek, siedząc już sam przy stole, wiedział, że niepotrzebnie tak się przyczepił do Klary. Przecież to jej życie, jej sprawy, ale martwił się o nią. Zawsze była krucha, wrażliwa... Po co z nią tak dyskutował? Jakby coś jeszcze od niej chciał. Magda tanecznym krokiem poszła za dziewczynami w stronę łaźienki. Ale jest

piękna, z tymi cudownymi biodrami i włosami falującymi na ramionach, jak ona chodzi... Magdalena.

I znowu mała toaleta, jak wyspa na oceanie, zaludniła się smutkiem i nadzieją, oczy dziewcząt rozblęsnęły, oczekując darów, jakie mogą przynieść fale. Wielkie kufry pełne wspaniałych niespodzianek. Niespodziewanych, a od zawsze upragnionych. Dym gryzł gardła, a serca pulsowały równo jak boski diament, gwiazda nieodgadniona, do której pragną dolecieć ptaki, o której marzy nawet ten, co już nie marzy. Niech. Niech będzie dobrze, niech nie będzie źle. Im więcej będzie dobrze, tym mniej będzie źle. Niech będzie najlepiej, jak może być. Cudownie jest śmiać się razem. Nawet, jeśli to tylko działanie trawy.

Niewidzialne palce Słońca dotknęły białej sukienki Klary. Jej schowane nogi wciąż pozostawały białe. Wbrew modzie Klara postanowiła zakrywać się, leżąc na plaży, aby jej jedwabista skóra nie zmieniała swego jasnego koloru. Wyglądała jak piękny i samotny żagiel

- porzucony na plaży, beczynny, nieporuszony wiatrem. Biały len sukienki, białe - profesjonalnie rozjaśnione

- krótkie włosy, oczy bez makijażu, z jasnymi rzęsami, których cień był najciemniejszym miejscem na jej twarzy. Klara założyła jednak okulary przeciwsłoneczne, poczuła bowiem wyraźnie dotykające ją słońce. „Wysuszę twój pot, twoje łzy, jego ślinę, ich mokre ślady, wszystkie bolące miejsca". Ognista energia szeptała jednak zbyt cicho i Klara wciąż rozmyślała o swoim życiu.

Nie do wiary, słońce grzeje, morze szumi, a ona... Plaża nie zmienia się w burzę piaskową, chmury nie przysłaniają nieba, nie widać żadnej trąby powietrznej, a ona... A ona może umrzeć. Cóż, zawsze mogła, byle cegła spadająca z dachu mogła ją zabić w jednej sekundzie, nic w tym dziwnego, każdy może umrzeć. Ale ona może umrzeć, znając wyrok i twarz śmierci, żadnej

39

niespodzianki, zwykły nowotwór, kolejna młoda kobieta i straszne statystyki medyczne.

Choć jeszcze nie wiadomo do końca, jest nadzieja mówił młody lekarz, patrząc na jej wyniki. Trzeba zacząć od operacji, potem chemioterapia, spokojnie, wszystko po kolei. On mówił, a ona sztywniała i dziwiła się sama sobie, że nie mdleje ani nie wykrzykuje: jak to? dlaczego ja?, że może słuchać spokojnie jakby to był film, bardzo przejmujący, ale jednak film - o niej.

Teraz jednak, leżąc w plamie słońca, wiedziała, że czegoś musi się przytrzymać, by nie przewracać się przy każdym kroku, by wstać i wrócić z plaży do pensjonatu. Musi znaleźć jakąś myśl, silną i niezawodną, bardzo prostą. Będzie żyła, tak, tego będzie się trzymać. Instynktowny głos z głębi serca nie dawał się jednak usłyszeć. Wypierał go lęk i narastające wspomnienia, jakby właśnie stawała u kresu życia i przechodziła na drugą stronę.

Ognista energia nie mogła przeniknąć wnętrza jej mózgu, a to tam właśnie leżały klucze do wszystkich

mokrych śladów, do wszystkich mokrych wspomnień.

Gdzieś dalej widać było grupę ludzi. Bardzo młodzi, chyba, grali w piłkę. Byli zbyt daleko i tylko przez ułamek sekundy wzbudzili w Klarze nikłe wspomnienie wakacji sprzed kilkunastu lat. Wtedy i ona, tak jak ta oddalona grupa, grała z koleżankami w piłkę na plaży. Wiele by dała, żeby cofnąć się w czasie i przytrzymać szczęście. Dobrze więc, że nie przyglądała się zbyt długo tym młodym ludziom, że nie zagłębiała się we własne wspomnienia, piękne, ale przecież na zawsze zamknięte. Czułaby jeszcze mocniej, jak jest samotna.

40

Klara zawsze twierdziła, że lubi swoją samotność, taką bez obecności kogokolwiek, bo wtedy czuła się u siebie, nie myślała, kim jest ani po co i co myślą o niej ci albo tamci. Była po prostu sobą u siebie. Wolna, a zarazem w najlepszym towarzystwie. W takim najbezpieczniejszym domu, który ma się zawsze przy sobie.

Teraz jednak, spostrzegłszy w oddali tych ludzi bawiących się piłką, poczuła, że wyrzucono ją z jej domu. Nagłym kopniakiem. Za drzwi. Kolorowa plastikowa piłka poleciała w kierunku słońca. „To ja”, pomyślała Klara... Teraz była samotna. Poczuła to jakby pierwszy raz w życiu. A gdyby tak na Ziemi była tylko ona? Zniknęłyby wszystkie jej problemy. Wszyscy faceci i laski, i pieprzone królowy, i dzieci, których mieć nie będzie, i szefowie, i wszyscy bez wyjątku, i ten lekarz... Byłaby cudownie sama. Czyli u siebie. Byłaby, po prostu. Czy to mała, czy duża, piegowata, czy ruda, wykształcona, czy smutna, czy zła, czy dobra, czy tu, czy tam, czy wczoraj, czy dzisiaj. A kto by na to patrzył, jaka ona by była. Nikt. Nikt. Nikt. Bóg by patrzył! A niechby patrzył, tak jak do tej pory patrzy. „Ty widzisz i nie grzmisz”. Klara marzyła i jednocześnie bluźniła w myślach, nie lubiła się roztkliwiać nad swoimi nieszczęściami.

Przypomniała sobie pewien obrazek z katechizmu, z którego przygotowywała się do Pierwszej Komunii Świętej. Sędziwy starzec, stworzywszy pierwszych ludzi, bacznie obserwował ich poczynania w Rajskim Ogrodzie. Ewa już dostrzegła tajemnicze drzewo...

Tak. Gdyby była naprawdę sama, jedyna na tej całej wielkiej planecie, wówczas mogłaby usłyszeć Boga. Oj, nie tego starca, ale Boga. Tego, który krząta się gdzieś po

41

jej wewnętrznym domu i którego tak jak ją co chwilę coś wyrzuca za drzwi.

Klara aż usiadła, poruszona wizją swej absolutnej samotności. Nie - nie samotności, raczej samości. Nie ma tego słowa w języku, więc może ten stan jest ludziom niedostępny. Samość. Klara mocniej wciągnęła morską bryzę, morze wzdychało. Patrząc teraz przed siebie na płaskie, dalekie fale, poczuła się jak soczysta wisienka. Niesiona delikatnie na srebrnej tacy. A taca jest tak duża, piękna i połyskliwa. Ale mała wisienka jest lepsza. Bo ma ciepły, żywy kolor. Każdy wie, że żywy kolor jest piękniejszy niż srebrny, czyli z natury martwy. Śmierć bez pardonu wdzierала się do jej rozmyślań.

Klara wpatrywała się w srebrne morze, a ono spokojnie zgadzało się z nią w każdej wizji. Jego wyłącznym

pragnieniem było uczestniczyć w świecie, jaki przed nim otwierała, pragnęło dalej słuchać i słuchać smutku pięknej dziewczyny, ale już płynęła wiadomość.

Za chwilę Klara spostrzeże kłodę drzewa, która powoli, ale nieuchronnie zbliża się do brzegu. Morze zaszumiło łagodnie przeprosiny, burząc spokój Klary, gdyż ta - zamiast myśleć o tym, o czym miała myśleć - coraz intensywniej patrzyła na płynące drzewo. „Co to płynie?“, pytała w myślach Klara, a to jej myśli podpływały bliżej i bliżej kłody. Zaciekawiona podeszła do brzegu, zauważyła bowiem, że na kłodzie leżało coś białego. Kapelusz? Co to jest? Nie ruszało się. Klara zdjęła okulary przeciwsłoneczne, aby lepiej się przyjrzeć. Spojrzała i już odgadła.

Zawsze garnęły się do niej zwierzęta, chore i potrzebujące, właśnie do niej, bo ona im pomagała. A tym

42

razem kto? Chyba duża biała mewa, raczej martwa, bo nie ruszała się, leżała na pniu rozplaszczona. „O nie, nie będę oglądać zwłok mewy, wracam do pensjonatu“.

Śmierć nie dawała za wygraną, cały świat się uparł i na każdym kroku postanowił jej o tym przypominać. Klara szybko zdecydowała i ruszyła brzegiem, zostawiając za sobą dopływającą kłodę. Szła w stronę drewnianych schodów, ale tam już było słychać ludzi, co odpychało ją od wejścia na te drewniane schody, na ten most do ludzkiego świata, a myśl o zwłokach mewy na tratwie rosła szybko, przekształcając się w troskę. Skąd się wzięła? Jak umarła? Złamane skrzydło? Z głodu? Nie umiała łowić bez lotu wprost do wody? Tak? Może jeszcze żyje? Klara usiadła na drewnianym schodku i odwróciła głowę w stronę miejsca, gdzie powinna dopłynąć kłoda.

Na brzegu obok sporej kłody stał pies. Był zdecydowanie żywy, bo bardzo energicznie trząsł całym ciałem, jakby chciał oddać morzu każdą kroplę, zanim wejdzie w przestrzeń suchego królestwa piasku. Wokół ani śladu mewy. Klara odetchnęła w myślach, a w głębi serca zapaliła się iskra: „Będę żyła!“. Pies przypominał trochę spaniela, miał długie uszy, ale był ze dwa razy większy, no i ten kolor. Porażająca biel. W słońcu mienił się i błyszczał, jakby miał w brzuchu jarzeniówkę. Po prostu świecił. Pies pokręcił się blisko brzegu, obwąchał kłodę, na której przyplłynął, obsikał ją starannie i ruszył w stronę wydmy. Tam, przy jednym z drzew zniknął Klarze z oczu. Zasłoniły go trawy, a on szukał zapewne miejsca na odpoczynek.

Klara skierowała się w jego stronę. „Tak, to jest dziwne, pies, który przyplłynął na tratwie, to znaczy na pniu,

43

po prostu wyszedł na brzeg, położył się pod drzewem, w kręgu cienia, zwinął w kłębek i zasnął. Taki biały! Ładny pies. Ładny i żywy. Wygląda nawet wyjątkowo zdrowo, jest tylko zmęczony.“ Pies już oddychał swym snem o podróży - głęboko - snem o bardzo dalekiej podróży.

Klara, mimo że kochała zwierzęta, bała się psów, zwłaszcza bezpańskich, czyli wszystkich bez smyczy. Postanowiła więc szybko odejść, zaraz po tym jak pies podniósł łeb i spojrzał w jej stronę bardzo

śpiącymi oczami. Niech idzie, wróci do niego. Pies spokojnie oparł łeb na piasku, chwilę mościł się w trawach, oddał ciało plaży, pędząc przez sen o dalekiej podróży.

W pensjonacie było prawie pusto, to dopiero maj, a mało kto przyjeżdża o tej porze na wakacje. Ale ona właśnie chciała być sama. W mieście też mieszka bez towarzystwa, ale to nie to samo, to naprawdę nie to samo. W mieście chodzi się do pracy, to po pierwsze. Potem trzeba zjeść jakiś obiad i to zazwyczaj z kimś, gdzieś. Potem ktoś dzwoni albo nawet ona sama dzwoni i wychodzi też z kimś. Boże, ilu ona zna ludzi. Ludzie ciągną do niej jak oślizgłe ślimaki, powoli, ale nieuchronnie, i lepią się, i ślinią. Wszyscy tacy sami. To na pewno przez nich ma te problemy. Fatalna cytologia, bóle brzucha, plamy i ten dziwny śluz. Nawet nie chce o tym myśleć. To nie mogło się jej przydarzyć. Klara raczej nie choruje, a jeśli już, to

44

zazwyczaj porządnie, długo i intensywnie. Raz, a dobrze - śmiertelnie.

Położywszy się na tapczanie, Klara zasnęła. Bolała ją głowa, wypełniona niespokojnymi myślami, i brzuch, którego bała się dotknąć. Odkąd lekarz powiedział jej, co tam się dzieje, a później poczytała o tym w Internecie, czuła, że nosi ze sobą przyczajonego wroga, który rozsiewa zniszczenie i śmierć po całym jej ciele. Po co tyle czytała? Do czego jej teraz ta wiedza? By bać się precyzyjniej, najdoskonalej, jak się da? By wziąć się jakoś w garść? Lepiej zasnąć.

Białe mewy wpadły w sam środek szarego snu zmęczonej Klary. Ich lot był tak szybki, że Klara musiała zmrużyć oczy, leciały bowiem wprost na nią, a potem ona sama z niezwykłą lekkością zawisła w powietrzu i z odurzającą przyjemnością sterowała lotem. Białe sny zawsze uspokajają, ale sny o lataniu nawołują do drogi. Klara wciąż leciała. Jak niewiele siły trzeba, aby utrzymać się w powietrzu, jak łatwo sterować lotem, jak wszystko jest dopasowane, zgrane i odpowiednie! Jakby wiatr śmiał się z powodu ruchu jej skrzydeł. A ona czule go łaskotała. Powietrze było cudownie suche i gorące. Klara widziała pod sobą morze. „Ach!” To jedyne, co mogła powiedzieć we śnie. Tak też westchnęła zaraz po przebudzeniu. „Ach!” Nikomu nie opowiedziała tego snu, zwłaszcza, że pojawił się w nim lekko dryfujący po wodzie pień drzewa, a na nim małe dziecko, które miało może z pięć lat. Stało spokojnie w białej szatce i machało rączką do szybującej nad nim Klary.

„Ach!”

45

Klara obudziła się. Co za sen! Miała teraz zadziwiająco dużo siły, więc wzięła się w garść. Uśmiechała pod nosem, bo przecież łatwiej jest wziąć w garść coś niż siebie. Ach, ten język. Klara już tak miała, zwłaszcza po przebudzeniu, nabierała dystansu do zwykłych, utartych powiedzeń, a ich dosłowne znaczenie bawiło ją. Widziała wtedy z całą mocą, że rzeczywistość, poddająca się opisowi języka, jest umowna i nie na serio. Dlatego teraz, pakując swoje rzeczy, śmiała się, bo co rusz coś kojarzyło się jej z garścią. Wzięła w garść zmiętą podkoszulkę i wrzuciła do torby, wzięła w garść klapki kąpielowe. Trochę trudno jedną garścią, ale się udało, wrzuciła je do torby. Wzięła w garść książkę Dieta antyrakowa, wrzuciła do torebki, przeczyta ją w pociągu, złapała podpaski... Ale jak wziąć siebie w garść? Można złapać kolano, można

lewą dłoń dać w garść prawej, można wziąć w garść ucho, a właściwie tylko to, co wystaje, bo przecież ucho jest też w środku. A może trzeba wziąć w garść dokładnie to, co boli, żeby samemu móc wziąć się w garść? To coś nie chce dać się wyleczyć, na to coś nie działają leki, tu potrzebny jest zabieg, cięcie, wyjęcie, trzeba wyrzucić kawałek ciała, żeby reszta mogła żyć. Może to ktoś inny - większy - mógłby po prostu wziąć Klarę w garść, otworzyć dłoń i pogłaskać jak chorego kotka. Pan Bóg?

Klara była już spakowana, miała naprawdę niewiele rzeczy, jeszcze tylko lekarstwa z łazienki. Postanowiła wrócić już dzisiaj, mimo iż pokój wynajęła do końca tygodnia. Taka decyzja i tyle. „Klaruś, ale mogłabyś jeszcze sobie odpocząć, pospacerować plażą, wieczorem, przecież wiesz, jak dobrze jest wdychać jod, dziecko kochane”. Tak pewnie mówiłaby mama, ale na szczęście

46

komórka została w mieście i nic nie dzwoniło. Jej nie, ale tak w ogóle to owszem, komórka dzwoniła przez cztery dni aż do rozładowania, dawała samotnie znać o sobie, wyrzucona szybko z torebki, tuż przed wyjściem na pociąg, zaraz po powrocie od lekarza. Nie, nie pójdzie od razu do szpitala, bez przesady! Elektroniczna melodyjka wypełniała pustą kawalerkę (chyba raczej panienerkę albo jakoś, powiedziałaaby Klara), a róże więdnące w wazoniku z kubka bały się tej drżącej w powietrzu melodii.

Chyba nic nie dał jej ten wyjazd nad morze, to była po prostu ucieczka. A teraz i tak musi wrócić, do tych samych ludzi, do miasta, do spraw, do mamy. Dlaczego nawet matce nic nie powiedziała? Ze strachu? Tak. Jak miała to zrobić? Wiesz mamo, ale usiądź, no, nie denerwuj się od razu, słuchaj, tak, no jestem chora, mam, no wiesz, nowotwór, oj! nie rób takiej miny, będzie dobrze, nic, nic, po zabiegu wszystko będzie dobrze.

Matce nie chciała mówić przede wszystkim, nie umiała oprócz swojego strachu unieść jeszcze jej matczynej troski. Gdyby tak mogła zostawić jakiś list: „Słuchajcie, jestem chora, znikam teraz na trochę z życia, bo spróbuję się zmierzyć z tą chorobą. Niestety jest śmiertelna, więc jakby mi się nie udało, to pamiętajcie, że bardzo was wszystkich kocham, love you, i nie martwcie się, i przepraszam za to i za tamto, i mam nadzieję, że się zobaczymy niebawem -jak nie w życiu, to w innym świecie.” Ale tak nie można, musi wrócić, wszystko uporządkować i uczciwie się z każdym pożegnać, bo tak czy inaczej, ta choroba ją zmieni. Właściwie to stara Klara już zaczęła umierać. Musi wrócić, by każdego pożegnać, a może na nowo przywitać.

47

Klara postanowiła po raz ostatni pójść na plażę, by popatrzeć na gwiazdę, która tutaj zdawała się być lepiej widoczna.

Plaża była jeszcze piękniejsza niż wczesnym rankiem. Wyglądała jakby ktoś posypał ją brokatem, wszystko drżało od jasnych kolorów słońca. A ono, czując obecność Klary, zachwyciło się i emanowało jeszcze większym ciepłem. No i gwiazda! Klara zerknęła na nią, mrużąc oczy, a kurtyna rzęs zadbała o spektakl. Rozmycie diamentowego blasku, rzęsy opuszczone. Wybuch światła, rzęsy podniesione. I tak



kilka razy. Piękna jest teraz plaża, piękne jest teraz niebo, piękne są błękitne oczy Klary, piękny jest teraz cały świat!

Piękny jest świat? Coś dopytywało Klarę, czy jest tego pewna. A co to ją obchodzi, jaki jest ten świat naprawdę! Zawsze i zawsze, gdy coś ją zachwycało, łagodnie kojąc, czuła się czegoś winna. I myślała o tym, co nie jest piękne, lecz straszne, przerażające, okrutne. Tortury teraz i inkwizycja w przeszłości, żarzące się trony śmierci, krzyki zwierząt w rzeźniach i laboratoriach, nakłuwane wątroby delikatnych myszy ukrzyżowanych jak Chrystus - rozciągniętych za małe łapki. Niemowlęta umierające z głodu i zimna, porzucone na wysypiskach śmieci, szukające w krakaniu wron głosu matki. Mężowie wrzeszczący do żon: „ty kurwo!”. Sępy pożerające na wpół żywe dziecko słońca. Stop!

48

Plaża nie jest już piękna. Świat nie jest piękny. Klara przełknęła dławiące ją łzy. Chciałaby krzyknąć. Zaciśnęła pięści. Rozluźniła pięści, przecież nie będzie walczyć. Z kim i po co. Może lepiej umrzeć.

„Klaro, popatrz na mnie tu i teraz”. Morze delikatnie szeptało do jej stóp, a starając się, by nie zmarzły, kierowało w ich stronę najcieplejsze swe prądy. Udało jej się nie wpaść w paranoidalne poczucie winy, spostrzegła bowiem na piasku ślady łap.

„Aaa, to pewnie ten biały pies”. Biały pies, wachlując królewsko ogonem, biegł kilkanaście metrów przed nią. Odwrócił głowę i jednym okiem zerknął na idącą Klarę. Doszedł do wyrzuconego na plaży pnia, usiadł przy nim i spokojnie na nią czekał. Pierwsze spotkanie kobiety i psa dostrzegły trawy rosnące na wydmach, uczciły ten moment w ciszy.

„Niech”, wyszeptały magiczne słowo mocy.

Biały pies i Klara, która przełamała lęk, stali naprzeciw siebie. Patrzyli sobie w oczy. Błękitne oczy Klary i czarne oczy psa trwały we wzajemnym oczekiwaniu. Wtedy biały pies położył się obok pnia, na którym przypląnął, oparł pysk na lekko skrzyżowanych łapach. „I co on teraz robi? Chce wrócić tam, skąd przypląnął. Albo po prostu przyzwyczajony do tej kłody przeczeka noc obok niej. A może nie?”

- Pies, chodź!

Klara, niespodziewanie dla samej siebie, odezwała się stanowczo. Pies wstał i bez wahania poszedł za nią. Co jakiś czas dotykał mokrym nosem jej łydki, jakby sprawdzał zapach. Szedł jak na niewidzialnym sznurku, nie

49

odchodził nawet na krok, był zawsze tuż. Zatrzymali się przy drewnianych schodach.

- Widziałeś już gwiazdę?

Pies spojrzał w oczy Klary i zobaczył, jak w lustrze, światło diamentowego cudu.

„Niech”, wiatr zawirował wokół kobiety i psa.

Mała porcelanowa laleczka od dawna siedziała na drewnianej półce w przedpokoju. Była nieruchoma, niema i nieżywa. Była zwykłą materią: nieczułą, jakoś zrobioną przez kogoś. Przez człowieka. Uczyniwszy ją na swoje podobieństwo, człowiek nadał jej cenę nie imię, wyznaczył przeznaczenie. Przeznaczeniem laleczki są jej włosy - nieludzkie - niebywale gęste, długie, świetliście białe, skręcające się w nierozczesywalny gąszcz. „Kto go rozczesze, a włosów nie wyrwie, ten na pewno wygra”. Na razie laleczka tkwiła spokojnie na półce, a w fałdkach jej sukienki zebrał się kurz, tak że nie była już czerwona, tylko lekko zsiniała albo zwyczajnie brudna.

Nic dziwnego, że laleczka wciąż siedziała i trwała na półeczce, skoro sześciolatek Wojtuś nie chciał bawić się wizerunkami dorosłych kobiet pomniejszonych do rozmiarów krasnali. Nikt nie zadbał, by wprawiał się w manipulacji ciałem kobiety. Tak jakby niepotrzebne mu były te lekcje. Dlaczego więc tyle dziewczynek, może nawet wszystkie w mieście, zaczynały od zabawy lalkami? Uczyły się różnych lekcji: miłości, czyli jak tulić lalkę do serca, ale i zbrodni, zmuszając lalki do trwania

51

w makabrycznych szpagatach godzinami i dłużej. W każdym razie, laleczka nadal siedziała oparta lekko o książki, które bezskutecznie mówiły jej o tym, co kryją. Lalka nic nie słyszała, a teraz właśnie obchodziła samotnie rocznicę dnia, w którym przybyła do rodziny. Trzy lata. Marysia też nie mogła bawić się laleczką, bo wszyscy zapomnieli o jej istnieniu i nikt nie dostrzegał jej małego sztucznego ciała czekającego na czyjś dotyk.

Laleczka siedziała na tej półce w przedpokoju, od kiedy rodzina wprowadziła się do nowego mieszkania. Wszędzie stały pudła i paczki, a kobieta nie mogła ich nosić, bo była w zaawansowanej ciąży, lecz cieszyła się, że wreszcie będą mieli swój dom. W ferworze przeprowadzki ktoś postawił laleczkę pośród książek, a z czasem gruby tom encyklopedii medycyny zasłonił ją zupełnie. Teraz oparta ramieniem o książki, zastawiona jakimś zdjęciem w ramce, obchodziła samotnie swoje trzecie urodziny. Czekając na wydarzenia, pragnęła czynić cuda, chciała wskazywać drogę, ale była tylko zwykłą laleczką.

Marysia też skończyła dzisiaj trzy lata. Jej białe włosy nie przypominają włosów rodziców. Blond matki jest również jasny, ale nie biały, raczej żółtawy, a jej włosy długie i proste jak życie, którego każda matka chce dla swoich dzieci. Ojciec we wczesnym dzieciństwie miał jasne kręcone loki, ale teraz to tylko nieszczęsne resztki, jakieś mysie futerko, czy pył niepokrywający głowy. Zwyczajnie, jak wielu mężczyzn, szybko wyłysiał. Brat Marysi, sześciolatek Wojtuś, nigdy nie miał takich białych włosów jak siostra, a teraz jest już zupełnie ciemnym szatynem.

52

Czy włosy mają jakieś znaczenie? W przypadku laleczki na pewno tak. „Kto je rozczesze, a żadnego nie wyrwie, ten na pewno wygra”. Czy Wioletka szukała kiedykolwiek przeznaczenia swych dzieci w ich włosach? Swoje, pamiętnej nocy przed laty, ścięła, a potem ogoliła do gołej skóry. Ile miała wtedy lat? Osiemnaście. Miała osiemnaście lat i żal większy niż wszystko, ścięła te włosy dlatego, że matka nie żyje,

że musi usługiwać pijakowi, którego kiedyś jeszcze potrafiła kochać, a teraz nawet w myślach nie mówi na niego „tata”, więc uciekła z domu, i tylko stypendium pozwoliło jej na żebracze życie studentki malarstwa.

Mała laleczka nie miała imienia i cały czas siedziała na swojej półeczce w przedpokoju, nigdy właściwie nie była domownikiem, nigdy nie zaproszono jej do żadnego z pokoi ani do kuchni, czy łazienki. Przedpokój, który jest przed linią startu, odsuwał laleczkę od przeznaczonych jej działań. Obchodząc w drzeniu swoje trzecie urodziny, laleczka spostrzegła gwiazdę, mieniącą się od pewnego czasu na niebie miasta.

Ta porcelanowa, mała kobietka mogłaby nazywać się, powiedzmy, Barbarka albo Karolinka, albo Marlenka, na pewno coś z „r”, takim „rrr” długo wymawianym i podskakującym na języku. To imię powinno brzmieć tak, by za każdym razem, gdy było wymawiane, laleczka miała wrażenie, że dostaje kopniaka albo jeszcze lepiej, że się przewraca, upada, rozbija sobie głowę, krztusi się, bo cukierek w tchawicy nie pozwala oddychać, oj. A z głowy krew wypływa wprost na podłogę, która nie dając zmyć z siebie abstrakcyjnej plamy, zawsze będzie przypominać o tym, co się stało.

53

To imię musi mieć na pewno głoskę „rrr” z jednego jeszcze powodu. Laleczko wytłumacz sama, dlaczego.

- Drżenie, wrażliwość.

Tak pewnie powiedziałyby laleczka, ale nie może tego zrobić, bo jest martwa i nie mówi. Nie musimy sobie tego wyobrażać, nie, naprawdę, wyrzucmy z głów wszystkie jawiące się teraz obrazy małych laleczek o porcelanowych, uroczych twarzach, którym nagle zaczynają poruszać się usta i w zwolnionym tempie wypowiadają dwa słowa; „Drżenie, wrażliwość”. Laleczki nie mówią, co najwyżej tkwią w niewygodnej pozycji na półce z książkami.

Już trzy lata, odkąd Klara wyjęła ją z plastikowego pudełka. Wyjęcie laleczki z pudełka to prawdziwe zmartwychwstanie wprost z trumny, dzięki mocy człowieka dostrzegającego zabawkę. A zaraz potem pojawiła się ona - Marysia. Malutka i cudowna. Laleczka zna ją tylko ze słyszenia, ale kocha ogromnie i mogłaby zrobić dla niej wszystko, oddałaby nawet życie, którego nie ma. Lalka przypomina życie, przypomina o życiu. Ta Barbarka, Karolinka albo Marlenka...

Laleczka siedziała w swoje urodziny na półeczce, a jej włosy błyszcząły bielą bardziej niż kiedykolwiek, były uroczyście i wciąż nierozczesane. Marysia dostała prezent już rano. Zaraz po przebudzeniu, Karol powiedział Wiołce, żeby dać misia z plecaczkiem już teraz, bo wtedy on będzie mógł przed pracą pobawić się trochę z Marysią. Postanowił spędzić cały poranek z dziećmi.

54

Karol zawsze zazdrościł żonie, że może całe dni spędzać w domu, z Marysią i Wojtusiem, bez pośpiechu,

bez stresu, lekko. Jego uganianie się za zleceniami, robienie projektów, za które potem nikt nie płacił albo się wycofywał w połowie, doprowadzało go do szaleństwa, więc zakładał kolejne sprawy sądowe, a pieniędzy jak nie było, tak nie ma.

Prowadzenie firmy zwyczajnie go przerastało, nie dawał już rady, marzył, by pracować u kogoś i po ośmiu godzinach zamykać za sobą drzwi i nie zabierać problemów do domu. Zgadzał się z matką, że Wioletka powinna iść do pracy, ale ona się upierała. Więc żył dla tej trójki, bo obiecał sobie, że nigdy niczego im nie zabraknie. A tu już kredyt wyrósł potężnym garbem i pożyczanie na życie od matki odbierało mu resztki godności... Ojca nie miał odwagi prosić, zbyt wiele ich poróżniło, gdyż zbyt wiele już od niego dostał.

Ale teraz po prostu śmiali się i bawili, gdy Wioletka szykowała im odświętne śniadanie. Placki kukurydziane, z miodem albo z keczupem, jak kto woli. Cała rodzina nie potrzebowała niczego więcej, więc dzwonek do drzwi, potrójne rrr, rrr, rrr, najpierw ich zdziwiło, a potem zaniepokoiło.

- Szczęść Boże i pokój temu domowi. - Słowa księdza weszły do mieszkania, zanim jeszcze Wioletka na dobre otworzyła drzwi.

- Wybaczcie, kochani, tę niezapowiedzianą wizytę, ale myślę, że zawsze jest dobry czas na spotkanie z Chrystusem i modlitwę o pokój i miłość.

Młody ksiądz mówił długo, nie zadając żadnych pytań. Opowiadał, czym się zajmuje i dlaczego odwiedza

55

mieszkańców całego osiedla, i że nawet do bezdomnych na ławkach pójdzie. W końcu Wioletka zaproponowała herbatę, więc Karol musiał usiąść do stołu, zostawiając Wojtusia i Marysię na podłodze, z klockami i rozpoczętą budową domu. Placki kukurydziane też musiały poczekać, a na razie niecierpliwiły się, szukając swej formy w czekającym na smażenie cieście.

Popijając herbatę, ksiądz zaczął zadawać im pytania, a wszystkie odpowiedzi notował w swoim zeszycie. Czy są wierzący? Powiedzieli, że tak. Czy mają ślub kościelny? Mają. Ale przecież nie widuje ich w kościele. Pierwsza zaczęła się tłumaczyć Wioletka, że dom, dzieci, że jest taka zaganiana, bo nie dali ich do przedszkola, tylko sama ich uczy tu, w domu, a tyle pracy z tym wszystkim. Ale tak, powinni znowu chodzić do kościoła. Uspokajała badawcze spojrzenie księdza, który skierował uwagę na Karola. Karol milczał i milczał, aż wybuchł niespodzianie.

- Niech nas ksiądz nie dręczy, nie maltretuje. Do jakiego, kurwa, kościoła, sroła, pierdzioła, kurwioła? -jakiś pokaleczona słowa-przekleństwa same wychodziły z jego ust.

- Proszę się nie denerwować, niech się pan uspokoi, po co obrażać to, co święte? Przecież pan też powiedział, że wierzy.

- Wierzę? O tak i to mocniej niż, kurwa, ksiądz może sobie wyobrazić. - Wioletka złapała rękę roztrzęsionego męża, powtarzając: - Karol, przestań! Boże, co ty robisz?

- Wierzę w to! - Karol wskazał swoje dzieci, które znieruchomiełe obserwowały dorosłych. - W to wierzę, w nich, w dzieci moje, a tu jest kościół - zrobił nieokreślony ruch ręką - a to jest msza, nasze śniadanie, a ty

56

jesteś... - nie dokończył, choć słowo szatan, samo cisnęło mu się na usta.

Ksiądz zrobił szybki znak krzyża, bo nie mógł przerwać Karolowi, który krzyczał głośniejsz i głośniejsz, mieszając przekleństwa z wulgaryzmami, krztusił się, czerwienił, ale ciągnął dalej...

- A Chrystus to żona moja, która wbrew złu i beznadziei tego świata, pomimo bólu, postanowiła dać życie, jedyne realne zmartwychwstanie. A ja jestem Bóg-Ojciec, który skazał ją na to cierpienie, by dać szansę temu światu. To jest moja wiara i nic tu po tobie i twoim kościele. - Karol zakrztusił się mocno i wybiegł do łazienki.

Zdezorientowana Wiolka nie wiedziała, co ma robić, czy przeproszać za męża, czy biec za nim do łazienki. Ksiądz szeptem poprosił o wspólną modlitwę. Stali naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy, szepotali słowa Ojczy nasz, a potem Zdrowaś! Mario. Ich słowa przerywały dźwięki dobiegające z łazienki. Karol gwałtownie wymiotował.

Ksiądz wyszedł, zostawiając Wiolkę i jej wielki wstyd. Była przekonana, że Karol się czymś zatrul - najpewniej alkoholem - a może ma gorączkę. Zresztą nigdy nie lubił kościoła... Wiola próbowała się opanować. W końcu Karol opuścił łazienkę, był już spokojniejszy, narzucił kurtkę i powiedział, że teraz musi iść do pracy, pomachał dzieciom i wybiegł.

57

- Mamuniu, dzisiaj są moje urodziny, tak? - bąkała Marysia, pochlipując.

Wiolka zdała sobie sprawę, że dzieci były świadkiem pokrzykiwań Karola i nieporadnych prób uspokajania go przez księdza. Co one mogą teraz myśleć? Były takie ciche, przyzajone, gotowe do uciezki.

Ostatnio Karol często przesadzał z alkoholem. Wracał z pracy podpity, a wieczorem popijał piwo za piwem. Każdy kolejny łyk sprawiał, że był coraz bardziej agresywny i nieobliczalny. Coraz bardziej też przypominał jej własnego ojca, pijaka. Znała ten schemat. Ale jak się z niego wyrwać? Wiedziała doskonale, że nie może robić tego, co robiła, będąc dzieckiem; nie wolno zajmować się pijakiem, zaciągać zamroczonego alkoholika na tapczan, by się nie przeziębził, śpiąc na zimnej podłodze w kuchni; nie wolno litować się nad jego kacem i wstydem, że tak się schlał, bo tak mu ciężko; nie wolno dać się przeproszać, trzeba zacząć nienawidzić na trzeźwo i z wyrachowaniem, zastąpić dobre uczucia bezgraniczną odrazą i pogardą - nie do człowieka, ale do jego odczłowieczającej choroby. Trzeba pozwolić sobie na autentyczną walkę z tym, co zaczęło nim rządzić, z tym, co odebrało mu ludzką twarz.

Wiolka nazywała to piekielnym bólem.

Gdy w młodości kuratorka ich rodziny tłumaczyła jej, że ojciec jest ciężko chory i ma się leczyć, nic z tego nie rozumiała. Z czego ma się leczyć? Z picia. Ma przestać pić. Ale jak? Przecież tylko alkohol daje mu chwilowe choćby ukojenie bólu... Ma mu odebrać jego lekarstwo przeciwbólowe? Współczuła mu po prostu. Wiedziała, kiedy to się zaczęło - po śmierci matki. Alkohol był lekarstwem na cierpienie, jakie przyniosła ta strata. Wiola

58

też cierpiała, ale odnalazła siłę w upodobnieniu się do matki, tej, która kocha, rozumie i opiekuje się nawet najtrudniejszym dzieckiem, niewdzięcznym i agresywnym.

Nie, to się nie może powtórzyć! Jeśli Karola spotkało to samo co jej ojca, to musi znaleźć w sobie siłę, by mu naprawdę pomóc, gdyż inaczej zapije się na śmierć jak ojciec.

Najgorsze jednak, że teraz są dzieci, takie małe i niewinne. Niemi świadkowie dorostłości, przyzwalający na każde ich zachowanie, zapatrzeni w swych rodziców. Teraz trzeba przede wszystkim uchronić dzieci, nie pozwolić, by przejęły pałeczkę w sztafecie pokoleń i niosły dalej wzór niedojrzały i wykoślawiony. Dzieci szybko rozumiały, że wtedy, gdy tatuś jest pijany, to najlepiej jest siedzieć w swoim pokoju i nie wchodzić mu w drogę. Z uwagą jednak wsłuchiwały się w jego krzyki, w płacz matki, w krzyki matki, w płacz ojca...

- Mamuniu, dziś są moje urodziny, tak? - Marysia chlipała dalej, a Wojtuś szarpał za jej prezent - misia z pleczakiem.

- Nieprawda, moje, moje, moje urodziny! - pokrzykiwał Wojtuś, tupiąc nogami.

- Spokój, dziś są urodziny Marysi! - Wiolce mieszały się myśli i emocje, a dzieci zaczęły się kłócić i poszturchiwać.

- Wojtuś, naprawdę przesadzasz! - Wiolka wtargnęła w konflikt między dziećmi. - Przecież ty miałeś

59

już urodziny, dwa miesiące temu i był tort, pamiętasz? Tłumaczyłam ci już nie raz, że Marysia będzie miała urodziny i wtedy, tak jak ty, dostanie prezent i zdmuchnie świece z tortu. Nie ty, tylko ona, właśnie ona, bo to są jej urodziny. Że każdy ma urodziny w innym dniu...

Wiolka spostrzegła rezygnację w oczach syna. Wiedziała, jak trudno mu się pogodzić z takimi sprawami, dodała więc szybko, by zbyt mocno go nie ranić.

- Wojtuś, kocham ciebie i Marysię, ty jesteś moim jedynym synem, a ona moją jedyną córeczką, ale już tak jest, że raz masz urodziny ty, a raz ona. Nie można się tak kłócić, wszyscy w rodzinie się kochają. Inaczej nie byłoby rodziny tylko jacyś obcy ludzie, prawda? A przecież my nie jesteśmy obcy, przecież się

bardzo kochamy.

- A ja nie kocham Marysi - wydukał Wojtuś pod nosem.

Odwrócił się tyłem, podszedł do telewizora i włączył program z bajkami.

- Wojtek!

Wiolka czuła, że zaraz puszcza jej nerwy. Po co się stara, tłumaczy, skoro i tak nic do niego nie dociera.

- Wojtek, mówię do ciebie!

Mały wpatrywał się w ekran, miał minę jak swój ojciec, gdy udaje, że nie słyszy, co się do niego mówi.

- Wojtek, nie wolno tak mówić!

Usta chłopaka wydeły się w jakimś dziwnym grymasie, jakby był obrażony, ale skończyło się na płaczu. Marysia też zaczęła płakać. Wtedy Wiolka włączyła ulubiony film syna, Bob Budowniczy, bo czasem nie warto tracić sił na próżne wyjaśniania, na które brak gotowości, lepiej pozwolić dzieciom po prostu zatopić się w telewizorze

60

i samemu uspokoić. Udało się, oboje przestali płakać i z mokrymi policzkami szybko przenieśli się w hipnotyczny świat ekranu.

„Nie mam siły, muszę się wykąpać, odpocząć, jeszcze jest tyle roboty, utrzyć masę do tortu, pozmywać wszystkie naczynia, te dzisiejsze i z wczoraj, przygotować obiad dla dzieci, odkurzyć mieszkanie, zrobić zakupy, jakieś sałatki na imprezę... Dobra, dobra, najpierw się wykąpię, póki oglądają”.

- Mama idzie się umyć, oglądajcie grzecznie, zaraz do was wracam - rzuciła w ich stronę.

Wiedziała, że będzie miała teraz dla siebie całe pół godziny, jedyne minuty, jakie udaje jej się wyłuskać pomiędzy potrzebami dzieci i męża, że będzie mogła zatopić się w wodzie, rozpuścić wszystkie rozgorączkowania i pośpiech, obmyć z bezustannego planowania i zmieniania tego, co sobie ustaliła, że na chwilę pobędzie sama ze sobą, tą leniwą i powolną - niematką, nieżoną, niekobietą, nietaką i nieowaką - bosko nijaką, bosko wszelaką.

Dzieci tylko na ułamek sekundy odwróciły głowy w jej stronę, by nie przegapić momentu, gdy Bob Budowniczy uruchamia koparkę.

Wiolka, idąc do łazienki, przeszła obok drewnianej półki z książkami, gdzie siedziała mała porcelanowa laleczka. Spojrzała na nią w przelocie, tak jak się zerka na coś, co jest dla nas niczym, tak jak się zerka na życie i idzie dalej - bez sensu, chaotycznie - do celu, który zazwyczaj, na końcu, okazuje się śmiercią.

Wiolka idąc do łazienki, nie zauważyła ostrzeżenia, jakie wysłała laleczka. Laleczka, mimo że jest martwa,

61

nie czuje, nie myśli, ale pojmuję skutki. Jest poza czasem, nie dostrzega przyczyn, ale dosięga do samych skutków, które teraz wirują wokół niej. „Drżenie i wrażliwość”. Wystarczy.

Wiolka przeszła obok laleczki, nie widząc jej. Nic nie poczuła, po jej skórze nie przebiegł najmniejszy dreszcz niepokoju, niczego nie spostrzegła, matczyzna intuicja nie ukłuła jej w serce.

Więc ktoś musi ją ostrzec! Kto mógłby to zrobić? Ja?! Niech! „Uważaj na dzieci!” „Uważam”. „Ale dzisiaj wyjątkowo! Rozumiesz? Nie spuszcza ich z oczu!”. Nic nie usłyszała, nic do niej nie dotarło. Dlaczego nie mogę zwyczajnie wdrzeć się do jej mieszkania i nadać jej krokom innego kierunku. Czy nie wystarczyło jej poranne poddenerwowanie, ciężar w głowie, napięcie. Czy nie wystarczająco dobrze to opisałam. Czy nie zrozumiała, że to jest oczekiwanie i gotowość?

Wiolka przechodzi obok porcelanowej laleczki, nie spostrzega niczego i niczego nie pojmuję. Wiolka przechodzi obok laleczki po milionkroć, idąc do łazienki, po włączeniu bajki z Bobem Budowniczym. Wiolka robi to wiecznie, dopóki diamentowa gwiazda, nie wejrzy dalej i nie zmieni biegu wypadków, dopóki Wiolka nie spostrzeże laleczki, dopóki prawdziwie na nią nie spojrzy. Dopóki laleczka, ta Barbarka, Mariolka czy Karolinka, nie zatrzyma jej, nie cofnie historii, która, mimo że się nie zdarzy, może być opisana.

Diamentowe światło gwiazdy rozświetliło mocniej rzeczywistość wszystkich przedmiotów, by droga do łazienki nie była przyczyną, by skutek, jaki ujrzała laleczka, nie stał się powodem następnych zdarzeń...

62

...Zadzwoni telefon..., Klara przecież będzie chciała choć chwilę z kimś normalnie pogadać, uciec myślami od tego, czego nie może przyjąć, na co nie jest jeszcze gotowa się zgodzić... Wtedy Marysia podbiegnie za szybko, dlaczego ona zawsze tak koślawo biegnie?, nie jest tak zwinna jak Wojtuś, tylko jakoś po dziewczęcemu urocza i nieporadna, przez co nie utrzyma równowagi..., potknie się więc o stółek, który tylko stoi, bo stoi i nie jest zły, bo meble i przedmioty nie są niczemu winne, stółek, który ktoś postawił dziś rano za daleko od stołu, tam gdzie nie powinno go być, rozpoczynając tym samym lawinę zdarzeń..., a później Karol w rozpaczy rozwali go, uderzając o stół i podłogę, zaciskając wargi i przeklinając siebie. „To jest kara! Kara za grzech. Czemu karzesz mnie mym dzieckiem?”, będzie krzyczał do tego, którego nie ma, ale który w tej chwili, będzie mu potrzebny, Niemy Bóg, który ma wziąć odpowiedzialność za nieszczęście, za wypadek, za przypadek, za całe spieprzone życie. „Ono jest niewinne, Boże, nie mieszaj go, proszę, bij mnie, męcz, alej uratuj. Błagam”... A to tylko stół, który miał taki ostry wystający róg, meble z metalu. Co za moda, kto wymyślił ten kształt i materię, kto postanowił wyprodukować i wprowadzić do sklepów?! Taki stół: twardy, metalowy, jak dzida do rozłupywania czaszek wroga. Stół, taki właśnie, nie inny, nie drewniany z zaokrąglonymi rogami lub po prostu swym kształtem uciekający od kantów prostokąta do ideału koła, tego z tajemnicą nieskończonego pi. A na nim stał telefon, od dawna tak stał, albo leżał, i wtedy zadzwonił. Kto położył tam ten telefon, zamiast przyczepić go do ściany, na przykład w przedpokoju? Zamiast położyć go na półce



z książkami, o, choćby tu, gdzie leżą miniaturowe tomiki wierszy, zostawiające wystarczająco dużo miejsca, by mógł przy nich spocząć, właśnie tu, obok tych trenów i elegii. Więc nie ma wyjścia? Klara musi zadzwonić? Odciągnąć dzieci od telewizora, dać sygnał do wyjścia? Na miejsca gotowi, start, biegnijcie, kto pierwszy, kto pierwszy złapie słuchawkę. Może musi, może nie musi, właściwie nie wie, po co dzwoni. Żeby powiedzieć o niespodziance? Przecież wtedy by nie było niespodzianki... Więc po co dzwoni? Tak pogadać... Nie można? Więc, do biegu, gotowi, start, biegnijcie, dzieci, kto pierwszy, kto pierwszy złapie za słuchawkę. Czemu nikt tak długo nie odbiera? Przecież Wiołka powinna być z dziećmi w domu, powinna szykować urodziny córeczki, sprzątać, gotować, czemu nikt nie odbiera... Przecież Marysia ma dziś urodziny, przecież dzisiaj jest ten szczególny dzień, wiesz, ty zostałam w szpitalu... a ja i Karol, och, nieważne, z tym już koniec... Po co dzwonisz, Klaro? Przecież i tak nic nie powiesz o zdradzie. Nie dzwoń! Drrrrrr. Marysia tak szybko podbiegnie, tak strasznie upadnie, uderzając głową o sam róg stołu. Nikt nie usłyszy dźwięku pękającej czaszki. Łuk brwiowy taki twardy, przecież to ściana chroniąca wewnątrz pełne kory mózgowej, magicznych tkanek i kosmos połączeń nerwowych, tego nadludzkiego dobra, jakie dostał każdy z ludzi, by być czymś więcej niż tylko zwierzęciem. Co za potężny mur, nie skruszy go żaden młot. Skruszy... Patrz... Ach, Marysiu, chciała odebrać telefon, tak? Zdążyć przed Wojtkiem, tak? Przecież ty też umiesz powiedzieć „halo”, prawda? No nie płacz, już. Ach, nie zapłacz, nawet nie jęknij. Jej łuk brwiowy, taki twardy, a jednak pęknie i popłynie krew, a cukierek nie da się przełknąć, zatrzyma się, pozostawiając Marysię w jakimś nieokreślonym ni to

życiu, ni to śmierci. A jej niegdyś różowe tkanki pod czaszką zszarzeją z braku dopływu tlenu, a kolejne tomografie mózgu nie pozostawią żadnej nadziei. Przez ten cukierek, co się zaklinuje w przełyku, w tchawicy, duża różowa landrynka. Kto ją stworzył, wymyślił, wyprodukował? Kto, kto, kto?! O świecie nieludzki! Czemuś, matko wyrodna, kupiła je w kiosku na dole, czy nie wiesz, że od nich zęby psują się najbardziej? Marysiu, chrząknij, Marysiu, nie pozwól się zamroczyć uderzeniem w głowę! Co za fatalne zbiegi okoliczności. Tyle puzzli łączy się ze sobą lawinowo i doskonale, jeden z drugim, w perfekcyjny, śmiertelny scenariusz, obraz, nad którym przez chwilę będzie stał Wojtuś, wpatrując się w nieprzytomną siostrę, a z łazienki będzie dobiegał głos mamy. „Odbierz telefon, Wojtuś!” Więc to musi być przeznaczenie! Czemuś, leniwa kobieto, weszła do tej wanny, dzieci z oczu spuściła?! „Odbierz telefon, Wojtuś, mama się kąpie!” Nie odbierze, będzie stał i patrzył, jak Marysia nie wstaje, nie podnosi się, nie płacze. Wojtuś ujrzy jej krew i bardzo się przestraszy. Taka krew jak na filmie. Ale na filmie nigdy się nie bał, a nawet lubił takie filmy, bo rodzice szybko przełączali na inny program, więc w tej krwi na pewno była jakaś tajemnica. Tajemnica świata dorosłych. Ale teraz będzie mógł spokojnie jej się przyjrzeć, jak wypływa ze szczeliny w głowie, Marysia się nie rusza, mijają sekundy, minuty, a telefon już nie dzwoni... Czemuś jej nie pochwycił w ramiona, nie potrząsnął, czy nie widziałeś, że się dusi, że przestaje walczyć o oddech, zamroczona?! Tak się bałeś tej stróżki krwi? Rycerzu! Wojtusiu! Wtedy Wiołka wyjdzie z łazienki i na ułamek sekundy zastępnie jak on. Ale tylko na ułamek najkrótszej chwili. Bo już Marysia jest na jej rękach, już tuli ją do serca i krzyczy. Wojtuś nie wiedział, że jego

matka może tak krzyżeć, ... iw rozpaczy strasznej pobie- \ gnie Wiolka z nieprzytomną dziewczynką do samochodu..., a Wojtuś znieruchomieje, widząc to wszystko..., ale to Marysia będzie nieprzytomna, tyle dni, miesięcy... aż do śmierci. Niech ktoś przerwie ten bezwzględnie przygotowany atak, ten niby przypadkowy splot nieszczęśliwych wypadków, ustawień przedmiotów w przestrzeni, ludzkich ruchów i ich zaniechań, to celowe okrucieństwo! Czy nic nie da się zrobić?

Wiolka weszła do łazienki, a przechodząc obok półki z książkami, zerknęła na laleczkę tylko przelotnie. Zamknęła drzwi, już jest w łazience, włożyła korek do wanny, odkręciła wodę...

„Ale dziwne zmęczenie, przecież jest rano, żebym tylko nie była chora". Wiolka zaraz wejdzie do wanny. „Może nastawię pranie". Włożyła więc brudne ubrania do bębna, nastawiła program; ubrania kolorowe, 40 stopni. Zerknęła na swoją twarz w lustrze.

Jest! Jest! Jest! Patrz! Laleczka siedzi na półce z kosmetykami i wspaniałomyślnie odbija się w szklanej tafli.

Wiolka spojrzała w oczy laleczki, tej Barbarki, Mar-lenki, czy Karolinki. Wzięła ją w ręce. Bęben pralki, poruszywszy się nieznacznie (bo prąd-magik, ruszający martwymi przedmiotami, pozwolił mu się zakręcić), zerknął swym wielkim szklanym okiem na pierwsze po trzech latach spotkanie kobiety, trzydziestoletniej matki, z lalką trzylatką, ale tylko dla Wiolki, która nie wiedziała,

66

ile czasu spędziła zabawka w pudełeczku-trumience w dużym centrum handlowym.

„O rany, laleczka od Klary. Myślałam, że zginęła, laleczka, którą dostałam tuż przed urodzeniem Marysi, a dziś są właśnie jej urodziny. Kto ją tu posadził? W łazience?" Wiolka wzięła małą porcelanową laleczkę i wróciła do dzieci.

„Niech!", rozbrzmiała z mocą wodospadu woda spadająca do pustej wanny, a Klara zeszła do recepcji pensjonatu, by zadzwonić.

- Hej, zobaczcie, co znalazłam - zawołała Wiolka, machając laleczką w kierunku dzieci.

Dzieci musiały oderwać się od ekranu telewizora, bo głos matki zapowiadał coś wyjątkowego. Marysia pierwsza wzięła laleczkę w ręce.

- Ale ma długie włosy. - Pociągnęła za jej sprężynujące białe loki.

- Chcicie ją poczesać? - Wiolka podała dzieciom swój grzebyk z parapetu. - Proszę, tylko nie szarpacie za bardzo, bo powyrywacie jej włosy.

- Ja nie chcę lalki, tylko misia z plecaczkiem.

Wojtuś wrócił spojrzeniem do Boba Budowniczego, zrobił nadętą minę, ale za chwilę jego dolna szczęka się rozluźniła, a następnie lekko opadła ze zdziwienia, bo Bob Budowniczy zabierał się do naprawiania silnika koparki.

Gdy zadzwonił telefon, białe włosy laleczki przywitały się z grzebieniem. Marysia pogładziła je bardzo delikatnie, żeby nie wyrwać ani jednego, tak jak prosiła mama. „Kto je rozczesze, a żadnego nie wyrwie, na pewno wygra”. Wiolka podniosła słuchawkę, nie wykąpie się

67

już, a nawet zapomni o wodzie wlewającej się do wanny, której szum zagłuszyła pracująca pralka.

- O, cześć Klara, nie uwierzysz, właśnie znalazła się laleczka od ciebie, Marysia ją czesze... No, naprawdę... Była w łazience... a skąd ja mam wiedzieć? Może Karol ją tam zaniósł. A nic, zapracowany, ja też nie mam siły... Będziesz wieczorem? Nie? Dlaczego? Nie wygłupiaj się, wszyscy przyjdą... Nad morzem? Teraz? Co ty tam robisz? Ale ci zazdroszczę, też bym się gdzieś wyrwała, żeby sobie wszystko przemyśleć... A kiedy wpadniesz? Dobra... w przyszłym tygodniu, ja jestem cały czas w domu, wiesz przecież... No, pozdrowię, jasne... Dobra, wtedy pogadamy... Wypoczywaj i wracaj. Pa.

Wiolka poczuła w końcu przyływ sił, zwyczajnie, po prostu odeszło zmęczenie. Dzieci siedziały grzecznie, jedno oglądało telewizję, drugie czesało laleczkę, mogła więc spokojnie umyć naczynia i poddać się wracającym wspomnieniom.

Dokładnie trzy lata temu wpadła Klara z prezentem. Zawsze dawała jej prezenty z różnych dziwnych okazji, a wtedy na tydzień przed terminem porodu, przysłała tylko na chwilę, a została na cały dzień i noc, i następnych kilka dni. Może to ta laleczka przyspieszyła wszystko? Zresztą, kto to może dokładnie przewidzieć, którego dnia urodzi się dziecko.

A urodziło się właśnie wtedy, trzy lata temu. Dobrze, że nie było tak ciężko jak z Wojtkiem, szczęście, że Klara

68

z nim została, bóle zaczęły się tak nagle, że nikt nie był przygotowany.

Wiolka czuła wręcz, jak otwiera się brama szyjki macicy, pamiętała te fale bolesnego skurczu z poprzedniego porodu, tym razem jednak towarzyszyło im potężne gorąco, tak jakby jej otwierające się ciało było fabryką produkującą ogromne ilości ciepła.

Czekając na Karola, nie mogła już opanować bólu i z regularną dokładnością padała na dywan w dużym pokoju i zwijała się w kłębek, a gdzieś kątem oka widziała trzyletniego wtedy Wojtusia, jak stał w piżamce, trzymając za rękę Klarę, która zerkała na sekundnik swojego zegarka, licząc długość skurczy i czas pomiędzy nimi.

Napięcie rosło, ból rósł, a potem poczuła ciepłą wilgoć między nogami i zamarzyła o basenie z gorącą wodą, gdyż instynktownie czuła, że to jej może przynieść ulgę. W wyobraźni podpłynęły do niej delfiny-akuszerki. Pod wodą trącały jej ciało, rozchylały uda, uspokajały, tłumacząc, że dziecko jest bardzo blisko.

Wtedy napór na krzyż i miednicę zrobił się większy, a ból naprawdę nie do zniesienia, ale był już przy niej Karol. Czuła, że omdlewa w jego ramionach, do tego jest jej niedobrze i potwornie gorąco. W samochodzie walczyła ze sobą, by nie urodzić, gdyż twarda główka wyraźnie była gotowa do wyjścia.

Przechodząc obok dyżurki położnych, trzymała się za krocze, marząc tylko o tym, by móc paść gdzieś na podłogę, przytrzymać się ramion Karola i w pół uklę-ku urodzić to niespokojne dziecko, jak wtedy myślała o Marysi. Położne od razu zorientowały się, co się dzieje,

69

więc złapały ją pod ramiona i krzyżąc „na porodówkę”, ciągnęły ją między sobą. Później niewiele już pamiętała. Chyba zerwały z niej ubranie, by mieć dostęp do rodzącego się dziecka.

Samego porodu nie wspominała, nie dawała rady. Jej ciało pamiętało go bardzo dobrze, ale umysł przezornie zamknął drzwi do tych wspomnień. Nie była w stanie linearnie odtworzyć go w myślach. Zrobiła się z niego ciężka kula zwiniętych razem przeżyć, które tkwiły gdzieś głęboko pod żołądkiem, a wydobywanie jej by- ; łoby ponownym rodzeniem. Dlatego Wiolka nigdy nie lubiła głupich pytań koleżanek: i jak, i jak? Jak to jest? Bolało? Bardzo? Ale wzięłaś znieczulenie? Opowiadaj po kolei.

- Mamo, włącz jeszcze raz Boba, mamó, szybko!

Wojtuś wytrącił ją z rozmyślań, więc Wiolka przerwała mycie naczyń i nastawiła następny odcinek filmu. Niech oglądają, przynajmniej jest spokój. Dźwięki z łazienki przypomniły jej o nastawionym praniu, jednak nie usłyszała wody, która wylewając się z wanny, mokrym jęzorem wylizywała podłogę.

Tym razem Bob Budowniczy uruchomił spychacz, a Wojtuś z zaciekawieniem potarł czoło. Spojrzenie Wiolki zatrzymało się z uwagą na laleczce, którą spokojnie czesała Marysia. Kolejne wspomnienia powracały.

- Marysiu, a wiesz, że ta laleczka to prezent, który dostałam od cioci Klary, dokładnie tego dnia, gdy ty się

70

urodziłaś. Ma tyle lat co ty, ale przez ten czas nie mogłam jej znaleźć, bo gdzieś się zawieruszyła. Ale jak tyją pięknie czesziesz!

- Tak, mamunia, bo ona ma takie dłuuuugie włosy.

Marysia wzięła w dwa palce jeden z loków i rozciągnęła go, pokazując, że gdyby rozprostować włosy laleczki, byłyby dłuższe niż ona sama.

- No i takie białe jak twoje. Prawda?

Wiolka pogładziła czuprynę córki, te jej niebywale białe włosy. Pocałowała czule dziecięce czółko, na którym nie ma śladu tego, co być mogło. Jest gładkie, białe i pachnące, i nigdy nie popłynie z niego krew.

Wojtuś zerknął na siostrę i jej zabawkę, mimo że Bob Budowniczy zamachał do niego z ekranu, wsiadając do spychacza. Rzeczywiście mają taki sam kolor włosów. Chłopiec poczuł się zazdrosny, znowu mama nie zwraca na niego uwagi tak, jak on lubi, tylko na tę głupią Marysię. Wojtuś szybko wyrwał jej lalkę, a sam złapał za grzebyk.

- Zobacz, ja ją uczeszę, ty nie umiesz. Gwałtownymi ruchami szarpał włosy lalki, ciągnął za jej delikatne loki, raz z jednej strony, raz z drugiej i z tyłu.

- Wojtuś, przestań, wyrывasz jej włosy!

Wiolka zdecydowanie podniosła głos. Chłopak nie przerywał, czesał lalkę z jeszcze większym zapałem, a widząc na grzebieniu biały puch, zaczynał ciągnąć jej włosy samymi palcami, celowo je wyrываяc.

- Przestań, przestań ją szarpać!

Wiolka musiała mu zabrać lalkę, była zła na syna. Co w niego wstąpiło? Wszystko robi z taką agresją! Od samego rana rzuca się i awanturuje.

71

- Teraz już spokój! Oglądaj film i to w ciszy. To była moja pamiątka, a ty ją zniszczyłeś! Jesteś niedobry, a ja nie wiem, co się z tobą dzieje. Oddaj ten grzebień! Zobacz, ile włosów wyrwałeś!

Wojtuś nie oponował, gdyż widział, że matka jest bardzo zdenerwowana. A jeśli zdenerwuje się naprawdę, to zamknie go w pokoju za karę. Nie chciał tego, było mu po prostu niezrozumiale ciężko i przykro. Sam nie wiedział, dlaczego coś uparcie odciągało go od zwykłego dziecięcego szczęścia. Jedyne, co mógł zrobić, to zacisnąć zęby. Ściągnął usta tak mocno, że prawie zniknęły z twarzy, zamieniając się w ciemną kreskę w kształcie smutnej podkowy. Tylko oczy zostawił otwarte szeroko, jak wtedy, gdy chłonął widok nagiej cioci w objęciach taty. Dobrze, że tego nie pamięta, prawie nie pamięta, choć coś z tamtych dni jednak go niepokoi. Lepiej nie płakać, mama powie, żeby się nie mazał. Kochana mama... I mimo iż Wojtuś - kosmiczny rycerz, pomocnik Boba, starszy brat, jedyny syn - nie zapłakał, to jego łzy rozbłyły w świetle diamentowej gwiazdy.

Wiolka odebrała synowi laleczkę. Zwyczajnie odłożyła ją na stare miejsce trzyletniej samotności. Drewniana półka z książkami w przedpokoju nigdy nie była jej przeznaczona, a jednak to tu laleczka spędzi kolejne dni, mając tylko trochę rozczesane włosy... Ta Barbarka, Marlenka, czy Karolinka.

Wiolka cały czas czuła gorącą falę zdenerwowania. Nie lubiła krzyżeć na dzieci, ale od pewnego czasu zdarzało się jej to coraz częściej. Czyżby straciła cierpliwość? Zawsze była wzorową matką, wierzyła swojemu instynktowi, to on wskazywał, co robić, jak kochać. Teraz tylko

72

szum i rozgorączkowanie w głowie, jakby było w niej za ciasno, jakby coś miało z niej wyskoczyć, a mogło tylko się gotować, jak woda w garnku z przykrywką.

Bęben, który dotąd kręcił się w pralce harmonijnie i miarowo, nagle gwałtownie przyspieszył. Woda przelewając się z wanny, wypełniła już całą łazienkę. Opuściwszy zastany kształt, niczym ocean zalała i obmyła wszystko na swej drodze. Zardzewiałą spinkę spod pralki, korek od umywalki, którego nikt nie mógł znaleźć, kurz ciemniejszy od wilgoci. Woda szukała i węszyła wokół swą ciepłą wilgocią, pragnęła na czymś osiąść, tak jak przed chwilą bezpiecznie trwała w wannie, więc teraz dokąś zmierzała, podążała. Jej ruch był spokojny i konsekwentny, choć niespodziewany. Sama woda, zaskoczona nowym światem, niespiesznie dotykała podłogi. Uniosła mały dywanik leżący przed sedesem - pływający dywan, a nie latający jak w dniu, gdy Karol posadził na nim dzieciaki, mówiąc, że jest czarodziejem i zaraz uniesie je w górę.

Kolorowy dywanik zbliżył się do płynących w jego kierunku zakurzonych majtek. Wypłynęły spod wanny niczym z mrocznej jamy. Ukryte tam, w wiecznym cieniu, odmierzają czas, nasłuchując rytuałów wypełniających łazienkę. Moment, w którym upadły na podłogę, nie powtórzył się już nigdy. Ta gorączkowa chwila sprzed trzech lat, ruchy dwóch nerwowych ciał - kobiety i mężczyzny, którzy szarpali się nawzajem ustami jakby w pojedynku - szukających w tej walce czegoś, co pozwoli zapomnieć.

73

Zapomnieć o sobie, swoim przywiązaniu do siebie i roli, jaką się pełni.

On chciał zapomnieć - ojca i męża, który musi nieść rodzinę w życie, utrzymać życie i zarobić na życie.

Ona chciała zapomnieć - próżną kobiecość, wszystkich kochanków, którzy nic nie dając, tylko pogłębiali jej pustkę. Chciała przez moment, kiedy będzie w domu, pomagać przy Wojtusi, zapomnieć, że nie jest żoną, że nie jest matką, że nie czuła tego, co rodzica Wiolka. Chciała zapomnieć siebie - wolną singielkę, kobietę niezależną.

On instynktownie wiedział, że to zapomnienie będzie oczyszczającą terapią, wyczyszczeniem pamięci ze zbyt trudnego obrazu. Nie chciał pamiętać siebie nachylonego poniżej pośladków Wioli i jakąś nieznaną ciekawością wiedzionego ku jej kosmicznemu kroczu. Chciał i nie chciał pamiętać człowieka w podwójnej postaci, matki i córki rozłączających się na jego oczach. Nie chciał pamiętać widoku rozrywanej bólem kobiety, której ciało zamiast dawać rozkosz i przeżywać cud narodzin dziecka, omdlewało z wysiłku. Zapomnieć przekrwione białka jej oczu, siną z wysiłku szyję.

Zapomnieć twarz, tak odmienną wtedy od twarzy Wiolki. Z rozkazu biblijnego Boga na ten czas przemieniona została w potworność. Ewo, chciałaś wiedzieć, czym różni się dobro od zła, proszę, poznaj potworność.

Zapomnieć! Najlepiej teraz, w objęciach białego, anielskiego ciała Klary.

I ona też pragnęła zapomnieć, najlepiej w jego dłoniach, w ramionach mocnych i doświadczonych w byciu z kobietą.

Nagie stopy długo deptały zrzucone w pośpiechu ubrania, które później zabrano pośród nerwowego śmiechu czy płaczu. „Zapomnijmy, okay? Zapomnijmy i nie wracajmy do tego, proszę! Nic się przecież nie stało, to nic nie znaczy! To tylko chwila. Zapomnijmy ją! Po prostu zapomnijmy!”

I zapomniano. O nich też, o tych majtkach, które teraz wypłynęły z mrocznej przestrzeni spod wanny na sam środek łazienki, a nasiąkając wodą, nabrały kolorów, stały się barwną kwiecistą plamą na tle białych płytek, w pobliżu szarego dywanika.

Taki obraz powstanie zresztą już niedługo, niewyraźna wizja będzie dobijać się do twórczych dłoni Adama. Grubo kładziona farba stworzy malarską wizję zalanej wodą łazienki - olej na płótnie, bardzo duży: dwa pięćdziesiąt na dwa pięćdziesiąt. Zwykła łazienka wyłożona białymi płytkami, wanna pełna wody, wodospad spadający na podłogę. Łazienka zalana morzem szarości, przemieszanej z bielą i brudnawym błękitem. Tylko jedna ze ścian w łazience jest widoczna w całości - ta na wprost patrzącego. Ściany boczne, sufit i podłoga z rozlewającą się wodą nie mają końca, wychodzą z obrazu, potęgując jego wyolbrzymioną głębię. Tak jakby ta łazienka była morzem, którego końca nie widać. Gdy patrzeć na obraz z odległości, to widać wyraźnie te kwieciste majtki pływające w zalanej łazience. Gdy podejść blisko, majtki stają się wyspą pełną kwiatów, pośród których stoi nagi mężczyzna i naga kobieta, jak Adam i Ewa. Trzymają się za ręce.

Łza, nie mogąc spłynąć po policzku Wojtusia, zatęskniła do tej wody, do zalanej łazienki, do jakiejś prawdy,

do zrozumienia tego, co tkwi niewypowiedziane głęboko w sercu chłopca, jedyne świadka niezwykłych zdarzeń nocy sprzed trzech lat, gdy zachciało mu się siusiu i otworzył drzwi łazienki.

Gloria łapczywie zlizywała wodę spływającą ze ściany. Ogromny czerwony język pieścił białe tynki, mlaskając przy tym, ciamkając i siorbiąc. Tak bardzo smakowała jej ta woda płynąca od sufitu. Kapiąc z góry, kropla po kropli, łaskotała wielki czarny nos Glorii. Drażniła i nie pozwalała spać dalej.

Gloria była bardzo spragniona, budziła się właśnie ze swego dwutygodniowego snu. Właściwie mogłaby, a nawet powinna, spać dłużej, ale jej sen był zbyt płytki, a ciało nie miało wystarczająco dużo tłuszczu, by wyżywić potężną samicę podczas hibernacji i pomóc jej przeczekać trudny okres.

Lizanie ściany uspokajało ją i stopniowo dodawało sił. Jej oczy wciąż pozostawały zamknięte, tylko nos węszył i próbował rozpoznać miejsce, które zdawało się jednocześnie znajome i obce. Mała łazienka, zupełnie pusta, chłodna i betonowa, nie bardzo jej się podobała. Tylko słoma przesiąknięta zapachem jej własnego ciała przypominała bezpieczny świat, w którym chciałaby się obudzić. Jej nos wywęszył też znajome szmaty i stare koce, udające ciepłą wyściółkę lasu. Zapachy i pragnienie

mieszały zmysły Glorii, kazały jej dalej i dalej lizać wilgotną ścianę. Woda spływająca z góry nie kończyła się i niedźwiedzica powoli zaczęła otwierać oczy. Było zupełnie ciemno, dlatego samica nie otwierała ich do końca. Postanowiła poczekać na wschód słońca, aż świat się rozjaśni. Wtedy Gloria rozpocznie poszukiwanie jedzenia.

Jedzenie - smaki, rozkosz, o której marzyła - zaczęły krążyć w pamięci jej czarnego nosa. Zaczęła więc węszyć, czy gdzieś wśród spływającej po ścianie wody nie ma czegoś jeszcze. Czegoś, co dałoby jej moc do wstania. Niczego nie znalazła. Trzeba czekać aż wschodzące słońce obudzi świat wokół.

Słońce za oknami mieszkania na trzecim piętrze świeciło już dawno, był piękny bezchmurny poranek. Gdyby ktoś otworzył drzwi łazienki, Gloria mogłaby je ujrzeć, mogłaby wyciągnąć zeszywniałe łapy, rozciągnąć zdrętwiały kark, potrząsnąć ciałem i poruszać uszami, by chwycić dźwięki świata.

Była bardzo głodna, węszyła jednak bezskutecznie, aż nos, ogłupiały pośród betonowej wilgoci, przypomniał sobie, gdzie tkwi źródło wszelkiego pokarmu i wszelkiego szczęścia. Niezawodna pamięć nosa przywiodła ją ku wspomnieniu cudownego ludzkiego zapachu. Wśród sennych obrazów jawił się jej teraz kształt ludzkich dłoni niosących ze sobą obietnicę, nagrodę lub karę. Dalej wyrastał ten, który był piękny niczym drzewo; zawsze wyprostowany, niechwiejny, silny jak wichura łamiąca gałęzie i wytrwały jak ulewny deszcz. Niezrozumiały i upragniony jednocześnie. Dziwny najstraszniejszą obcością, jaką tylko mogła czuć, gdy zbyt pieszczotliwie wtulał swoją twarz w jej futro.

On. Och! On da jej jedzenie, jedzenie, jedzenie. On - największy i najlepszy. On - ukochany. On - najgroźniejszy. On - potęga królestwa ziemi, powietrza, wody i ognia. On - najdoskonalszy. On -jedzenie. On -jedzenie. On -jedzenie, jedzenie, jedzenie... On - wspaniały niczym mleczna pierś, która żywiła ją tak krótko, gdy narodziła się w dalekiej puszczy, w głębokiej gawrze i w półśnie wyrastała ze swego niemowlęstwa, tylko przez chwilę wtulona w futro matki, by później pokochać zapach potu jego skóry...

Gloria oderwała łeb od mokrej ściany, by przywołać matkę. Zaryczała. Ryk brzmiał jak wycie psa przerywane kaszlem, ale to był właśnie jej głos, który wołał: On.

Sasza nie wierzył własnym uszom. To już? Już się obudziła, wstała? Przecież jeszcze nie wszystko zrobione, nieprzygotowane, on też nie jest tym samym treserem. Jak sobie z nią poradzi? Może to tylko jakieś pomruki przez sen. Przecież ona też śni.

Powinna spać nawet pięć tygodni. Zawsze tak było. Wyszkolił się u Leśnej Kobiety w górach, jak wyciszyć energię zwierzęcia, jak uspokoić jego serce i krew, by przed zarżnięciem nie zadać mu bólu. By nie wtargnąć ze swoją świadomością śmierci w jego naturalny bieg życia, by nie przerywać tańca narodzin i umierania, tylko przyjmując dary w postaci mięsa, kości i skóry, jakie dawało pochwycone w pułapkę zwierzę. Wystarczył prosty masaż, regularne uciskanie skroni i modlitwa. „Nie



zabijam, przemieniam, przyjmuję, dziękuję, siebie też wymienię, gdy przyjdiesz taki lub inny, nie umierasz i ja nie umrę".

Leśna Kobieta potrafiła łapać bażanty gołymi dłońmi. Siadała bladym świtem w gęstych krzakach, wokół których rozsypywała zebrane wcześniej jagody, poziomki i maliny. Czekwała nieruchomo jak kot. Nigdy nie chybiała; wyskakiwała i łapała bażanta podrywającego się w ucieczce do lotu. Potem usypiała go, uciskając tętnicę, odmawiała modlitwę i skubała martwe już zwierzę. Sasza budził się, gdy ona piekła już dla nich posiłek. Początkowo nie chciała zabierać Saszy ze sobą: „Śmierdzisz śmiercią, nosiłeś broń, nie podejda”, tłumaczyła mu z uśmiechem. Dopiero po jakimś czasie, gdy już się oczyścił z wojennego piętna, wysmarowała go żywicą i zabrała ze sobą na łowy. Sasza nie wierzył własnym oczom. Wszelkie zwierzęta podchodziły do ich kryjówek: oprócz bażantów, również inne ptaki, mniejsze przepiórki, dzięcioły i pliszki. Wydziobywały porzrzucone owoce jak robią to gołębie na rynku miasta.

Najczęściej łapali właśnie ptaki, choć zdarzały się także lisy i wiewiórki. Wabione orzechami, oddawały swe futerka Leśnej Kobiecie, która przygotowywała się do zimy i plotła z nich długą kamizelkę. Saszy miał wystarczyć jego wojskowy płaszcz.

Modlitwę odbierającą świadomość polubił jak najpiękniejszą melodię, nucił ją z upodobaniem, porzucił też wiarę swych współbraci. Stare modlitwy nigdy nie zmieniały rzeczywistości, były zabawą i udawaniem, że coś można, gdy nic się nie udaje. „Używaj jej tylko wtedy, gdy naprawdę będzie taka potrzeba, gdy naprawdę

80

musisz jeść. A gdy przyjdzie twój czas, odmów ją po raz ostatni za samego siebie", mówiła.

Później, gdy uciekał z małym niedźwiadkiem pod pazuchą, użył tych słów jakby mimochodem. Wyszepiane w podduszoną świadomość zwierzęcia uśpiły je na dłuższy czas. Początkowo Sasza sądził nawet, że niedźwiadek zwyczajnie umarł z głodu, oderwany od swej matki, nie miał przecież prawa żyć.

Sasza przywoływał swoje najtrudniejsze wspomnienie. Dlaczego Leśna Kobieta nie zaryzykowała, dlaczego nie pozwoliła mu zostać, dlaczego postawiła go przed tak strasznym dla niego wyborem? „Albo ją zabijemy, albo będziesz musiał odejść, nie ma tu miejsca dla naszej trójki".

Ach, a może dobrze, że wtedy odszedł, że po raz pierwszy wziął życie w swoje ręce, tak jak złapał to niedźwiedzie małeństwo - mocno i z uporem iście nadludzkim. Postanowił, że nie opuści tego szkraba, którego miejsce przecież zajął, że nie może już żyć samym zaspokajaniem głodu i oczyszczaniem z wojny. Czuł, że musi wyruszyć, że chce zaryzykować, że ma już dość lasu i gór, że potrzebuje żywych ludzi.

Przypadkiem odkrył, że może swoją niedźwiedzicę wprowadzać w stan hibernacji, potrzebował tylko chłodnego powietrza, a ona dużego zapasu tłuszczu w swym ciele, by wykarmił żywy choć obezwładniony organizm.

Brat Glorii zginął. Urodził się pierwszy, a ponieważ Sasza nie zdążył jeszcze ochłonąć po swym zimowym letargu przy brzuchu niedźwiedzia, więc nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje i co robi razem z

Leśną Kobietą. Sasza tak wolał o tym myśleć, choć przecież

81

zwyczajnie upiekli niedźwiadka na ogniu i zjedli. Następnego dnia pojawiła się Gloria.

Ryk w łazience ponowił się, był trochę mocniejszy, ale wciąż jeszcze słaby, tak jak ona. „Dobra, dobra, aniołeczku mój kudłaty, idę do ciebie. Pospało się i jeść się chce? Mamy jedzonko. Same pyszności. Kapusta, dużo chleba i cukier. Mamy dużo jedzenia”. Powtarzając sam do siebie, próbował się uspokoić, obawiał się bowiem nowego życia, na jakie się zdecydował.

Gloria, strzygąc uszami, łapała znajome dźwięki, szukała miejsca, skąd dochodził rozpoznany głos. On - jedzenie. On - najgroźniejszy. Bała się a zarazem pragnęła go ujrzeć. Miała już szeroko otwarte oczy, nic jednak nie widziała, zamknięta w ciemnej łazience bez okna.

Sasza miał ciało równie potężne jak jego ulubienica. Ważył ponad sto kilo, mierzył ze dwa metry, a jego szerokie ramiona i wielkie dłonie czyniły z niego człowieka niezwyklej postawy. Wyglądał jak potężna góra. Był już niemłody, właściwie stary, ale niebywała siła emanowała z jego ruchów.

Z kąta pokoju, który udawał kuchnię, wziął jedną główkę kapusty, reklamówkę pełną suchego chleba, a do blaszanego, odrapanego wiadra wsypał kilo cukru. Zalał to odrobiną wody z kranu wystającego wprost ze ściany, a pod którym nie było żadnej umywalki tylko stara plastikowa miska.

Wnętrze mieszkania zdawało się puste i żałosne. Jakiś zaplamiony materac pod oknem, sterta starych gazet i książek rozrzuconych wokół tego legowiska, kilka butelek po wódce wypełnionych białym mętnym płynem. Z mebli miał Sasza tylko dwa krzesła znalezione pod

82

śmietnikiem. Mógł znieść więcej domowych sprzętów, ale nie chciał, aby ktoś zauważył, że się tu urządza.

Między blokami i śmietnikami włóczyli się różni bezdomni, więc Sasza postanowił upodobnić się do nich, sprawiać wrażenie, że jest na tym osiedlu od zawsze, że mieszka gdzieś na łąkach, a nie w pustym mieszkaniu, że się tylko tak szwenda, szuka jedzenia, śmieci, czy jeszcze czegoś.

Na razie udawało mu się mieszkać w tym bloku i pozostać niezauważonym. Mieszkanie, do którego się wprowadził, od dawna stało puste, obserwował je od momentu, gdy zaczął szukać lokum dla Glorii. Dlaczego nie miałyby w nim zamieszkać? Choćby na jakiś czas.

Te skurwysyny kazały ją uśpić, a w zoo jej nie chcieli. Bo za stara, zbyt chora i nie dogada się z innymi niedźwiedziami. Dziady pierdolone, klatkowicze najmocniejszych zwierząt świata. Tchórze. Łajdaki skurwione przez kasę. Atu, o proszę, puste mieszkanko. W sam raz dla nich. Obejdzie się. No, trochę wysoko jak na łapy i kręgosłup Glorii, ale przecież nie będzie z nią chodził na żadne spacerki, żadne

występy. Z tym koniec. Był tylko jeden spacer, o czwartej rano przez osiedle, z tym dziwnym przebraniem dla Glorii, żeby wyglądało na wózek z supermarketu wypełniony starymi kocami. I udało się. Druk w zamek i cacy. I mamy domek. A Gloria żyć będzie, aż ziemia sama nie przywoła jej do siebie z powrotem. Bo żyć można wszędzie, i w górach, i w lesie,

83

i w tym mieście, tylko na wojnie się nie da. Bo żyć trzeba do końca życia i nie wolno poddać się w połowie, jak mawiała Leśna Kobieta.

Sasza rozmyślał o tych dniach najstraszniejszych, gdy po akcji ekologów zakazano występów zwierząt cyrkowych. No, proste... psy zabrali sami, choć nie wiadomo gdzie, sukinsyny. Gołębnie ktoś kupił. Podobno jeździ z nimi do dzieci w przytułkach, a one tam występują. Tresowane ptaki, zadziwiające, umiały i jeździć na rowerkach, i siadać jeden na drugim, tworząc piramidę.

Konie jakiś elegancik wziął do siebie, bo stadninę ma i u niego będzie im dobrze. Ćwok wystrojony, wy-perfumowany. Koń nigdy nie uszanuje takiego fagasa - Francuzik jeden! Jak się odwinie i kopnie, to tylko echo zadudni. Żeby z perfumą na twarzy iść do takiego zwierzęcia, na wpółdzikiego przecież. Koń pozwala siedzieć na sobie, ale to nie kanapa! Zniża swą głowę, nie szczypie zębami, przyjmuje człowieka na swoje plecy, ale pod jednym warunkiem. Prostym i oczywistym. Chodzi o zapach, który musi być szczerzy, bo w końcu chodzi o zaufanie. Ty nie łamiesz mi grzbietu, a ja cię z niego nie zrzucam. A ten ćwok wyperfumowany, złapał dostojną klacz za uzdę i nieszczerze jej zawiął w nozdrza, jakąś ni to obietnicą ni to sztucznym tworzywem, a wszystko śmierdziało kwiatami z nieistniejących łąk. Koń nigdy nie uszanuje takiego fagasa i o wypadek bardzo łatwo. Ale niech mu na zdrowie!

Z kotami nie wiadomo co, chyba Baśka Kocica wypuściła je gdzieś daleko na łąkach. „Nie wracajcie do mamy. Teraz już możecie polować, zobaczycie, jakie to cudowne”. Opowiadała, że gdy otworzyła klatki, wszystkie

84

wyszły i ustawiły się równo jak do występu. Tylko ta łąka przedziwna wokoło już je wołała. A wtedy Baśka rzekła do nich: „Idźcie i polujcie, i nie wracajcie do mamy”. I poszły, mówiła, pomału, jeden za drugim, nawet się nie odwracały w jej stronę.

Bo dobry treser do wszystkiego przygotowuje i wszystkiego nauczy. Nie tylko sztuczek, by ludzie klaskali, ale też dzikości i życia bez człowieka, jakby go nigdy nie było. A życie bez niego to brak kar, bacików, kijów, pałek z prądem i obroży z kolcami. To również brak nagród, nawet tych najprostszych, jak codzienna porcja jedzenia i smakołyk, którym można każde zwierzę skusić i przekonać, by stało, chodziło czy skakało inaczej niż normalnie. Zwierzęta cyrkowe, ujarzmiona dzikość, natura jako sztuka, przeformowana, namiastka władzy nad żywiołami. Wielbłądy? Do zoo zabrali, razem z mamką jego Glorii. I ona też tam miała być. Ale nie, bo za stara i nie dogada się z innymi niedźwiedziami. Uśpić.

Mieszając wodę z cukrem, Sasza zerknął w swoje odbicie na brzegu wiadra. Jak stary dziad, brudny i zarośnięty". Miał gęste szpakowate włosy i czarną brodę. Nie golił się już od dwóch tygodni. Czupryna, gdy tylko osiągnęła długość powyżej pięciu centymetrów, zaczęła się wywijać we wszystkie strony, co podkreślało dzikość spojrzenia Saszy. Cały czas zajęty był gromadzeniem zapasów dla Glorii, nocą znosił je do nowego mieszkania. Chcąc zapewnić jej bezpieczny byt, zapomniał o sobie.

85

Niezauważenie przemieniał się z postawnego silnego i wysportowanego bruneta w przygarbionego, lekko siwiejącego i ogromnego ni to żula, ni pijaka, jakiegoś miejskiego kloszarda, który okrągły rok nosił palto i nawet jeśli się myje, to i tak zapach zakisły w palcie zdradza jego status społeczny - kwitowanie ponad akceptowalnymi rolami ojców, matek, mężczyzn i kobiet. Wystarczy dzień po dniu nie przeglądać się w lustrze, by ciało zmieniło się nie do poznania, by zwarta i zaplanowana forma, wymknęła się spod kontroli. Włosy same wybierają kierunki, w których chcą rosnąć i jak chwasty zarastają czoło i wypsy uszu. Brwi momentalnie dziczejają jak nie-przycinany żywopłot, zarastają posesję, wchodzą w okna oczu tak, że nie widać już ich kształtu, a tylko tajemnicze światło pozostałego w środku mieszkańca.

Sasza nie wiedział, ile czasu niedźwiedzica będzie spała, a musiał wszystko zorganizować, przygotować tak, by mogli razem żyć, nawet tu - w tym mieście i w tym bloku.

Patrzył teraz z dumą na stertę kapusty, kradzionej z pobliskich pól nocą, gdy wędrował bladym świtem i nożem wydierał ziemi swoje zdobycze, ciemnozielone głowy, doskonały posiłek i dla niego, i dla Glorii. Nic prostszego niż podduszona kapusta, wystarczy tylko sól, a jeśli jeszcze masz słoninę, to zapach i smak są wyśmienite, a strawa dobrze sycąca.

Suchy chleb leżał pod oknem na betonowej podłodze, część niestety już spleśniała. Zresztą, z chlebem nie ma większego problemu. Wszędzie można go znaleźć. Ludziom nie smakuje, czy jak? Nawet świeży, dobry dla człowieka, smaczny, elegancko schowany w reklamówce.

86

A wieszają te torebki wszędzie, nie tylko przy śmietnikach. Zbierając ten chleb, wspominał swoją puszcę i czasy zaraz po wojnie, gdy musiał się ukrywać. Umiał polować, miał broń, mógł rozpalać ognisko, zbierał leśne owoce i jadalne korzenie, radził sobie.

Właściwie nie bywał głodny. Wczesną jesienią w dzikim lesie jest jak w żywej spiżarni, wszystkiego w bród, tylko tego chleba mu brakowało, mąki zmieszanej z zakwasem, wypieczonej, pachnącej. Ten brak chleba był dla niego sygnałem, że jeszcze może powrócić do ludzi, że nie odszedł od świata aż tak daleko.

Wtedy pojawiła się Leśna Kobieta, i kto wie, czy gdyby nie ona, to kiedykolwiek powróciłby do ludzkiej cywilizacji. Przepędziła go, bo puszcza była jej i tylko jej. Ona i puszcza stapały się w jedno i nikt nie mógł stanąć pomiędzy nimi. Nie pozwoliła mu na ryzyko miłosierdzia, wypędziła go.

Każde ich spotkanie napawało go jednocześnie niepokojem i fascynacją. Nigdy też nie wiedział do końca, którą ze swych twarzy mu pokaże. Za każdym razem, gdy ją spotykał, ukazywała mu się jako ktoś inny.

Dzika okrutnica, łagodna bogini, troskliwa pielęgniarka, duchowa przewodniczka, a w końcu - nieludzka królowa puszczy.

Pierwsze z nią zetknięcie wiązało się z obroną i próbą ucieczki przed nieznanym drapieżnikiem. Był pewien, że to przerośnięty ryś skoczył mu na plecy i, prychając do ucha, próbuje wgryźć się w jego tętnicę, by zamknąć zawór swobodnego przepływu krwi. Sasza wykręcał swe ręce do tyłu, by złapać zwierzę, szarpnąć za futro i zedrzeć z siebie szaloną bestię. Jego zdumione dłonie

87

prześlizgiwały się po gładkiej ludzkiej skórze, jędrnej i tak sprężystej, że nie sposób było za nią złapać i ściągnąć z siebie napastnika.

Sasza próbował sobie przypomnieć, o czym wtedy myślał, ile czasu trwała walka, zanim zwinne palce Leśnej Kobiety zaczęły uciskać jego skroń jedną dłonią, a tętnicę szyjną drugą, zamykając go w hipnotycznym letargu. Ile czasu leżał nieprzytomny, co się wtedy z nim działo? Tego nie dowie się już nigdy. Wspomnienia jego powojennej tułaczki stawały się coraz żywsze.

A wojna? Wojna już go nie interesowała, bał się coraz mniej. Dziwiło go nawet jego dawne umiłowanie miejsca, w którym się urodził i wychował, i skąd postanowił za wszelką cenę wypędzić tych, którzy stąd nie pochodzili, a tylko przyszli, najechali i których było coraz więcej. Wojna. Wojna. Wojna. Teraz myślał o niej z wielkim spokojem i niewymuszonym zdumieniem, jakby ujrzał własne ciało, w którym ręka walczy z nogą, a oko z uchem kłóć się o to, które z nich lepiej postrzega świat. Wojna, wojna, wojna. Szaleństwo trzewi; żołądek próbuje strawić serce, a ono swym biciem chce zadusić płuca. Tamten świat nie był już jego światem.

Gdy ocknął się po ataku Leśnej Kobiety, ujrzał jej twarz jaśniejącą od płomieni ogniska. Miała na sobie jego ubrania, a właściwie tylko koszulę, która zakrywała jej ciało, odsłaniając tylko chude, bose nogi. Musiała więc, zaraz po tym, jak go przydusiła, zdjąć ją z zamroczonego, a potem z powrotem narzucić na jego nagi tors wojenny mundur. Nie chciała mu się pokazać naga, a nie miała swojego ubrania? O mało go nie zabiła. Nie mogła zwyczajnie powiedzieć? Oddałby jej koszulę.

88

- Nie mogłam - Leśna Kobieta spojrzała mu prosto w oczy i zwyczajnie się uśmiechnęła. - Wtedy byłam dzika i drapieżna, dobrze, że cię nie zabiłam.

Sasza znieruchomiał, podczas gdy ona gładziła jego koszulę, z wyraźną rozkoszą delektując się posiadaniem flanelowego materiału. Dorzucała do ogniska i uśmiechała się.

- Będziemy teraz razem, nauczę cię wszystkiego, ale musisz porzucić swoją broń i wszelkie wspomnienia o wojnie. Żadnych rachunków, żadnych winnych i ofiar, żadnego rozpamiętywania, tylko oczyszczenie - powtórzyła to kilka razy i uśmiechała się.

Sasza bał się, choć jednocześnie z coraz większą fascynacją przyglądał się jej długim włosom, zwiniętym

w kulisty kok na karku, jej wąskim stopom o spodach tak czarnych i wychodzonych, że wyglądały jak stara podeszwa doklejona do całkiem gładkich nóg o młodej, różowej, choć bardzo brudnej skórze.

- Kim jesteś? - spytał po dłuższym czasie wzajemnej obserwacji.

A może to wszystko nieprawda, może to tylko rojenia wyczerpanego głodem i strachem umysłu, wizja wyobraźni tworzącej nieistniejących towarzyszy, by nie oszaleć bez ludzi w otępiającej samotności gdzieś w sercu puszczy. Jego serce przepelniał zwierzęcy strach, czuł że go szukają, że polują na niego. Był ludzką sarną, za którą węszy wataha wilków łaknących zemsty. I on był kiedyś takim wilkiem, wiedział więc doskonale, co czują ci, którzy go szukają, którym zadał cios, których chciał zwalczyć i których wielu zabił. Wiedział, że nie spoczną, póki go nie znajdą, bo tylko oddając zadany im cios, będą mogli zakończyć

89

swoją wojnę, będą mogli wyciszyć swe wzburzenie, przestaną myśleć o sobie jako o skrzywdzonych, pozbędą się piętna ofiary.

Może więc Sasza wcale nie spotkał Leśnej Kobiety, może po prostu zbrodnie wojenne, wszystko, czego był świadkiem i co czynił, potrzebowały zdarzeń absolutnie nieprawdopodobnych, by wyprzeć je z pamięci. Czy nie lepiej tworzyć fantastyczne historie o leśnych istotach niż dawać świadectwo wojnie?

Przecież trzeba sobie jakoś radzić i w górach, i w mieście - tak jak teraz, z Glorią ukrytą w mieszkaniu na szarym blokowisku, bo żyć trzeba do końca życia i nie można się poddać w połowie.

Sasza, przypomniawszy sobie o głodnej niedźwiedzicy, rozejrzał się jeszcze raz po pokoju. Spojrzał na stertę kartofli. Cała góra piętrzyła się w rogu pokoju. Tyle udało mu się przynieść z magazynu przy łąkach. Odkrył, że blacha jednej ścianki się rusza i można wejść do środka. A tam - czego dusza zapagnie. A najwięcej marchwi, chyba z tona. Też dobra dla Glorii.

Gorzej z cukrem, a Gloria musi jeść cukier. Ale wszystko da się załatwić. Da się żyć. Hej! Do drzwi kulturalnie. „Przepraszam, potrzebuję cukru dla mojego starego konia, jestem biednym rolnikiem. Nie chcę pieniędzy. Mój koń jest już stary, ale nie pozwolę, by poszedł do rzeźni, choć nie mam pieniędzy, by go utrzymać. Bardzo proszę na osłode jego ostatnich dni”. I się udawało. Dają ludzie,

90

bo mają w domu po kilka kilo, tak mówili. Teraz tak się kupuje - hurtowo, na zapas. I dobrze. No to jest teraz tego z piętnaście paczek - dla Glorii.

Po mięso dopiero teraz będzie chodził. Już wie gdzie, na tyły bazaru, po drugiej stronie osiedla. Wrony go tam zaprowadziły. Ćwiartuje i rąbie jeden facet, a co zostaje - do rowu wrzuca. Tam te wrony zlatują. No, to będzie dla Glorii. Pójdzie nocą, już dzisiaj. Wszystko się da załatwić... i w puszczy, i w mieście, bo żyć trzeba do końca życia i nie można się poddać w połowie.

Sasza delikatnie otworzył drzwi do łazienki, żeby pierwsze światło nie przstraszyło Glorii. Przez małą szparę słyszał, jak niedźwiedzica węszy, niucha, ale się nie rusza i jest spokojna. Mówił do niej tak jak zawsze: „Aniołeczku mój kudłaty, dziuniu rozczochna, ty bestio niedźwiedzia”. Uchylił drzwi coraz szerzej i szerzej, aż światło dnia zalało całą łazienkę i ujrzał skierowany w swoją stronę czarny nos. Ten ruszał się niespokojnie, a górna warga podnosiła nerwowo, pokazując zęby. Potężne żółte zębiska. Parę razy je poczuł, ale nigdy się nie bał. Ona go chap, to on ją pięścią w nos, prosto w najczulszą i najwrażliwszą skórę, by bolało. Nigdy się nie przstraszył, ryzykował, oddając jej ciosy, ale czuł, że tak być musi. I przekonał Glorię, że jest potężniejszy. I zaczął ją tresować.

W jej oczach było teraz widać lęk, ale podnosząca się warga i pomruki to już nie ze strachu, tylko z napięcia.

- Gloriaa-aa-aa-aa!

Sasza, podnosząc głos, wymówił jej imię. Używał go tylko wtedy, gdy chciał ją poskromić. Wyciągał wtedy ostatnią sylabę długo i wysoko, a potem jakby szczekając,

91

wyrykiwał ją kilka razy. Gloria wiedziała, że teraz ma czekać, że może być komenda i choć w jej żyłach za każdym razem wrzała krew, to wbrew napięciu ciała robiła wszystko, co kazał. On -jedzenie. On - najpotężniejszy. On - najgroźniejszy. On - ukończony.

- Jama!

Ta komenda kazała jej otworzyć pysk. Sasza złapał ją za dwa dolne kły, ścisnął i poruszył jej głową, jakby trzymał konia za uzdę.

- Jama!

Znowu komenda, bo Gloria próbowała zamykać pysk. Jeszcze nie, niech sobie dobrze przypomni, że to on kieruje jej zębiskami, jak chce i kiedy chce. On - najgroźniejszy. On - najpotężniejszy. On - jedzenie. On - całe jej życie. W końcu Sasza zdjął swe dłonie z wielkich kłów niedźwiedzicy i pozwolił jej pochylić się nad główką kapusty.

Ona, jakby całując zielony skarb, polizała go, a jej nos nabrał osobnego życia, wwąchiwał się w jego głąb, aż w końcu Gloria, szarpiąc kapustę i rozrywając jej liście, oddała się jedzeniu. Rozprawiwszy się z kapustą, sięgnęła głową do postawionego przy niej wiadra. Tego oczekiwała! Gęsta słodka maź oblepiała jej przełyk. On -jedzenie. I jeszcze suchy chleb.

Sasza przyglądał się temu z uśmiechem, mruczał pod wąsem, jakby sam był niedźwiedziem. Był zadowolony. Tak, tak, Gloria żyła i miała się dobrze. Popadł w błogą zadumę, z której nic nie było w stanie go wytrącić, nawet niepokojący widok płynącej po ścianie wody, która niczym intruz wdarła się do ich tajnego schronienia.

Trzeba się w końcu zakochać. Mocno, z całych sił. Trzeba spotkać tę, na którą czekał już tyle czasu. Trzeba to zrobić dzisiaj i nie czekać już więcej.

Adam wstał dopiero po dwunastej, jak zwykle, gdy długo w nocy malował. Rozejrzał się po pracowni, wciągnął zapachy farb i terpentyny. Niedbale złożył śpiwór. Pijąc kawę, powtarzał sobie, jakby zaklinając samego siebie: „Trzeba się zakochać, zrobię to dzisiaj”.

Z zakochaniem jest podobnie jak z malowaniem, tak myślał, próbując przyrównać obcy sobie stan z czymś, co zajmowało go od dzieciństwa. Trzeba tylko wyjść naprzeciw swoim wewnętrznym obrazom, dobrze się im przyrzec i zwyczajnie przenieść je na zewnątrz.

Adam najczęściej malował to, o czym rozmyślał, w ten sposób komunikował światu swój światopogląd. Miał niezwykłą łatwość w tworzeniu obrazowych metafor dla swych poglądów. Za każdym razem, gdy już były wykończone w formie i kolorze, ukazując się jako gotowy obraz, zadziwiało go, że są tak oczywiste, zamknięte i fałszowane. Od razu zaczynał pędzić do kolejnych idei, których istnienia nawet nie podejrzewał, a których załączki

93

pojawiały się w momencie kończenia pracy nad jednym obrazem, zmuszając go do nowego zadania. Wtedy od nowa zaczynał swoje dłubanie w farbach, a twórcze cierpienie po raz kolejny go zdumiewało, znowu bowiem czuł, że nic nie umie, że nawet nie wie, jak trzymać pędzel w dłoni. Gdy patrzył na powstające na płótnie kształty, coraz bardziej wdzierające się do widocznej rzeczywistości, cierpiał jeszcze mocniej. Czuł rozdarcie między tym, co nieokreślone - choć prawdziwe - wewnątrz, a tym, co pojawiało się w kształcie, kolorze i fakturze, odrywając się jednak od pierwowzoru.

Nigdy nie był zadowolony z tego, co namalował. Jego żywiołem był proces, nie efekt. Efekt zawsze wywoływał w nim wstyd, stąd przemożna potrzeba, by namalować coś jeszcze, by zacząć kolejną pracę.

Tak właśnie wyglądał rozwój Adama, od idei do jej obrazu, a ta ewolucja miała gdzieś swój początek, ale końca w postaci spełnienia Adam nie umiał osiągnąć. Nie mógł się więc zatrzymać. Teraz błędził gdzieś na granicy między kończonym już dziełem, a pragnieniem kolejnego. Tym razem jednak czuł coś nowego. Imperatyw, by wyjść do ludzi i zakochać się w kobiecie, był potężny i Adam wiedział, że nie zacznie malować kolejnego obrazu, dopóki ten, który właśnie został skończony, się nie dopełni.

Adam rozejrzał się po wielkich płótnach porozstawianych po całej pracowni - oparte o ściany, o biurko i leżące na podłodze wpatrywały się w niego oczami kobiety. Na każdym z nich widział swoje zmagania. Swoje próby odnalezienia tej, która przechadzała się po jego wewnętrznym świecie, jakby była w nim od zawsze. Malował ją zwyczajnie stojącą i patrzącą wprost na niego.

94

Wiedział, że rozpoznają po spojrzeniu. Ale teraz czuł, że znajduje się pośród tłumu obcych kobiet. Szczupłe, raczej smutne, z krótkimi włosami i małą grzywką. Wszystkie były podobne do siebie, takie malarskie klony, i przestały przypominać tę, która jawiła mu się na skraju myśli.



Tak, teraz zrozumiał, trzeba się po prostu zakochać. Malowanie wymarzonej kobiety nagle straciło sens. Czuł, że otwiera się na miłość, która od dłuższego czasu spotykała go na zapomnianych uliczkach umysłu. Postanowił więc, że zaraz wyjdzie na miasto, wtedy na pewno ją spotka. Niezastygłe jeszcze farby na palce już poczuły odrzucenie. Intensywniej pachnąc, ostatkiem sił przywoływały Adama do siebie. Wszystko na nic. Adam postanowił się zakochać. Chciał to zrobić już dzisiaj. Był gotowy jak nigdy dotąd. Zmysł wyobraźni podpowiadał mu, że ona teraz gdzieś chodzi, spaceruje i też jest gotowa na miłość.

Wieczorem miał iść do Karola i Wiolki na trzecie urodziny ich córki. Dobrze się więc składa, że trzeba wyjść z domu, kupić jakiś prezent dla małej. Swoich starych przyjaciół nie widział już prawie pół roku. Uśmiechnął się do ożywających wspomnień. Właściwie to Wiolka dobrze zrobiła, że rzuciła Akademię. Długo namawiał ją, by tego nie robiła, ale dla niej całym światem stał się nagle syn, potem córka. Tłumaczyła mu, a on nie rozumiał. „Adam, dla mnie teraz najważniejsze są dzieci, rozumiesz, to jest taka absolutna miłość”.

Wtedy nie pojmował. Teraz to uczucie przyszło i do niego. Czyste uczucie, kochanie. Stąd wziął się pomysł, by namalować miłość, stąd te spotkania z kobietą na skraju wyobraźni. Ale teraz po prostu chciał się zakochać.

95

Zabrał się do tego rzetelnie, jakby robił szkic do obrazu. Tak, tak, zakochać się i kochać, bo miłości nie da się namalować. Pił drugą filiżankę kawy i podskubywał zamówioną wczoraj, zimną pizzę. Wiedział już, jaki tytuł będą miały te wszystkie obrazy, z którymi zmagał się przez ostatnie miesiące. Miłości nie da się namalować. Zawsze nadawał ostateczny tytuł dopiero, gdy kończył pracę, więc teraz poczuł ulgę, skończył cykl jedenastu obrazów. Jedna i tama sama kobieta, nieznana, ale bliska, bo z jego marzeń, z niego samego, jego miłość - prawdziwa. Był gotowy ją spotkać. Dzisiaj.

Chodził po mieście, dziwił się, że w maju może być tak ciepło. Zdjął sweter, przewiązał nim biodra i spacerował dalej, trochę po mieście, trochę po bezdrożach swych myśli. Zastanawiał się, ile kobiet jest w tym mieście. Milion? Może, ale ile jest tak jak on, gotowych na miłość. Sto? Dwieście? Gotowych dzisiaj, właśnie tego niezwykle dnia. Może ze dwanaście. Bzdura! Dzisiaj w tym mieście jest tylko jedna. Jedyna. Którą zaraz spotka i od razu rozpozna. Jak ją rozpozna? Przesuwał czujnym malarskim spojrzeniem po twarzach mijających go dziewczyn. Wszystkie dokądś szły. To nie mogła być żadna z nich. Jego miłość trwa, nie pędzi, donikąd nie zmierza, po prostu jest. Obecna teraz, silna i niedaleka. Myślał o tej miłości, a im bardziej ją czuł, tym bardziej był przekonany, że nie ma po co jej szukać, bo ona już jest.

96

Sklepy z zabawkami zaskoczyły go. Naprawdę było w czym wybierać. Dzieci mogą mieć teraz wszystko. Każde zwierzątko, nawet dinozaura. Każdy rodzaj samochodu. Nawet wymyślne statki kosmiczne. „Gdybym teraz był mały, bawiłbym się dinozaurami, które statkami kosmicznymi odlatują z ziemi na planetę, na którą nie spadł meteoryt. A może zaprojektować komiks? Ucieczka dinozaurów. Taki dla

dzieci, parę dinozaurów ratuje się, konstruuje raketę i szukają w kosmosie nowego domu. Nie, głupi pomysły".

Nie wiedział, co kupić Marysi. Gdyby pamiętał, jak to jest mieć trzy lata, pewnie byłoby łatwiej. A tak, przeglądał tylko kolejne książeczki-poduszeczki, la-leczki-Cyganeczki... Barbie czarnoskóra? Podeszedł do działu z muzyką dla dzieci. Śpiewające nutki, Wierszyki na dobranoc, O co dzieci pytają. Przeczytał informacje na okładce płyty. „Małe dzieci często zadają trudne pytania. Zapracowani rodzice nie zawsze wiedzą, jak na nie odpowiedzieć. Przygotowany i wydany przez Wydawnictwo Mały Człowiek zestaw pytań najczęściej zadawanych przez maluchy oraz odpowiedzi opracowanych przez zespół psychologów czytają wybitni aktorzy". Przeszedł po nim dreszcz. Możesz mieć rodziców, a i tak z nimi nie porozmawiasz, włączą ci płytkę.

Sam często rozmawiał ze specjalistami. Najpierw w Domu Dziecka, potem też... Nigdy nie interesowało go, co mówią mu ci obcy ludzie. Robił swoje, malował wbrew wszystkiemu. Był najlepszy na roku, zrobił dyplom i od razu sprzedał cały cykl ogromnych płócien Autoportret bez mamy i taty. Siedem obrazów, na których przedstawił siebie samego. Od niemowlaka do

97

dwudziestoczterolatka. Cofanie się w dzieciństwo i robienie sobie portretu z tamtego czasu było jak terapia. Namalował siebie, swój rozwój, był sam dla siebie rodzicem, własnym kreatorem.

Pierwszy obraz przedstawiał bobasa. Adam nie miał własnych zdjęć ze wczesnego niemowlęctwa, nie wiedział więc, jak wtedy wyglądał ani jaki był. Należał do tych istot, które zaraz po porodzie matka z niewiadomych względów odrzuciła. Znalaziono go dzięki sile jego płaczu. Zawinięty w koc, oblepiony krwią jeździł autobusem. Mógł tak jeździć aż do śmierci, gdyby nie instynkt, wzywający życie, rozdzierający jego nienakarmiony brzuch, który z każdą minutą głodniał coraz bardziej.

Jacyś zaszokowani młodzi ludzie do dziś pewnie opowiadają niezwykłą historię o znalezieniu noworodka. O tym, jak kierowca autobusu zmienił trasę, wysadziwszy wcześniej nielicznych zdezorientowanych pasażerów i popędził do szpitala. O tym, jak ulitowawszy się nad wrzaskiem głodnego dziecka, dziewczyna instynktownie wsadziła mu do ust swój mały palec, obietnicę smoczka i pełnej butelki - praideę mlecznej piersi. O tym, jak chłopak patrzący na noworodka ssącego łąpczywie mały kobiecy palec, zaciskał swe dłonie na kłującej choince, którą wieźli w ostatniej chwili, by zdążyć na Wigilię. Dopiero w domu się zorientował, że całe dłonie ma we krwi - od tych igieł choinkowych oczywiście. 24 grudnia, trzydzieści lat temu.

98

Adam wiedział tylko, że ci, którzy go przynieśli do szpitala, byli bardzo młodzi, mieli może szesnaście lat. Wyglądali na parę, ale równie dobrze mogli być rodzeństwem. Na ile ta historia pierwszych dni jego życia była tylko tworem wyobraźni, a na ile prawdą, nie wiedział. Zresztą nikt nie zna prawdy o swoim początku, to, co mu się powtarza przez całe życie, to zwykła legenda, otrzymany od rodziców czy

opiekunów przekaz, który sam się napędza i dopisuje nowe wątki.

Prawdziwej matki Adama nigdy nie odnaleziono. Z pewnością więc nie urodził się w szpitalu. Później, gdy był już kilkuletnim dzieckiem, lubił przyglądać się różnym pięknym kobietom i wyobrażać sobie, że może któraś z nich jest jego matką.

A ojciec? Myśli o ojcu pojawiły się znacznie później. Wtedy, gdy cierpiał w domu dziecka najbardziej, zaczął rysować swoje pierwsze obrazki: silnych rycerzy w zbrojach, królów odzianych w gronostajowe płaszcze lub żołnierzy z wielkimi karabinami. Uspokajał się, wmawiając sobie, że właśnie taki jest jego ojciec, że pewnie zginął, walcząc w chwale ze złem świata i że on też będzie walczył.

Na pierwszym obrazie przedstawił więc małego bobasa, leżącego nago w przestrzeni kosmicznej, trzymającego w rączkach kulistą kolorową zabawkę. Obraz był tak namalowany, że chcąc wyraźnie zobaczyć niemowlę, trzeba było odsunąć się od niego na parę metrów, stojąc bowiem przy nim w naturalnej odległości, widziało się tylko nieokreślone plamy i kulę ziemską, błękitną planetę zaczeponą na pępowninie. Można było się tylko domyślić, że niemowlę na obrazie bawi się kulą ziemską,

99

jednocześnie łącząc się z nią za pomocą pępownicy. Nie można było jednak zobaczyć tego jednym spojrzeniem - konieczny był ruch, by objąć całość obrazu. Oglądający zostali skazani przez Adama na ciągłe podchodzenie i odchodzenie -jakieś śmieszne dreptanie w przód i cofanie się, przymykanie oczu, szukanie odpowiedniego kąta spojrzenia, by jak najwięcej złapać jednym rzutem oka.

Kolejny obraz przypominał starą białą-czarną fotografię XIX-wiecznego budynku. Adam namalował go z fotograficzną wręcz dokładnością, przeniósł ze swej pamięci na obraz, by uwolnić się od jego widoku. Od widoku domu dziecka wrysowanego w tożsamość. W każdym z okien namalował twarz jakiegoś dziecka, zniekształconą makabrycznym krzykiem, otwierającym usta w nadnaturalny sposób. Ten obraz naprawdę krzyczał, więc dłuższe wpatrywanie się w twarze przerażonych dzieci było po prostu torturą. Każdy z oglądających z wdzięcznością zatrzymywał się na jednym z okien, jedynym, w którym nie było żadnego dziecka, i z ulgą wpatrywał się w czarną pustkę. Mało kto zdawał sobie sprawę, że to jest właśnie Adam z tamtego czasu. Niedający się uobecnić.

A potem siedmioletni, uśmiechnięty całą buzią chłopiec w stroju do Pierwszej Komunii Świętej idzie dziarsko naprzód, trzymany za ręce przez nowych rodziców - mama nazywa się Maria Boska, a ojciec Pan Boski. Za nimi cała rodzina uśmiechnięta jak z najlepszej reklamy czekolady albo lodów: Święty Józef zwany stryjkiem, starsi bracia Piotr i Paweł, ciocia Weronika ze wzruszenia ociera swe czoło chusteczką i kuzynka Magdalenka

100

- śliczna Mulatka. Komiksowa stylistyka i podpisy przy postaciach odwracały uwagę od jednego makabrycznego szczegółu. W lekko otwartych ustach Adama leży maleńkie ludzkie ciało zwinięte w pozycji embrionalnej, skurczone.

Każdy z obrazów niósł ze sobą określoną historię, był dziełem refleksyjnym z opowieścią, której nie dało się nie zauważyć. Czwarty, jako jedyny chyba, był po prostu piękny, mimo iż przedstawiał czyste okrucieństwo. Dwie rany w plecach nagiego mężczyzny bez wątpienia wskazywały, że wyrwano z nich jakiś anielski atrybut. Spływająca krew układała się w niezwykle rysunek skrzydeł, których przecież nie było.

I wreszcie zwykły realistyczny autoportret, bardzo nieporadny jeszcze, technicznie niedoskonały, ale autentyczny, bo namalowany przez Adama w dniu jego osiemnastych urodzin. Wraz z tandetną ramą naklejony na zwykłe nagie płótno w formacie pozostałych obrazów, przestrzennie wysuwał się naprzód.

Dwa ostatnie obrazy trzeba było oglądać razem. Na szóstym Adam namalował siebie w pracowni malarskiej na Akademii, trzymającego w dłoni pędzel, z którego ska-pywała tłusta czarna kropla. Przedstawił się w półprofilu, z wielką dokładnością oddał każdy szczegół pomieszczenia i swego stroju, zadziwiając wspaniałą techniką malarską. Przed nim stała stara drewniana sztaluga z płótnem, na którym bez wątpienia powstawał obraz, nie był on jednak widoczny, gdyż - oczom patrzącego ukazywał się tylko jego tył - żebra odeskowania przytrzymującego rozciągniętą tkaninę. Ostatni obraz był dopełnieniem poprzedniego, jego kontynuacją, doskonałym,

101

fotograficznym wręcz przedstawieniem płótna malarskiego gotowego, by położyć na nim pierwszą plamę. Był tym, co Adam spotykał na początku każdej swej pracy - nagim blejtrmem, który zdecydował się pokazać światu.

Obrazy te wstrząsnęły światkiem artystycznym. Dziennikarze w swych recenzjach zamiast pisać o obrazach, pisali o jego traumie i domu dziecka. Inni malarze zarzucali mu tanią prowokację i posługiwanie się barokowym konceptem. Wytykano mu też niekonsekwencję stylu, a chwalono doskonały warsztat. Śmiał się z tego, ale przede wszystkim czuł, że ten etap życia ma za sobą. Że może już być dorosły, nie będąc nigdy dzieckiem.

Cały cykl kupił jakiś biznesmen. Adam dostał naprawdę spore pieniądze i był wolny. Biznesmen pomagał mu potem zaistnieć na aukcjach i wstawiać obrazy do najlepszych galerii. Dopiero niedawno przyznał mu się, że też jest z domu dziecka... Chciał mówić, opowiedzieć swoją historię, ale nie dał rady. Adam wiedział, jak to jest. Był przecież sam, znikąd. Bez mamy i taty. Bez dziewczyny. Bez narzeczonej, bez żony. Był tym, co robił i co wędrowało po obrzeżach jego myśli, aż do dzisiaj, gdy wyszedł, by spotkać miłość, o której marzył razem ze swoimi płótnami.

Kupił dla Marysi farby i blok.

Dobrze, że Wiolka rzuciła ASP. Nie musi teraz kupować płyt o co dzieci pytają.

102

Majowe słońce i chodzenie po sklepach zmęczyły go trochę. To miasto oszalało! Bo jak to? Znowu jest zielono, wszędzie ta tandetna wiosenna zieleń. Drzewa wyglądają jak wyzwolone nastolatki w kiepskim makijażu i w natarczywie modnym seledynie, który jednak nie kłóci się z ich młodością. Niedługo największa dyskoteka - lato, seks z owadami, miliony kochanków i miliony dzieci rozsiewanych po całym świecie. Później te zielone nastolatki przebiorą się w bardziej eleganckie kolory. Nauczą się jesieni, wysmakują swój szal, skryją się w brązach, zadziwią szlachetnym złotem. Zasną. A może umrą? Przecież drzewa bez liści są martwe, nie mają czym oddychać, duszą się. Ale potem znowu - nowe życie - z tobą, bez ciebie, ważne, by był ruch. Liście wyjdą jak małe robaczki ze swych jamek, jakiś tajnych nerek. Rozwiną skrzydła i zakochane w ptakach podpatrzą, jak latać. Odlecą.

Adam rozmyślał, ramą swoich oczu szukając gotowych obrazów. Dlaczego nigdy nie malował drzew? Zawsze tylko ludzi. Wszedł do małej knajpki o nazwie Zoo. Siedzieli tu oczywiście sami ludzie. Każdy myśli, że to on obserwuje, a było dokładnie na odwrót.

- Co dla ciebie?

„Co dla mnie?” Długa grzywka zakrywała jedno oko kelnerki, ale drugie było niepokojąco znane. To ono, znalazł, cud, dziewczyna z obrazu, tylko grzywka jej urosła. To przecież nic dziwnego, prawdziwy świat jest ruchem. I ta czarna brew unosząca się w oczekiwaniu na zamówienie. Ona. Na pewno! Serce Adama waliło mocno

103

w płuca, aż nie mógł złapać oddechu. Bał się odezwać, pewnie głos by mu dyszał.

- Co dla ciebie?

Dziewczyna z obrazu powtórzyła lekko zniecierpliwiona, zagarniając długą ciemną grzywkę za ucho. Widok jej obydwu oczu upewnił go. To ona.

- Proszę kawę. -Jaką?

- Z mlekiem, proszę.

- Czy mógłbyś od razu zapłacić? Przepraszam, ale to nowe przepisy szefa, bo potem coś mu się nie zgadza w rachunkach...

- Jasne, nie musisz się tłumaczyć. Ile?

Adam sięgnął po portfel, skołowany brzmieniem jej głosu, ruchem jej warg, wszystko mu pasowało. Od początku do końca - ona. Prawdziwa, żywa! Musi ją jakoś zagadać! Jak? Coś trzeba wymyślić. Najpierw zapłaci, potem coś wymyśli. Wypije kawę i coś wymyśli.

W oczekiwaniu na kawę Adam podpatrywał kelnerkę, która stała teraz za barem i układała białą filiżankę, dzbanuszek i coś tam jeszcze na tacy. To pewnie kawa dla niego. Chyba raczej powinien zamówić szampana i wypić za odnalezioną miłość. Jego miłość. Malował i malował, aż wymalował mu się

dzisiaj ten cud przed oczami. Ruchomy obraz kobiety - właściwie cały film o jej krokach i głosie, ale też o cieniu, jaki rzuca jej ciało, tak zwarte i gęste, że światła nie przepuszcza.

Adam otworzył zeszyt i zaczął rysować. Szybkie szkice stolików w kawiarni aż do ściany baru, a tam przy dużym ekspresie - ona. Czuł, że jego ciało się spina jak zawsze, gdy czekał na nowy temat do pracy.

Znowu

104

wzywały go jego obrazy, te jeszcze niepowstałe, te czekające niecierpliwie w niebycie, a przecież wyraźnie gotowe, by przybyć. Nie. Nie teraz.

Niech. Niech. Niech. Od tego szeptu zadrżał obrus, wiatr go przygładził. Niech. Czy ona znów do niego podejdzie? Nie, przecież już zapłacił. Może jeszcze jedna kawa albo herbata, albo zamówienie nieustające, takie na cały dzień, na całe życie, by podchodziła co chwilę i przechylając głowę, spoglądała mu w oczy.

- Przepraszam! - Kiwnął w jej kierunku ręką.

- Czy coś jeszcze?

- Tak, jeszcze parę zamówień, tak... Proszę, a czy macie... jakieś ciasta?

- Dzisiaj jest szarlotka, sernik i ciastko czekoladowe. Czy podać kartę?

- Kartę nie, nie, na razie dziękuję... Nie, nie będę jadł ciasta, żadnego właściwie. A czy może... macie... wódkę? - „Wódkę?” Adam nie wierzył własnym uszom. To nie on zrobił to zamówienie, tylko jego nerwy, jakby się napił, to pewnie by się uspokoił. - Albo jakiś inny alkohol?

- Mamy piwo, no i ewentualnie herbatę z rumem.

- Herbata z rumem, tak, świetnie. Proszę, ale podwójny rum.

Adam znowu zapłacił od razu. Kelnerka - Ona, Dziewczyna z obrazu - szybko przyniosła rum w gorącej herbacie. Ten rozleniwił go na chwilę, ale bicie serca znów dało znać, że czas, że nawet nie wie, jak Ona ma na imię. I znowu kolejne zamówienie, jeszcze raz herbata z rumem, no i może jakieś grzanki. Adam wyraźnie poczuł się głodny. Zerknął też na znaczek przypięty do jej białej bluzki. Ewa. Jeszcze jedno zamówienie, piwo, tak,

105

zimne piwo, bo robiło się coraz cieplej. Gdzie jest toaleta? I... przepraszam, która jest godzina? Ewa jest przepiękna, malowanie jest bez sensu, świat jest wspaniały, a życie... Szybko dopił piwo, nic mu już nie przychodziło do głowy, bo jak jeszcze zagadać, ale nie jak kelnerkę, jakoś inaczej by trzeba...

- Przepraszam - przywołał ją raz jeszcze. - Posłuchaj, wiesz, ja mam takie pytanie, ja trochę maluję, no i może chciałabyś mi pozować, no wiesz, czy mogłabyś być moją modelką do obrazu? Chciałbym cię

namalować. Co ty na to? Ja jestem Adam. Może moglibyśmy się spotkać dzisiaj w mojej pracowni?

„Namalować? Mnie? Taki koleś? Pewnie nago”. Ewa skrzywiła się nieznacznie.

- Dzisiaj? Ale ja pracuję do 18. W ogóle to jestem Ewa. No, nie wiem. A co to za obraz, jakiś akt?

„Akt?” Nawet o tym nie pomyślał... No tak, żywa miłość jest naga. Właściwie to nie chce mu się jej malować, tylko zwyczajnie spotkać. Pracuje do 18.

- Mógłbym przyjść tu po ciebie po pracy.

- No dobrze, dobra, przyjdź. Zobaczę...

„Ewa, Ewa, Ewa... Ewa, Ewa”. Adam wychodząc, obrócił się, by jeszcze raz na nią spojrzeć. Stała za barem przy ekspresie do kawy.

- No i co, psinko? Chcesz zostać ze mną? Tak? Czekasz tu na mnie?

Klara pogładziła delikatną sierść psa wpatrującego się w jej oczy. Czekał na nią przed pensjonatem. Powinna już się spieszyć, za chwilę ma pociąg, dobrze, że stacja jest niedaleko. Tylko co z tym psiakiem? Szedł za nią aż z plaży, tak blisko, prawie cały czas mokrym nosem dotykając jej łydki. Wcale go nie wołała, nic do niego nie mówiła, a on sobie szedł i szedł. I to było takie dobre chodzenie.

Siedział przed pensjonatem dobre pół godziny, gdy ona starała się załatwić zwrot pieniędzy za niewykorzystane dni. Udało jej się dostać tylko połowę sumy. Nieważne. Zabrać tego psa? No, ale jak go nie brać? Siedzi, czeka, gotowy na wszystko. Na wszystko?

- No dobra, mały, idziemy. A jechałeś kiedyś pociągiem? Nie narozrabiasz? Przydałoby się jakieś imię dla ciebie... Coś wymyślę, ty miśku, ty.

Pies już stoi, jakby czytał w jej myślach, widać, że pójdzie, że nie sprawi kłopotu, że będzie kochał - zawsze...

107

Ekspres za piętnaście minut. Jak dobrze pójdzie, to za dwie godziny będzie na miejscu, jeszcze zdąży wpaść do Gawronów. Tylko że nie ma żadnego prezentu dla Marysi. No to da jej muszelki. I już.

- Normalny na ekspres i... bilet dla psa. Dla tego psa... średniego wzrostu...

Pies usiadł przy jej nodze, przycupnął. Klara po raz pierwszy poczuła się pełna i na swoim miejscu, ludzie zerkali na nią inaczej niż zwykle - z ciepłym uśmiechem. Wiadomo, prościej jest się uśmiechnąć do psa niż do człowieka. Bo to taka czysta szczerłość. Człowiek - nie wiadomo. Zawsze coś myśli, czegoś się boi, coś udaje. Spotykając drugiego, od razu zaczyna grać. Tysiące ról, częste zmiany charakterów. Lepsi i gorsi aktorzy. Niektórzy nawet wybitni. Lepiej się nie uśmiechać ot tak, do kogokolwiek. Bo to by musiało

coś znaczyć. Za uśmiechem musiałyby iść jakaś przyczyna. Jakiś konkretny powód. A do psa, można. Bo pies na pewno nie okaże zdziwienia na twarzy. Na pysku.

- No i jak ci się podoba? Mamy nawet pusty przedział. Możesz sobie pospać, a ja pomyślę nad jakimś imieniem. Może Misio... Błę, ale to głupie, albo Misiek. Bez sensu, nie jesteś w końcu żadnym niedźwiedziem, to może Pieso albo Piesso...

Ostatnie słowa nie dotarły już do zmysłów psa, zapadał bowiem w błogi sen. Duchota w przedziale usypiała go coraz mocniej. Zaraz będzie śnił.

- Przepraszam, czy można? - Głowa starszej pani nieśmiało zajrzała do przedziału.

- Proszę bardzo, ale widzi pani, ja jestem z psem...

- Och, tym lepiej, bardzo lubię psy.

108

Kobieta, wchodząc, potrąciła leżącego psa, a ten wy-budzony, podniósł łeb i węsząc, zerknął na Klarę. „W porządku?” „W porządku”. Już zaczęli rozmawiać bez słów. Najstarszym z języków, którego nie uczą na żadnych uniwersytetach. Tylko gwiazda rozpoznała znaki powstałe z miłości. Ruch rozpędzającego się pociągu dodał im rytmu. Umysł psa wpuścił Klarę, by wiedziała, a ona odsłoniła duszę, by poczuł.

- Pięknego ma pani psa. Widać, że rasowy, dobrze utrzymany, wypielęgnowany... no i jaki grzeczny. Pewnie dużo z panią podróżuje...

- Właściwie to pierwszy raz, ale wcześniej chyba podróżował sporo.

Klara nie chciała z nikim rozmawiać. Znalazła pusty przedział. Miała sobie tu posiedzieć i tak siedząc, delektować się tym, że sobie siedzi i jedzie, że krajobrazy się zmieniają, że pies śpi.

- A jak się wabi?

Jezu, co za idiotyczne słowo „wabi”! Jak ma na imię chyba? Nikt go tu nie będzie wabił. Wabił, czyli, no, jakoś, że chyba kusił. Co za głupota!

- Właściwie to dopiero szukam dla niego imienia.

- Naprawdę? To pewnie ma go pani od niedawna. Boże, czy ta kobieta wszystko musi wiedzieć, może lepiej coś skłamać.

- No tak, bo ja go dopiero co znalazłam... nad morzem. Albo może to on mnie, raczej. Wie pani, ja go przecież nie szukałam. Nie można znaleźć czegoś, czego się nie szukało...

Klara niespodziewanie, zupełnie otwarcie zaczęła opowiadać o swoim spotkaniu z psem. Sama dziwiła

109



się własnej szczerości i spontaniczności. Gadki szmatki z obcymi nigdy nie były w jej stylu. A teraz nie dość, że dokładnie opowiadała o psie, to jeszcze wyznała, po co pojechała nad morze, że miała się pozbierać, uspokoić, bo choroba, nikomu jeszcze o tym nie powiedziała, to jest tak przerażające, potworne, i jeszcze nagle zaczęła się zastanawiać, czy powiedzieć swoim przyjaciółkom o... nie tylko o chorobie, w ogóle o tym, co robiła, o tych wszystkich facetach... o tym, co ją gryzie... no tak... wyrzuty sumienia, a teraz jeszcze te bóle.

Czy powiedzieć Wiołce o Karolu? Jak to zrobić? Po co? Z pewnością ją wtedy straci, ale coś ją zmusza do tego, do jakiejś szczerości, która nic dobrego pewnie nie przyniesie, ale może chociaż uspokoi jej sumienie, bo ona nigdy nie była zwykłą puszczałką, jak wszyscy o niej myślą, więcej przez to cierpiała, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić. Nie, nie chce litości ani współczucia, chce po prostu choć na trochę stać się autentyczną sobą, chce też zmusić innych, by pozrzucali swe maski, które wrosły im w twarz. Niech Magda w końcu wyzna jej, co ukrywa, co je tak oddaliło, bo to nieprawda, że pojawienie się Filipa mogło mieć na to wpływ. Niech Piotrek dowie się, że mu wybaczyła, i jeszcze Bożena. Kochana, pewnie już zapomniała o ich młodzieńczej miłości - tylko wtedy czuła się naprawdę bezpieczna i szczęśliwa i... bardzo odtrącona. Musi przypomnieć Bożenie tamtą noc, tamto ognisko, to trzeba jakoś wyjaśnić. Czy była u lekarza? Była, była... każą iść do szpitala. Tak. Trzeba ciąć, wyciąć jak najwięcej, potem chemia, tak... No, nie jest najlepiej.

110

Łatwo mówić. Jakoś się ułoży. Dlaczego? Dlaczego ona? To jeszcze nie wyrok. Ale kim ona będzie po tych wszystkich zabiegach? Sobą... Ale kim? Jaką sobą?... Bo chyba nie kobietą. Będiesz sobą. Tą samą. Zmienioną. Nieważne. Sobą. Autentyczną. Pani łatwo mówić. Ile pani ma lat? No właśnie... A ja nie będę miała dzieci, jak mi wytną, może po prostu umrę. To na pewno, kiedyś... każdy umrze. Dzieci są wspaniałe i cudownie jest je kochać, ale nie mieć. Nie musisz rodzić dzieci, by je kochać! Tak jak nie musiałaś rodzić tego pięknego pieska, by go przygarnąć i się nim zaopiekować i... pokochać. Wystarczy się spotkać, zdać się na los, nie odwracać od niego twarzy, iść za swym pragnieniem. Mieć dzieci to jak dorabiać się kolejno... pozycja, praca, mąż, dom, dzieci... Potworny egoizm i wykorzystywanie nowo narodzonych ludzi, nich ci wypełnią bezsensowne życie, niech ci ofiarują jakiś sens i cel. Ja to wszystko przeszedłam i teraz znowu dręczy mnie to samo...

Po co to wszystko i gdzie ja jestem w tym wszystkim?... Nie rozumiem pani, to jakaś kpina... Ja to nawet żałuję, że nie wpadłam z którymś, ale nie - zawsze brałam tabletki, bo teraz to się planuje dzieci, wpasowuje w układankę życia... bo nie zawsze są oczekiwane, tylko czasem... bo musi być odpowiedni mężczyzna, no i jakieś pieniądze, i studia trzeba skończyć, i pracować, i ubezpieczenie mieć, bo dziecko to sprawa szpitala, no nie? Do cholery, czy to jakaś choroba, że dzieci przez szpital do życia wchodzi? I dom musi być - a dopiero wtedy dzieci. Bez sensu i za późno, trzeba było wpaść z którymś, obojętnie, z pierwszym lepszym, teraz to już nigdy. Będę

111

miała czarną dziurę w brzuchu, pustkę - bezużyteczną otchłań. Jak ty masz na imię? Klara. Maryla...

Starsza kobieta przytuliła Klarę i pozwoliła jej się wyplakać.

Niech, wyraźny ruch pociągu kołami liczył łzy. Niech - głęboki sen psa - ukojenie, poszukiwania zakończone, Bóg-człowiek w końcu się odnalazł. Już na zawsze w jego królestwie. Niech - wyznanie Klary mogłoby zacząć leczyć jej ciało, zapoczątkować przemianę. Niech - mały dar starszej pani, cud nieoczekiwanej bliskości.

Dobra, zrobi dzisiaj obiad. Taką niespodzianką dla Magdy, chociaż wcale mu się nie chce i w ogóle go to nie bawi. Ale dobra, może przynajmniej, gdy wróci z pracy, to nie będzie jęczeć ani go wnerwiać. Przyjechał rano z delegacji, przespał się dwie godziny w tej pościeli, w której były jej ślady, błękitna piżamka, prześcieradło wygniecione, trochę smrodku nocnego. Ale spało mu się dobrze i właściwie wcale nie położył się na swoim miejscu, na swoim ulubionym jaśku z poszewką frote, tylko na jej.

„Wiesz, ja wcale nie mam orgazmu”. Boże, chyba nigdy nie zapomni tych słów. Jakiś koszmar, siedem lat związku, studia, imprezy, wyjazdy, zawsze razem, seks, wieczory, chodzenie do kina, rowery za granicą, zgubiony portfel, kłótnie i wspólne cele, a oni zawsze razem.

Kadry ich wspólnego życia stawały mu przed oczami, jeden obok drugiego, pomieszane, ale każdy z głosem niewidzialnej Magdy „Wiesz, ja wcale nie mam orgazmu”. Boże, czyli ona nigdy? Dlaczego się wtedy nie odezwał? Zmroziło go. Wtulony w jej szyję, już chciał poczuć znaną pulsację, rytm i ciepło, kiedy ona pomiędzy oddechami jakby się zapomniała, jakby zdarła z siebie

113

maskę, chcąc ukazać prawdziwą twarz: „Wiesz, ja wcale nie mam orgazmu”. Zatrzymał się, widział, że Magda mu umyka, mimo iż patrzy jej głęboko w oczy, bo ma takie miejsca, w których może się schronić nawet, gdy on przewierca ją wzrokiem.

„Nie masz orgazmu? W ogóle?” „W ogóle, nigdy”. Boże, to jakiś koszmar, siedem lat tulenia, pieszczona, głaskania, całowania, ściskania, ruchania, masturbowania, lizania ciała, które jak elektroniczny piesek popiskuje i szczeka w odpowiednim momencie, ale tylko dlatego, że ma baterijkę, za którą nic się nie kryje. Bo elektroniczny piesek udaje tylko, że jest pieskiem, oszukuje, ale jeśli się wsłuchać w jego szczekanie i piski, to można usłyszeć fałsz, choć tak dobrze udaje, tak naturalnie. Poczł się wtedy śmiertelnie urażony, oszukany i... zdradzony.

Dlaczego ona nigdy mu tego nie powiedziała? Boże, czy on coś źle robił? Przecież mógłby się postarać jakoś inaczej, przecież by się udało, podobno kobiety mogą długo nie mieć orgazmu, ale... Dlaczego ona mu o tym wcześniej nie powiedziała? Oszukała go, siedem lat kłamstwa. Był wściekły i szczerze jej teraz nienawidził. Za to, że był tak szczęśliwy, kochając się z nią, gdy ona zwyczajnie go wykpiła. Robiła komedię. Te jej szeptki, jęki: „Wiesz, było cudownie”. Tyle razy to mówiła, tyle razy. Czyli on jej w ogóle nie zna? Jakże jeszcze kłamstwa i oszustwa mu szkodzą? Miesiąc do ślubu, a jemu się nic nie chce, zupełnie, i nawet nie wie, jak jutro wróci do pracy. Wszyscy wiedzą o jego ślubie i jeszcze dzisiaj impreza u Gawronów. Przecież Magda wszystko przekreśliła.

Dobra, zrobi ten obiad, a gdy wróci z pracy, to pogadają. Wtedy bez sensu tak się uniósł honorem, odwrócił

114

na bok, udawał, że śpi, ale serce waliło mu, a krew pulsowała. Przed oczami miał sceny ich miłości, różne pozycje, jej ciało, takie boskie, piersi falujące i dymiące namiętnie jak wspaniałe kominy, łopatki miękko przesuwane pod skórą, tygrysie kroki, wiolonczelę jej biodra, z którego mógł stoczyć się do wilgotnej puszczy - on zdobywca dzikich łądów, pierwszy traper, łagodny myśliwy.

Gdy z bijącym sercem zapadał w sen, Magda parę razy dotknęła jego pleców, coś chyba próbowała do niego mówić, ale on jej już nie wierzył, w żadne słowo, gest, szept, czy cokolwiek. Czuł zew myśliwego, którego wzywa dzika dżungla, czuł pożądanie kobiety, miłość Matki Ziemi, ale nie wierzył w nie. I już we śnie, wędrując po dzikim lesie, pełnym lian, skrzeczących papug, przemykających jednorożców, wśród błota, w wilgoci, która miała spokojny oddech, usłyszał jej słowa: „Nie jesteś myśliwym, zwierzęta się ciebie nie boją, nie dotarłeś jeszcze do serca dżungli, zejdz ze ścieżki, idź przez bagna”.

Sen był ciężki, jeden z tych, co to człowiek się przedziera, słyszy jęki, jakieś głosy, chce się wydostać, ale nie może. Pamiętał ten sen dosyć dobrze i teraz, stojąc nad torebką mrożonych warzyw, rozdzierając ją i wysypując zawartość na rozgrzaną oliwę, zrozumiał, że nic już nie będzie takie samo. Ze może nawet ślubu nie będzie, że on jej wciąż pożąda i dałby wiele, aby doprowadzić ją do autentycznej rozkoszy, że Magda go oszukała, ale on też nie jest tym, kim sądził.

Tłuszcz skwierczał, sięgnął więc po drewnianą łyżkę, by wymieszać warzywa. Już miał to zrobić, gdy spostrzegł, że jedna fasolka wcale nie jest fasolką. Delikatnie wziął to coś - jakby brązową skorupkę - i położył na

115

blacie. Pochylił się nad nią, zastanawiając się, co to może być. Brązowawe, kształtu wrzeciona, na którym spiralnie wiją się wgłębienia i dołki.

Filip kończył już obiad. Zwyczajnie, ryż z warzywami i trochę sałatki ze słoika od jego matki. Włączył nawet radio, leciały jakieś bzdety, znowu mówili też o gwieździe, o dziwnych anomaliach w zachowaniu zwierząt, głównie gołębi, które masowo zaczęły popełniać samobójstwa. Wzlatywały po prostu w górę, wzlatywały wyżej i wyżej właśnie w kierunku gwiazdy, aż do utraty sił. Spadały potem na ulice, dachy domów, wprost na jadące samochody - stąd parę stłuczek i zainteresowanie mediów. Ornitologowie nie wiedzą, co może być przyczyną takiego zachowania gołębi, zdradzili jednak, że znajdują również martwe wróble, a ostatnio także sroki.

Dziwne to i niepokojące, ale Filip miał swoje problemy z Magdą. Nie widzieli się cały tydzień. Nie zadzwoniła do niego ani razu, on zresztą też, nie wiedziałby, jak z nią rozmawiać. Jeszcze tylko podszedł do okna i spojrzął w niebo. Gwiazda mieniła się nadzwyczajnie, a Magda wjeżdżała na parking.

Skorupka kokonu odtajała z mrozącego uśpienia. Powstała kropelka już wyparowała, unosząc w

powietrzu słaby zapach ukrytego wewnątrz ciała. Mała istota, wygnieciona i skurczona w sobie, szukała miejsca, by się rozprostować. Nieznośne swędzenie nie dawało jej spokoju. Trzeba się podrapać i rozciągnąć, i poddać wołaniu. Głos był ciepły jak wszystko, co nieznanie i upragnione na zewnątrz. Trzeba tylko światła, by kokon ożył, i ufności bezgranicznej, by polecieć. Niech. Miliardy motyli pokoleń przedzierają się do światła ze świata

116

mroku, chłodu i hibernacji. Niech. Jakże mocny jest ten głos. Skruszy mury każdej fortecy. Niech słońce wypieści najmniejszy swędzący włos. Niech wiatr przywita, wyciszając ból pierwszego lotu.

Dwoje ludzi pochylonych nad pustymi już talerzami nie przerywało milczenia. Czuli upływające minuty, którym brak było motylej lekkości. Zwykła torturująca cisza, niepatrzenie w oczy, pociąganie nosami zamiast słów...

Jedna jest gwiazda szukająca drogi. Drogi do tego, co się nie zdarza, a mogłoby, do tego, co się nie wyjaśnia, bo za ciemno, do tego, co milczy nieproszone. Tyle dróg... to nieważne... wystarczy światło...

Najgorsze są rozmowy, które się nie odbyły. Wybuchają głośniejsze niż dynamit w samym środku ucha. Łaskoczą do bólu skrzekiem przekomarzających się papug. Zawisają niczym sępy, by pożreć i strawić aż do kości, a nawet kości. Potem nie ma już nic. Jest to takie trawienie ostateczne, do krańca.

Czy dwoje przy stole jeszcze jest? Niech... Niech zabrzmi rozmowa, która się nie odbyła, która się nie rozchodzi po mieszkaniu, która na nic nie będzie miała wpływu, której nikt nie zapamięta i nie wspomni na starość. Milczenie jest najgorsze, echem śmiertelnym wpada w diamentowe ucho samotnej gwiazdy, która nie przejrzy się w żadnym lustrze.

Filip mógłby zacząć, wymalować ciszę znakami, nawet niezrozumiałymi, ale widocznymi. Zawsze to on pierwszy przerywał nicniemowanie. Mądrzejszy od Magdy - psycholog z potężną świadomością destrukcyjnych sił tłamszonego ego. Filozof, poszukujący prawdziwej mądrości, tej która wyjaśni codzienność i nieuchronność

117

przeznaczenia, a może przypadku. Filip zawsze umiał przerwać milczenie Magdy, ale teraz tego nie zrobił. Nie powiedział choćby „Co u ciebie?” albo „Może pogadamy?”. Zamiast tego zagłębił się w doświadczeniu swej męskiej natury: władczej i nieomyłnej, tak mocno urażonej przez kobietę. Czy warto wsłuchiwać się w nie-zaistniałą rozmowę? Nie warto!

- Magda, przestań udawać, że nic się nie stało, musimy pogadać.

- Pogadać? O czym? Ja już wszystko powiedziałam... Chyba że ty coś ukrywasz?

- Dobrze wiesz, o czym. O tym, co się stało w nocy, o tym, co mi powiedziałaś'...

-A co ja ci takiego powiedziałam? Boże, bierzesz to tak stuprocentowo poważnie i od razu wielka obraza, wielkie halo. Zwykła rzecz, zdarza się. Żyjemy, no nie? Nic się nie dzieje, nic się nie stało.

- Stało się! Tak długo jesteśmy razem, wydawało mi się, że się kochamy, że jesteśmy blisko, a ty dopiero wtedy... Dobra, byłaś szczerą, dobra, doceniam to, ale jakoś mi to nie gra, że dopiero wtedy... Wszystko, co dla mnie było piękne i naturalne, jest teraz zwykłym oszustwem... udawaniem...

- Przestań, mówiłam, żebyś nie brał tego tak serio! Wyolbrzymiam proste sprawy! Przesadziłam, ok. ? Nie to miałam na myśli...

- Nie to? A co?Jezu... O co ci chodzi, człowieku?

118

- Nie mów do mnie „człowieku” i nie przywołuj Jezusa, ty buddysto z bożej łaski...

- A jak mam mówić?

- Srak... Albo nic nie mów.

- Nie wytrzymam. Człowieku, co jest grane? Nie masz, no... orgazmu?

- Skończ już i daj mi spokój!

- Przecież, no, jakoś!... Magda.

- Powiedziałam, co chciałam. Może zmyśliłam sobie? Nie ma tematu.

- OK., nie ma tematu, dobra, ale nawet jeśli skłamałaś... to po co?

- Uspokój się, nie podniecaj się tak, powiedziałam, co chciałam! Po co? Po co? Po nico. Po prostu sobie tak czasem coś palnę.

-Nie, ja oszaleję. Czy ty jesteś normalna? Czyli to jest nieprawda?

- Nie chce mi się o tym gadać!

- Ale mi się chce!

- Przestań! Nie podnoś na mnie głosu!

- Magda, czy ty mnie w ogóle kochasz?

- Znowu drążymy temat...

- Kobieto, przecież za miesiąc bierzemy ślub. O co ci chodzi? Nie mogę zapytać, czy mnie kochasz? Nie wiem, czy mówisz mi prawdę. Czy ty ze mną w coś grasz?

- Nie wiem.

- To kto ma wiedzieć?

- Nie wiem. -A co ze ślubem ?

- Nie wiem.

119

- Wiem, nic nie wiesz... A ja muszę, muszę wiedzieć za nas dwoje, bo w nas wierzę. Magda, jeśli jest coś, o czym nie możesz powiedzieć, tym bardziej wyrzuć to z siebie, uwolnij się, rozwiń skrzydła. Magda...

- Nie mów na mnie Magda, mam na imię Magdalena.

-Magdalena... Dobrze, oczywiście, przepraszam, nigdy wcześniej nie chciałaś, bym tak cię nazywał, ale dobrze, oczywiście, od teraz — Magdalena.

- Nie byłeś pierwszy...

- Nie byłem pierwszy?

- Jesteś drugi, rozumiesz, kolejny, następny, więc i nie jedyny... Rozumiesz?

- Tak, rozumiem.

- Nie, nie! Czy ty wszystko musisz od razu rozumieć? Przestań zachowywać się jak psycholog, to dlatego nie mogę ci nic powiedzieć. Nie jesteś moim terapeutą, nie chcę twojego dystansu i mądrości. Czy ty nie masz żadnych uczuć? Prywatnych emocji, osobistych jakiś wnerwień, odrobiny szaleństwa, przyzwolenia na ból, na zranienie... na prawdziwą miłość.

- Moja miłość jest prawdziwa.

-Nie, nie, nie... ja zwariuję, oszaleję zaraz. Skończ z tym rozsądkiem, zabijasz nas, rozumiesz?

- Rozumiem.

-A to że spałam z Bartoszem z Basów też rozumiesz?

- Nie rozumiesz?

- Z kim ?

- Spałam z Bartoszem z Basów.

120

- Właściwie... to... on mnie zgwałcił. Choć ja na to pozwoliłam, więc nie wiem, czy tak to można nazwać, już nic nie wiem. Aleja tak to czuję, rozumiesz, i to mnie męczy, gniecie od środka, boli. To było tak dawno, ale wciąż powraca, właściwie nie mogę mieć do niego pretensji, bo przecież pozwoliłam.

Teraz będę krzyczeć, lepiej zatkać uszy, muszę krzyczeć, tak jak wtedy milczałam. Milczałam aż do teraz...

(Słuchaćprzejmujący krzyk.)

- Magda! Magda! Przestań już! Rozumiem! Czuję! Sama siebie zgwałciłaś... Rozumiesz?

- Po prostu sama siebie skrzywdziłaś, zgwałciłaś, jesteś sprawcą i ofiarą jednocześnie. Tak się zdarza. Już koniec karania sprawcy, teraz sobie wybaczyć... Proszę, spróbuj...

- Spójrz...

Mały motyl przeleciał nad głowami dwojga milczących ludzi. Rozmowa, która się nie odbyła, wisiała jednak w powietrzu. Owadzie oczy uparcie dążyły do światła, bo tam jest życie i ciepło, i motyli raj. Kobieta i mężczyzna śledzili jego ruch. Wtedy Filip wstał, podbiegł do kuchennego blatu i uśmiechnął się, najpierw do siebie, potem do Magdy.

- Zobacz, został tylko kokon, taka skorupka.

Przysunął dłoń, by Magda mogła wyraźniej zobaczyć leżące na niej malutkie, najwyżej dwucentymetrowe wrzecionko, puste i jakby trochę pogniecione.

121

- To kokon? -Tak.

- Tego motyla? Skąd się tu wziął?

- Był w torebce z mrożonymi warzywami, wiesz... Już wysypałem wszystko na patelnię, o mało co i bym go usmażył, ale w ostatniej chwili coś mnie tknęło, zdjąłem to coś i położyłem na blacie. Nawet nie przypuszczałem, że to jest kokon i że tak szybko pojawi się motyl.

Cud.

Gloria rozbudziła się na dobre. Głód został zaspokojony, wciąż jednak coś krążyło po jej głowie. Nie siedziała przecież w znanym cyrkowym wozie, a Sasza, który był jak jej ojciec, sprawiał wrażenie zagubionego i niezdecydowanego jak wtedy, gdy przystawiał ją do wielbłądniego wymienia, które jakimś cudem ją wykarmiło, a przybrana matka okazała się najlepszą, jaką można było sobie wymarzyć. Pomimo dwóch garbów i kopyt, miała ciepły jęzor i cierpliwość, i dużo mleka. Sasza, siedząc w kucki, patrzył jej głęboko w oczy, palił papierosa, gładził się po brodzie i rozmyślał.

Gdy była malutka, nosił ją na rękach jak własnego dzieciaka, potem biegała za nim po psiemu, choć gibko-ścią i zwinnością bardziej przypominała kota. Prezent od Leśnej Kobiety, niedźwiadek.

- No co, Glorio? Przejdziesz się? Po naszym mieszkaniu?

Sasza szeroko uchylił drzwi łazienki, wyszedł i czekał na nią w pokoju. Gloria ryczała, wołała go, bała się wyjść. To normalne, zawsze tak robił, gdy przynosił ją do innych klatek. Czekał aż sama się odważy, aż sama

123

zdobędzie nowe terytorium. Ryk ponowił się, chyba bardzo się bała, dopiero co pobudka i to jeszcze w nowym miejscu.

Nagle gwałtowne pukanie do drzwi zatrzymało ryk niedźwiedzicy, wysunęła czujnie nos i skierowała go w stronę drzwi. Chryste miłościwy! Dwa tygodnie ciszy, a jednak ktoś przyszedł! Jeszcze raz pukanie. Sasza znieruchomiał. Nie otwierać! Tu przecież nikogo nie ma. Gloria, cicho, cicho! Niestety, Gloria zaczęła ryczeć gniewnie i coraz głośniej, ryczała i ryczała. Pukanie przerodziło się w walenie do drzwi. Teraz niedźwiedzica pewnie i bojowo wyszła z łazienki, zerknęła na Saszę. Będę nas bronić, rzuciła mu spojrzaniem. Poszła prosto pod drzwi wejściowe, niuchała przy zawiasach...

- Proszę otworzyć, tu ksiądz, przyszedłem z modlitwą, chcę tylko porozmawiać...

- Aararara! - Gloria stanęła na dwóch łapach i oparła o drzwi, ryczała dalej, ale już nie tak groźnie, próbowała nawiązać kontakt, coś wyjaśnić.

- Czy tam ktoś jest? Proszę zamknąć psa i otworzyć! Halo.

Nie otwierać, nie otwierać! Nawet księdzu, chociaż dobrze by było się z kimś pomodlić... Nie, nie otwierać! Idź już, człowieku, tu nikogo nie ma, to jest puste mieszkanie!

- Przyjdę jeszcze wieczorem. Szczęść Boże. Słysząc było słabe tupanie na klatce, ksiądz odszedł.

Sasza wciąż stał nieruchomy, a Gloria przyczłapała koślavo w jego kierunku. Jedno biodro, jakby oddzielone, unosiło się nieharmonijnie. Niedźwiedzica zaczęła węszyć po pustych ścianach, przewracała łapą główki kapusty,

124

mruczała, czując zapachy brudów Saszy, czytała z nich jak z intymnego pamiętnika. Wiedziała już wszystko, nadeszły niepewne czasy, teraz ona będzie mu pomagać, wyprowadzi go stąd, nauczy, jak sobie radzić. Węsząc w strachu i niepewności swego opiekuna, poczuła w sobie niezrealizowany instynkt macierzyński. Musi go chronić! Gwałtowne myśli Saszy zmieszały gniew, wściekłość i strach. Miało się udać! Tak wszystko zorganizował! Uparł się ten ksiądz! Skup się, na pewno wszystko się uda. Jesteś' mistrzem swego życia, wokół wszystko dla ciebie. Sasza zapalił kolejnego papierosa i popił mętny płyn z butelki. Przyjdzie ten ksiądz, dobra, może uśpi wtedy Glorię, spróbuje hipnozy i zamknie ją znowu w łazience. Nie. Przecież jest wygotzona, nie zaśnie. Teraz musi nabrać sił, więc powinien pójść dzisiaj za ten targ, by przynieść jej mięsa czy chociaż kości, a może ryb.



Sasza próbował się uspokoić, ale już dwa tygodnie był tu sam, bez kontaktu z ludźmi - wygnaniec cyrkowy poza normami społeczeństwa - chłodny beton, gołe ściany, byle jakie jedzenie. A przecież on kocha ludzi, uwielbia tłum wpatrzony w niego i Glorię, przekomarzenia z publicznością, nocne śpiewanie. Baśka Kocica grała na gitarze, głos miała mocny, piękny i знаła mnóstwo cygańskich pieśni, a te melodie przypominały mu trochę jego góry i las, i śpiewanie duszą jak robiła to Leśna Kobieta. Myślał, że już zawsze będzie w tym cyrku i z tymi ludźmi.

125

Dwóch klaunów, Romeo i Roman. Romeo chudy i melancholijny, a Roman pijaczyna-grubasek. Wystarczyło, że stanęli razem w takich samych strojach - błękitne spodnie na szelkach - a już było śmiesznie. Mieli świetny numer. Romeo zakochiwał się zawsze w jakiejś Julii z publiczności, a Roman tłumaczył mu, jaka jest prawda o wszystkich Juliach. I tak się kłócili i ganiłi po scenie, to było świetne. Zawsze odgrywali wszystko trochę inaczej. Gdzie są teraz? Podobno dostali ofertę pracy w jakimś cyrku telewizyjnym. Głupota!

W Baśce podkochiwał się od samego początku. Bez wzajemności. Dla niej istniały tylko koty i ten góral, co się wziął za tresurę wielbłądów. Do dupy mu szło, biegały tylko w koło i klękały na kolana. Co to za sztuczka? Dup-ny występ. Ale i tak się podobało, bo wielbłądów było sześć, a to zawsze dobrze wygląda, i to jeszcze dwugarb-ne. Nie lubili się, na górala mówili Twardy, bo rozwałął dłońmi potężne dechy. No, był silny. Ale tępy góral! Nie umiał uszanować Baśki, ciągle jakieś dowcipy. Właściwie Twardy nie widział jej miłości, był jak młody chłopak, który jeszcze nie wie, jak się odezwać, jak przytulić, jak całować...

Sasza najwięcej rozmawiał z Alicją, ona też kochała góry, więc mogli wspominać je godzinami, i o miłości do Baśki jej opowiadał. Alicja robiła trochę gimnastyki, akrobatyki, no i magii. Przechodzenie przez lustro, nagłe pojawianie się gdzieś wśród publiczności po zamknięciu w skrzyni, ale były wtedy oklaski! No i sztuczki karciane z takimi większymi kartami, żeby każdy dobrze widział. A on?...

126

Jego numer to był prawie cały spektakl. Gloria grała główną rolę, najpierw ją prezentował - takie zwykłe sztuczki z niedźwiedzicą - żeby przestraszyć publiczność, pokazać jej siłę, zęby, ryki, trochę boksowania. A po chwili przebierał ją w kobiece stroje i wchodziła na scenę jako jego żona. Długa czerwona suknia, kapelusz i torebka. Dobrze chodziła na dwóch łapach, a wtedy nie było widać, że kuleje. Publiczność bez przerwy biła brawo. Gloria gotuje obiad i podaje Saszy, a teraz wspólne oglądanie telewizji, a ona zabiera mu pilota i przełącza na serial. Potężny śmiech. To on na mecz - śmiech. No i na koniec szli razem do sypialni, przykrywali się kołdrą i gasło światło. Całość nazwał „Przemienienie niedźwiedzicy”. Gdyby teraz mógł ją przemienić, podać suknię, poprawić jej włosy i wziąć za rękę, by wyjść z tego mieszkania... żyć jak ludzie.

Lubił wspominać cyrk, ale ten świat już odszedł, teraz mógł się tylko modlić, by znaleźć nowe rozwiązanie. Czuł, że nie ucieknie przed księdzem, że wkrótce skończy się ta kryjówka, że trzeba już

szukać czegoś nowego. Znowu przypomniały mu się stare czasy w lesie, gdzie błądził wiele dni, palił ogniska i szukał schronienia na kolejną noc. To wtedy rozmawiał z Bogiem. W tej wielkiej ciszy, gdy prawie zapomniał ludzkich słów, wypędzony przez Leśną Kobietę, usłyszał wyraźnie jego głos. „To ja, zawsze przy tobie, nie lękaj się”. Tyle. Aż tyle. Sasza zerknął na prawe ramię, na którym

127

wytatuował sobie słowa Boga. Boga, który przemówił. Przemówił do niego. To ja, zawsze przy tobie, nie lękaj się. Próbował przywołać wspomnienie Leśnej Kobiety, bo dzięki niej przeżył wojnę i zimę. Przecież to ona go wyleczyła, a potem podzieliła się pokarmem. Uderzyło go najważniejsze ze wspomnień. Dojście do kresu własnej tożsamości, mimowolne uwolnienie się i uśmiech Leśnej Kobiety, gwarancja dobra.

Więc jak to było, jak go tego uczyła? „Moje ciało... kto je ma? Moje myśli... kto je ma? Moje uczucia... kto je ma? Moja dusza... kto ją ma? Ja mam. Ja je mam. Ja mam, ja. Kim jestem ja?”. Uczyła go tej mantry i wielu innych, by zawierzył światu i zapomniał o wojnie. Musisz zapomnieć, by żyć, musisz wybaczyć, a potem zapomnieć, że wybaczyłeś. Tylko tak możesz wrócić do życia, nie pamiętając, że ktoś jest ci coś winien, że cię kiedyś skrzywdził, nie pamiętając też wszystkich tych, których skrzywdziłeś. Czy Sasza rzeczywiście zapomniał?

- Kim jesteś? - spytał ją znowu przy drugim spotkaniu. Tym razem powaliła go i przydusiła, wyłaniając się niespodziewanie zza krzewu malin, gdy w najlepsze delektował się gęstą, czerwoną słodyczą. Znowu się pomylił, myśląc, że to jakaś potężna wilczyca szarpie go za udo, bo zbyt blisko podszedł kryjówkę jej młodych. I tym razem nie wiedział, jak długo leżał zamroczony. Gdy się obudził, zobaczył jej twarz oświetloną płomieniami ogniska, dużo starszą niż wcześniej, twarz dojrzałej kobiety ze śladami przemijającej urody.

- Musisz zrozumieć, że wojna minęła, że żadne okrucieństwo nie pokona życia. Jeśli nie możesz tego zrozumieć, spróbuj uwierzyć tak, jak ludzie wierzą

128

w Boga, który jest miłością pomimo zła doświadczanego na świecie.

Tym razem spędziła z nim wiele dni, uczyła go. Pochłonięty zgłębianiem tajników życia w lesie, oczyszczał się z wojny. Pod jej okiem szukał dzikiej pszenicy, która zapieczona jak ziemniaki w żarze ogniska smakowała niczym prawdziwy chleb. Zanurzał się we wskazanych przez nią błotnistych kałużach, by nauczyć skórę, jak się oczyszczać. Zmuszała go, by kosztował trujących grzybów.

- Oczyszczasz się, wymiotuj, dobrze, wyrzuć wszystko. Czule gładziła jego włosy, a potem obmywała twarz

zmęczoną od wielogodzinnego wysiłku. Te wymioty były czymś potwornym, ale za każdym razem, gdy wracał do sił, czuł się lepszy i pozwalał sobie na myśl, że może żyć pomimo zbrodni, jakiej się dopuścił.

Leśna Kobieta nigdy nie mówiła mu, kim jest, a on pytał o to wielokrotnie. Raz tylko, gdy zasypiał wtulony w jej ramię, po raz kolejny wyszeptał bez większej nadziei na jakąś odpowiedź.

- Kim jesteś?

- Mnie nie ma. Jest tylko Gloria.

W końcu nadeszła zima. Spadła potężnym opadem białego śniegu i zakleszczyła ich oboje w wielkiej puszczy, otoczyła potężnymi górami, uniemożliwiając ucieczkę.

- Patrz, Sasza, i ucz się życia - mówiła do niego Leśna Kobieta.

- To jest potęga, to jest wyzwanie i nie ma mowy o okrucieństwie czy cierpieniu, choćbyś nawet miał tu zamarznąć albo przewrócić się z głodu.

129

Miała bose stopy i uśmiech na twarzy, na plecach jego koszulę i kapotę z futerek, którą sama zrobiła. Wyglądało na to, że niejedną zimę już przeżyła i niczego się nie boi. Sasza ufał Leśnej Kobiecie, nie miał wyjścia, ale pusty od kilku dni brzuch zaczynał mu doskwierać. Przecież zima nie skończy się nagle, tak jak przyszła, przed nimi wiele miesięcy, może trzeba wyruszyć i poszukać jakiejś starej chaty pozostawionej w lesie, może trzeba kopać jakąś jamę i pod ziemią skryć się przed mrozem, a może wystarczy zrobić igloo. Może trzeba znaleźć jego porzuconą broń i upolować coś. Nic już się nie znajdzie w leśnym poszyciu, nie mają żadnych zapasów, nawet nie przygotowali suchych szczapek drewna, by bez problemu rozpalać ognisko.

- Nie martw się, już niedługo pójdziemy do kryjówki. Leśna Kobieta miała prostą odpowiedź i następnego dnia chwyciła Saszę za rękę, by wstał i ruszył naprzód. Jej dłoń była gorąca, a jego lodowata, z lubością więc wtulił się zziębniętymi palcami w jej ciepłą skórę. Wędrówka w górę rozgrzała go. Dokuczał mu tylko głód, ale jak zwykle wystarczyło, że za radą Leśnej Kobiety skierował myśli z żołądka na swe stopy, by wypełnić się dobrą myślą.

Wspinali się bardzo długo, a gdy zapadł zmierzch, wciąż nie przestawali i Sasza szedł daleko w tyle za zwinną postacią swej towarzyszki. W pewnym momencie, mimo iż noc była jasna od rozgwieżdżonego nieba, stracił ją z oczu. Pozostały mu tylko ślady jej stóp na śniegu. Gdy zniknęły, stał przed skalną ścianą. Czy miał się na nią wspiąć?

- Tu jestem, Sasza, wejdź do środka.

130

Głos Leśnej Kobiety dobiegał jakby z dołu, pochylił więc swą głowę i wtedy dostrzegł, że pod pionowym głazem jest spora szczelina i że to stamtąd dobiega wołanie. Pochylił się. Był pewien, że to jest wejście do jakiejś podziemnej jaskini, czy nory. Wsunął ostrożnie nogi. Nie wiedział, co go tam czeka, więc bardzo powoli wciskał swe ciało. W pewnej chwili poczuł, że Leśna Kobieta złapała go za nogi i zgięła je w

kolanach, kierując przy tym jego stopy w innym kierunku, jakoś w bok, przez co trudniej było mu się dalej przesuwac.

- Uważaj, bo ją zgnieciesz tymi buciorami.

Głos Leśnej Kobiety strofował go, a jej ręce dalej przytrzymywały mu nogi. Zgniecie? Kogo? Był tam ktoś jeszcze? Sasza nie zdążył dobrze pomyśleć, kiedy jakimś wykręconym ruchem wślizgnął się do pieczary pod skałą. Od razu też poczuł zmianę, otulił się ciepłym suchym powietrzem. Poczuł się błogo, jakby właśnie ponownie wszedł do ciasnego łona własnej matki. Po jakimś czasie jego wzrok przyzwyczaiał się do ciemności i zobaczył Leśną Kobietę.

Leżała odwrócona do niego plecami i intensywnie ruszała ramionami wtulona w jakieś futro. Obraz wyłaniał się i robił coraz bardziej wyraźny. Wielka gruba niedźwiedzica spała na wznak, rozłożywszy swe łapy na boki, wyglądała prawie jak człowiek. Leśna Kobieta intensywnie wtulona w jej brzuch ssala ją i masowała. Sasza mógł tylko patrzeć zdumiony, domyślał się też, że nikt niczego nie będzie mu tłumaczył, że widzi to, co widzi i mimo że nic nie rozumie, to głodny żołądek zaraz przejmie kontrolę nad jego myślami i zabierze się do dzieła. Ucz się życia, Sasza, w głowie dźwięczały mu jej

131

słowa. Ucz się życia, bierz je w swoje ręce i żyj. Sasza, Sasza, mały człowieku, cokolwiek zrobisz, zapomnij, żyj, Sasza, cokolwiek ci zrobili, zapomnij, żyj. Ucz się życia od lasu. Las jest wiecznie żywy, choćbyś go powalił ogniem, to z popiołu wystrzeli ukrytym żywym ziarnem. Ucz się życia, do roboty, Sasza, o tamtym zapomnij. Bo żyć trzeba do końca życia i nie można poddać się w połowie. Nie umieraj za życia!

- Jeszcze nie zacząłeś?

Leśna kobieta wyrwała go z lekkiego marazmu. Niczego nie zamierzała mu tłumaczyć ani wyjaśniać, dała mu przykład, a on mógł zrobić z nim, co chciał. Skąd ten opór? Sasza przysuwał się do niedźwiedzicy, dotknął jej skoftunionego futra i zaraz cofnął rękę. Tysiąc myśli i jeszcze więcej wątpliwości przebiegało przez jego głowę. Czy niedźwiedzica śpi wystarczająco mocno? Czy nie zbudzi się od ich ssacej ingerencji? Czy Leśna Kobieta w ten właśnie sposób radziła sobie z każdą zimą? Wchodziła do niedźwiedziej gawry i wtulona w cielsko trochę spała, trochę piła mleko, a dni mijały, przybliżając ją do wiosny?

- Bierz się do roboty. Myślisz, że mleko samo wytryśnie ci do ust albo wleje się do kubka, którego nie masz?

Leśna Kobieta niecierpliwiła się, co chwilę odrywała głowę od niedźwiedziego brzucha i odwracała się w kierunku Saszy, rzucając mu dzikie spojrzenie. Księżycowa poświata zajrzała do środka gawry, oświetlając ją trochę. Sasza mógł się jej w końcu dokładniej przyjrzeć. Było bardzo ciasno. Siedzieli ściśnięci w małej jaskini wymoszczonej suchymi gałęziami i igliwem, dlatego w środku rozchodził się ten niezwykły zapach skondensowanego

lasu. Sklepienie wisiało tuż nad jego głową, więc siedział w kucki, a jedyny ruch, na który było trochę miejsca, to rozprostowanie nóg. Sklepienie zwęzła się ku górze jak komin, a z jego boku, przez szparę, wpadał okrągły księżyc, który wyglądał prawie jak lampa w małym piwnicznym pokoiku. Ciepło jaskini było naturalną emanacją ich oddechów. Trzy żywe ciała produkowały tyle ciepła, że starczyło go, by przetrzymać nawet największe mrozy pod warunkiem, że będą blisko siebie, wtulone i ograniczające swe ruchy do minimum.

Leśna Kobieta ponownie oderwała swą intensywnie pracującą twarz od niedźwiedziego sutka i Sasza mógł ujrzeć jej wściekłe spojrzenie. Nic nie mówiła, wchodziła w dzikość, syczała tylko w jego kierunku: ssij. Wtedy też srebro księżycowego światła jak snop latarki przesunęło się na brzuch niedźwiedzicy. Wśród mokrej sierści, rozgarniętej przez Leśną Kobietę, sterczał różowy sutek. Był jak żywy, kusił i obezwładniał Saszę, i kierował go w jakieś zapomniane przez niego rejony. Leśna Kobieta zorientowała się, że go zobaczył, ponownie pochyliła się nad niedźwiedzim brzuchem i wymruczała trochę jakby do siebie, trochę do Saszy.

- Ten jest mój, mój, mój.

Sasza chciał wyjść, uciec, czuł, że przekracza jakieś granice, że zbacza ze swej ludzkiej drogi. Wyprostował plecy i wsadził głowę wprost w otwór, przez który przeświecał księżyc. Wyszedł na zewnątrz i od razu odurzył go mróz. Dostał nim po twarzy, jakby ktoś chlusnął go żrącym kwasem. Chciał zawyć do księżycy, wezwać do siebie jakieś ludzkie oblicze, czuł, że przemienia się i że nie może tego pojąć ani udźwignąć, czuł też że dłużej już

nie zniesie tego mrozu, że zaraz z powrotem wślizgnie się do pieczary i wtuli tak jak Leśna Kobieta w ciepły futrzany brzuch.

Ucz się życia, Sasza, jego zdrętwiałe szczęki stukały zębami, a on powtarzał jakby sam do siebie. Ucz się życia, człowieku. Nie masz innego wyjścia niż żyć. Bo żyć trzeba do końca życia i nie można poddać się w połowie. Bo gdzie pójdziesz, dokąd? Jeśli nawet przejdiesz góry, to tam są już ci, którzy tylko na ciebie czekają. Chcesz wrócić, rozliczać się z wojny? Nie! Absurdalność tego pomysłu uderzyła go jeszcze większym mroźnym odrętwieniem. Dokąd i po co miałby iść? Tu ma ciepło i jedzenie, dach nad głową i leśną pierzynę. Ma też towarzysza, Leśną Kobietę, która choć na wpół dzika, jest teraz jego jedyną szansą. Mróz wrastał w jego stopy i zapuszczał korzenie aż po kolana, żołądek skowyczał, a chmury przystłoniły księżyc.

Zawieja nie pozwalała dłużej stać przed gawrą, wsunął się więc ponownie do środka. Tam bez lęku, bo przecież było mu zimno, a brzuch był ciepły, wtulił się w futro. Grzało szczęściem. Rozpuszczał się w tym cieple, jeszcze tylko głód go drażnił.

- Jeśli nie zaczniesz ssać, to żadne mleko nie popłynie. Trzeba zapracować na posiłek, na życie.

Wtedy Sasza zaczął rozumieć więcej. Skoro przy niedźwiedzicy nie było żadnego potomstwa, to skąd miała pokarm? Przecież krowy, od których bierze się mleko, produkują go tylko dlatego, że są nieustannie dojone. Jeśli, ta niedźwiedzica ma ich wykarmić, to on musi zabrać się do roboty. Leśna Kobieta wiedziała to bardzo dobrze,

134

więc zamiast poddawać się wątpliwościom, walczyła o positek.

Więc i on pochylił się nad zwierzęciem i aby opanować swój strach, myślał o dojeniu krowy. Wymacał niedźwiedzi sutek, poślinił drugą dłoń i zwilżył sztywne futro, by zmiękło i odsłoniło życiodajną pierś. Ścisnął i masował, jak umiał najlepiej, palcami.

- Naciskaj i pociągaj - wymamrotała Leśna Kobieta.

Księżyc jak nocna lampka zgasł za chmurami, a do jaskini wpadła otulająca ciemność. Sasza doił niedźwiedzicę, a czynność ta z wolna zaczęła go hipnotyzować i usypiać. Czy śnił, czy może łagodny głos Leśnej Kobiety snuł się, opowiadając nieprawdopodobne historie? Widzisz, widzisz, och Sasza, Sasza, nie bój się życia. Śnieg i mróz, a tobie ciepło i miło, czyż nie.

Śpij i ssij, mruzc, marudź jak wtedy, gdy byłeś niemowlęciem. Oprzyj głowę, zimę trzeba przespać, cofnąć w sobie do stanu tuż po narodzinach, nie zastanawiać się, nie myśleć. Śpij i ssij, och Sasza, mały człowieku, nabierzesz sił, wiosną się narodzisz, odrodzisz, zapomnisz o swojej udźce, mruzc i marudź, bądź teraz niemowlęciem.

Gdy popłynęło mleko, Sasza przestał myśleć. Dni mijały, a on chęptał i czuł się doskonale. Nie zajmowało go nic oprócz wczuwania się w ciepło i mleko, ale wkrótce miały się pojawić młode, a wśród nich Gloria.

Ksiądz stał przez dłuższą chwilę, wpatrując się w gwiazdę. Jasny dzień, słońce, a ona tak wyraźnie widoczna. Cud. Może, a może nie. Wrócił do swojego biurka i jeszcze raz przejrzał notatki z dzisiejszych wizyt w bloku nr 1. Chciał, tak jak Chrystus, zwyczajnie wychodzić do ludzi, rozmawiać z nimi, wskazywać drogę, pomagać. Niestety, czuł się bardziej jak jakiś akwizytor, który ma do sprzedania coś niepotrzebnego, jakiś zakamuflowany bubel i musi nagabywać ludzi.

Niepokoili go dwa mieszkania. Jedno, za drzwiami którego słyszał jakieś zwierzęce głosy, ale tam nikt mu nie otworzył. Potem stwierdził, że w oknach nie ma firanek, kwiatów, czegokolwiek, co potwierdzałoby, że ktoś tam mieszka. A jednak na pewno słyszał coś żywego. Zwierzę, psa... Nie wiedział, co myśleć. Pukał do tych drzwi długo, za każdym razem odpowiadał mu stłumiony ryk jakiegoś zwierzęcia. Ludzie naprawdę są bezwzględni. Kto i po co zamknął tam tego psa? Pytał sąsiadów, czy wiedzą, kto tam mieszka. Nikt. Jak to „nikt”? Na pewno? Na pewno. Nie tak wyobrażał sobie obcowanie z drugim człowiekiem.

136

Miało być szczerze i naturalnie, nawet radośnie, a było sztucznie i ciężko.

Postanowił, że pójdzie dziś jeszcze raz do tego bloku. Najpierw do mieszkania, gdzie ktoś zamknął psa, a potem do rodziny z dwojgiem dzieci. Jeśli znowu nikt nie otworzy, a wciąż będzie słyszeć zwierzę, zgłosi to w administracji.

Jego pomysł, by wychodzić wprost do parafian, by ich odwiedzać, rozmawiać, ale nie jeden raz w roku z pobieraniem pieniędzy, nie bardzo podobał się proboszczowi. Ale on był młody, nowy w parafii i zaraz po seminarium. Od dawna myślał, że skoro ludzie nie chcą chodzić do kościoła, to trzeba wychodzić z kościołem do nich. Tak jak Chrystus rozmawiać, szukać, radować się. Proboszcz uśmiechał się tylko, słuchając jego teorii, ale w końcu wyraził zgodę. „Jeśli starczy ci czasu i będziesz się wywiązywał ze wszystkich obowiązków, możesz chodzić”. Parafia była jedną z mniejszych w mieście, ale i tak będzie musiał jeszcze wiele dni spędzić na tych odwiedzinach. Dziś udało mu się obejść mieszkania w bloku nr 1. Odnotował sobie dokładnie, gdzie mieszkają wierzący, kto był w domu, jakie rodziny, jak reagowano na jego słowa.

Najbardziej nurtowało go mieszkanie nr 40. Niby normalna rodzina. Dwoje fajnych dzieciaków - zerknął w notatki: Marysia i Wojtuś - no i rodzice. Kobieta nie pracuje, zajmuje się domem. Mówiła, że na nic nie ma czasu. Ojciec strasznie nerwowy, młody architekt, pewnie zestresowany pracą. Ale dlaczego on to powiedział i jeszcze powtórzył kilka razy, tak jakby chciał go wygnać, dać mu coś do zrozumienia?

„Naszym Bogiem są dzieci,

137

nie ma innego Boga”. Matka próbowała coś wtrącać, że nie chodzą do kościoła, ale dziadkowie opowiadają ich dzieciom o Jezusie i w ogóle o religii. Robiła to chyba nie po to, by jemu coś wytłumaczyć, ale po to, żeby powstrzymać swego męża. On jednak coraz dobitniej i mocniej, i jakoś tak mrocznie, powtarzał: „Naszym Bogiem są dzieci”.

A potem zaczął przekręcać różne słowa, zwykłe słowa, z których starał się robić przekleństwa. Ksiądz nie chciał ich pamiętać. Bardzo go przestraszyły, mężczyzna mówił i mówił jak zaprogramowany, a jednak w tych słowach była nikła treść. Coś jakby brzemień kobiety, ciąży, piekło rodzenia, tortura życia, brak Boga. Tak, to nie był po prostu zwykły ateista, chłodno tłumaczący swoje racjonalne spojrzenie na świat, człowiek, któremu z jakichś powodów nie dano łaski wiary. Zbyt wiele w nim było gorących emocji i uniesienia, jego światopogląd to nie prosty materializm wspierany przez naukowe spojrzenie na rzeczywistość. To nie był też normalny, równie często spotykany przypadek człowieka poszukującego Boga na własną rękę, to tu, to tam, by na koniec trafić do kościoła i znaleźć ukojenie. Nie - to była czysta, żywa agresja, złość i furia na widok znaku krzyża, jakieś nerwowe drgawki, gdy ksiądz zaproponował wspólną modlitwę o szczęście i miłość dla rodziny. Niewiara tego mężczyzny była gorąca i żywa, jednak nie umiała się objawić poprzez jakieś konkretne credo. Stanowiła raczej negatywną odbitkę tego, co proponował ksiądz.

W końcu mężczyzna wybiegł do łazienki, gdy oni mówili Ojczy nasz... I te dźwięki. Tak strasznie

wymiotującego człowieka jeszcze nie widział, a raczej nie słyszał. „Boże, uczyni mnie swym sługą, prowadź do światła, bym nie zbłądził, pomóż w rozpoznaniu, kieruj moimi dłońmi, pokazuj, co mam widzieć. Duchu Święty, spłyni na mnie czystego, bym pomógł, do Boga innych prowadził. Sługą Twym pragnę być. W imię Ukrzyżowanego, a Zmartwychwstałego Syna Twego Jedyne. Amen”.

Nie powinien się odzywać, nie powinien siać mrocznego niepokoju, mówić o nawiedzeniu, próbie opętania. Co ci ludzie teraz czują, co czuje kobieta? A dzieci? Musi tam pójść jeszcze raz. Porozmawiać, przyrzeć się dokładnie, nie przesadzać. Opętanie? Dlaczego z taką łatwością zaszufładował tego mężczyznę. Przecież patrząc obiektywnie, nie robił niczego złego. Zwykły ojciec, zapracowany, starający się utrzymać rodzinę, kochający dzieci i umiejący znaleźć w codziennym trudzie cel i sens. Opętanie? Co też mu przyszło do głowy, jakże mógł zasiał tyle niepokoju? Musi koniecznie wrócić do tych ludzi... Jeszcze raz porozmawiać, spróbować się wytłumaczyć, przeprosić. Nie, nie miał prawa.

Nagle przez umysł księdza przebiegła myśl. Jedna z biblijnych opowieści urosła w jego wyobraźni, objawiła się jak ciężkie kino moralnego niepokoju, zaczęła obrastać niedopuszczaną wcześniej interpretacją i boleśnie ranić. Abraham, jego syn i ten trzeci. Kim był ten trzeci? Żywa rodzina sprzed tysięcy, ich miłość i codzienny trud

poddane zostają niewiarygodnej próbie. Zabij go, zabij dla mnie, bym wiedział, że jestem ważniejszy niż cokolwiek. Nie zabijaj i zabij. Jak to połączyć? Czy ten sam Bóg mógł żądać tych dwóch rzeczy jednocześnie? No tak, Bóg jest ponad wszystkim, wszechmocny, wszechwiedzący, niedający się ogarnąć przez ludzki umysł. Przecież nie doszło do zbrodni, przecież w ostatnim momencie Bóg wytrącił nóż z rąk Abrahama. Więc po co to było? Zapowiedź innej ofiary. Ksiądz przypomniał sobie interpretację, którą podano mu w seminarium. Zapowiedź innej ofiary, ofiary krzyżowej Jezusa. Bóg ojciec nieczuły na wołanie swego konającego syna: „Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił?” „Naszym Bogiem są dzieci, nie ma innego Boga”. Więc kto tu jest opętany, szalony, chory, a może po prostu zły? Znerwicowany ojciec w mieszkaniu nr 40, czy Abrahamowy Bóg i Bóg Ojciec z Nowego Testamentu, obaj żądni krwi swych dzieci. Niekończących się ofiar i potwierdzeń bezwzględnej władzy.

Ksiądz nie mógł zatrzymać narastających myśli, dławił się, ukląkł, szukał ukojenia w modlitwie. „Boże, uczyni mnie swym sługą, prowadź do światła, bym nie zbłądził, pomóż w rozpoznaniu, kieruj moim sercem, bym nigdy nikogo nie krzywdził, pomóż pomagać, służyć, kochać. Kim jesteś Boże?” To pytanie wtargnęło w jego modlitwę, a odpowiedź - mimo że była tylko negacją - otworzyła przed nim nieznaną drogę. Nie jesteś Bogiem Abrahama, nie jesteś ojcem Jezusa, nie jesteś osobowy w Trójcy Świętej, nie jesteś rozgniewanym właścicielem Raju, z którego wygnałeś nieposłusznych ludzi, nie jesteś surowym Sędzią z kresu świata, nie jesteś. Potężna negacja



rosła w nowe deklaracje. Każde „nie” bolało go i wyzwalało jednocześnie.

Aż uniósł się ponad „nie” i ponad „tak”. Trwał w milczeniu i pokorniał, spokojnie obserwując drobinki swego rozsypanego ego. Patrzył on, patrzyła ona - gwiazda. Niech.

Szli w milczeniu. Przyszedł tak, jak się umówili, o 18. Nie wchodził do środka, a po kilku minutach Ewa wyszła bez fartucha kelnerki, za to ze spinką podtrzymującą opadającą grzywkę.

Szli w milczeniu, bo już o wszystkim, o czym mogli porozmawiać - rozmawiali. O wszystkim, o co można zapytać na samym początku. Właściwie o niczym ważnym. O tym, że Ewa studiuje pedagogikę, jest na 5 roku, pisze teraz pracę magisterską i dorabia w tej kawiarni. Dostaje grosze, ale musi, bo płaci za angielski. Gdy się obroni, to pewnie wyjedzie za granicę. Pisze o domach dziecka. Czy już wtedy powinien jej powiedzieć, że on jest z domu dziecka? Nie powiedział.

Opowiadał o obrazach, o sprzedaży, o galeriach i nowych możliwościach, jakie daje Internet. Im więcej opowiadał, tym bardziej chciał przestać. Majowe słońce rozbiły się na jej włosach, a on chciał pogłodzić ją po głowie, powąchać.

Szli w milczeniu, minęły minuty zażenowania, że nie mają już nic do powiedzenia i żadne z nich nie próbowało na siłę przerwać ciszy. Gadaniem-gdakaniem.

142

Szli w milczeniu i już nawet przestali się dziwić tej ciszy. Pozwolili sobie na inną rozmowę. Ich ramiona, poruszane rytmicznymi krokami, coraz częściej stykały się, dotykały, uderzały i ocierały. Odkrywali się poza słowami.

Diamentowa gwiazda odliczała sekundy, minuty. Czy wytrzymają ten maraton ciszy i skupienia? Czy dotrą do celu, którego nie da się opowiedzieć.

W ciszy przeszli całe centrum. Kto prowadził i dokąd? Adam? Ewa?

Siwe włosy w jej grzywce wcale nie są bezbarwne i nie-kobiece. Nie będzie ich farbować tylko dlatego, że on ogląda się za młodszymi. Jest kobietą, która skończyła 50 lat i żyje tak, jak potrafi najlepiej. Adam, zamknięty w swojej pracowni, wcale nie maluje, po prostu spędza tam całe dnie, by nie słyszeć drażniącego szurania jej kapci i pokastywań, to od papierosów. Tyle lat prosił, nie — nie rzuciła. Pali i przez to wygląda starzej. Tylko komputer - tak, to jest jego świat. Oczywiście, żyją z tego. Bez przesady, ona też zarabia. Nie tak spektakularnie, ale przynajmniej dostanie normalną emeryturę dla świętego spokoju niewznoszenia się ponad przeciętną. Ona kocha swój święty spokój, programy, telefony do telewizji, raz nawet rozmawiała na antenie. O czym? Oj, to było chyba o dzieciach, co zrobić z pustką w domu, gdy dzieci odchodzą. Wtedy zadzwoniła. Teraz już wie, że pustka nie powstaje po odejściu dzieci. Pustka powstaje z uciezki od wspólnie stworzonego świata. Bo jeśli się zaczęło coś pięknego i szczerego,

to nie można tego ot tak zaniechać.

143

Bo wtedy rodzi się potwór. Monstrum, które walczy podstępnie, by zjeść, strawić i wydalić. A z gówna nigdy nie będzie deseru. Nie musiała wtedy na urlopie, ale po prostu chciała mu pokazać, jak to jest być zdradzonym. Chciała, żeby poczuł dokładnie to, co ona. Zrobiła to tylko z tego powodu, ale nie powiedziała mu o tym, musiała go przecież upokorzyć za to, jak on ją upokorzył. Powiedziała więc, że to było z namiętności, bo taki ogień rozpałił w niej ten mężczyzna. A ona parę lat z synami w domu, matka na pełny etat, nic pasjonującego. Wtedy zaczęła mu zazdrościć tego, z czego wcześniej była dumna, i co cieszyło ją tak, jakby było jej zasługą. Wyjazdów, spotkań z różnymi ludźmi, uznania w kręgach artystycznych. Chciał, żeby chłopcy byli z nią w domu. Żeby mieli dom, którego on nie miał. Tylko że jego w nim nie było. A ona czuła się zmęczona. Rok, drugi, trzeci... Takie zmęczenie domowe przekształca się w obojętność. Cały świat go podziwiał, gazety, był raz w telewizji, a ona oglądała to w piżamie, w łóżku z papierosem, nie - nie wspomniał o niej. Gdyby wspomniał, może to by coś dało. Mają ładny dom - to prawda. Duży, wygodny i z ogródkiem. Wszystko, co potrzeba. A jego obraży? Teraz ich nienawidzi. Są wspaniałe, a ona się starzeje. Są cierpliwe i ciche, a ona gdcze jak kura, gdy tylko on się przy niej pojawia. Są warte uwagi, a ona tylko kopci i gapi się w telewizor. Adam najpierw się nią brzydził. Spałaś z tym frajerem? Z tym opalonym fiutem? Właściwie to z jego kumplem, ale teraz to już tylko chuj i nędza. Pięknie — matka trzech wspaniałych chłopców sypia z takim frajerem! I co, może po tym jeszcze całujesz moich synów? Brzydził się jej ustami i skórą. Coś z tego obrzydzenia zostało w nim na zawsze. Nawet teraz, gdy już emocje dawno wygasły. Wtedy też sprzedał obraz, który był ich miłosną przysięgą - Nasz

144

raj. Tak. On też zdradził i to pierwszy, ale nie tak jak ona. Jeździł tyle po Europie, tęsknił za chłopcami, za nią, kupował prezenty, zarabiał na dom. A ona najpierw chciała wrócić do pracy - awantury. Jakaś obca osoba będzie mi dzieci wychowywać? A ty pójdiesz do tych sierot, jakbyś swoich dzieci nie miała! Czy ty jesteś normalna? Wiesz, czym jest dom dla dzieci? Czas spędzony z matką? Mnie moja nie chciała, rozumiesz? Czy ty wiesz, jak to boli? Raz na wigilię zaprosiła sześciu chłopców z domu dziecka. Oczywiście, że się zgodził, to wspaniałe móc się podzielić tym, czego masz tak dużo. Ale to była przesada. Okazało się, że jego chłopcy znają tamtych. Oni się widują, a Ewka chodzi z jego synami do bidula i oni się tam wspólnie bawią. Ona zaraża ich tam tą beznadzieją, tym smrodem wspólnym i niczym, tymi kocami starymi, szafami, co skrzypią i w których się kiedyś chował, zupami i kompotami. Nie - tego nie zniesie. Przestań, przecież w ten sposób mogę wrócić do pracy! Tylko na pół etatu, a chłopcy nie muszą chodzić do przedszkola. Nie mógł tego zniesić, kupił dom daleko od miasta, przeprowadzili się, ona przestała się do niego przytulać, uśmiechać, przestała go kochać, ale chłopcy byli w domu... tak, do czasu. Teraz są gdzieś w mieście, mają swoje sprawy... no, dzwonią, raczej do niej. Jeśli mogą, to wpadają, tylko że urlopów nie warto teraz brać, trzeba być cały czas, na bieżąco, ze wszystkim, nie można wypaść...

Gwiazda ciemniała na widok losu, który pisał się teraz w tym mimowolnym ocieraniu ramion kobiety i

mężczyzny Adama i Ewy.

145

Bohaterowie tragifarsy, którzy grają w sztuce, nie znając jej tytułu, autora i zakończenia. Którzy już w pierwszej scenie zapominają, że są tylko aktorami, że powinni udawać, że mogą zawsze dorzucić coś od siebie, pomijając tekst sztuki i wskazówki reżysera, że mogą puścić oko do siedzących na widowni. Że słowa, którymi będą się tak mocno ranić nie są ich autorstwa. Piszą je przeszłe pokolenia, a potem zasiadają w głównej loży teatru. I mówią do siebie, z odrazą odwracając głowy od każdej krwawej sceny. „Tak po prostu trzeba, by dramatyzm sztuki nie pozwolił nam się od niej oderwać. Inaczej zginiemy, znikniemy, roztarci na pył, bo nie ma nic poza tym teatrem”.

W zakurzonym półmroku widowni, trzymając się za ręce, siedzą też oni - ci prawdziwi - Adam i Ewa. Oni pierwsi zaczęli pisać scenariusz - to oni wymyślili ten teatr, bo rozdarcie boli. Ale w ich piersiach rozbrzmiewa już tylko spokojna diamentowa pieśń gwiazdy i wcale nie chcą oglądać kolejnych scen. Tylko oni wiedzą, że prawdziwa miłość to nie Romeo i Julia, którzy pokochali się, lecz umarli. Prawdziwa miłość to spojrzenie w oczy, by spotkać w nich siebie, to widzenie tak, jak gwiazda widzi, na przestrzał, daleko... Zniszczcie ten niedobry scenariusz, tak daleko widzę, tak daleko sięgam, stwórzcie najpiękniejszą sztukę, której nikt nie będzie odgrywał, która będzie wolna i wciąż improwizowana. Chcę się zachwycić waszą wolnością, nie oglądajcie się na mnie, spotkajmy się jako przyjaciele, nie jestem aż tak silna, by nie można mi się przeciwstawić...

Mimowolne dotknięcie ramion elektryzowało ich coraz mocniej, cienie domów i wąska uliczka kusily, by

146

przystanąć. Oparta o mur Ewa łagodnie zanurzyła się w jego brązowym spojrzeniu, a on dotknął czołem jej grzywki. Pocałował usta, które zebrały całe majowe słońce. Tak... Ich ciała to puzzle. Czy pasują do siebie? Tak... Romeo i Julia to bajka dobra dla dzieci. Jak łatwo się umiera z miłości, jak trudno się żyje, gdy miłość umiera.

Bożena to ma dużo kasy. No co ty? Starzy jej chatę kupili, to na co ma zbierać? Chata w mieście, a po ojcu jeszcze dom został. Dom wynajmuje. No tak, a co myślałeś? To tu kasa z domu, kredytów nie bierze, bo i po co. No po co. Właśnie. Dom wynajmuje? No przecież. I z tą firmą też jej jakoś idzie, nie narzeka. Samochód kupiła - nowy. Jaki? A taki. Mówił ktoś. No, stary, jasne... To się z nią umów. Weź... Co? Nie pasuje ci? Nie podoba mi się. Co ci się nie podoba? Po prostu. Przecież spoko dupa. Nie podoba mi się. Że co? Nic, po prostu. Ale co? Twarz ma dziwną. Daj spokój, może laska nie jest, ale ma kasy jak lodu. Nie mógłbym. No wiem, twarz ma dziwną. Brzydka jest, fakt. Umów się, kurwa, przeleć dupę, pogadamy... Ale ona jest jakaś dziwna. Chyba w ogóle jej nie lubię. Przyjdź dzisiaj do Gawronów, pogadacie, zobaczy się, pogadamy o jakiejś prawdziwej robocie u mnie, a nie takie grosze frajerskie... A co jest u Gawronów? No, impreza, ich mała ma urodziny, zawsze wtedy jest impreza. Kup coś dzieciakowi, kwiaty dla Wiolki i już. Nie zaprosili mnie. Oj, kurwa, ale się przecież znacie. Przecież robicie dla Karola jakieś tłumaczenia na

studiach,

148

było parę wspólnych imprez, kumple jesteście, przychodzi i już. No i zadanie masz... zagadaj z Bożeną, jak ona się ubierze, pomaluje, to nawet spoko... A co ty ciągle o Magdzie? Zapomnij, za miesiąc ślub, frajer jesteś, przecież ona zawsze tylko Filip i Filip. Nic nie chcę od Magdy... Podobała mi się kiedyś. O Jezu, każdemu się podobała, niezła dupa i tyle. No, niezła. Jak kocica i te oczy - trochę skośne, zielone... A pamiętasz, jak z Klarą przed dyplomem szalały? Wariatki. A Klara to lepiej nie mówić... na prawo i lewo. Oj, nie mów mi o niej, schiza była straszna. Kiedy? Nie wiesz? Mówiłem ci... z nożem po mieszkaniu za mną latała, wariatka. Co ty? No, przespała się ze mną i coś sobie ubzdurzyła, że może my razem... To ją musiałem spławić... Stary, to jest chora kobieta. No może, skurwiła się i jej odbiło, baby tak mają. No. Ale Bożena - ja ci mówię, zagadaj, no kurwa, baby zwykłej nie poderwiesz? Mówię, no mówię, pogadamy... Może cię do siebie wezmę, no - asystent by mi się przydał, a ty się polityki nie boisz, ciągnie cię, wiem dobrze. Ty byś mi się nawet przydał, angielski znasz, głupi nie jesteś, o życiu trochę wiesz, sprawy widzisz, chyba że się wolisz sfrajerować jak inni. Ja myślę, że ty się jej już podobasz. Bożenie, no mówię. A ty przychodzisz dzisiaj? Nie, ja nie idę. To jak ja się mam wkręcić do Gawronów? Zadzwoń do Karola, że się dawno nie widzieliście, można by jakąś wódkę wypić, przecież on tam nikogo do picia nie będzie miał, a wypić lubi. Filip tradycyjnie weźmie piwko, może dwa, jak zaszaleje chłopak. Adam to kumpel Wiolki, Karol był zawsze o niego zazdrosny, to pić razem nie będą, nie wiem, czy tam ktoś jeszcze przychodzi oprócz bab. Dzwon... Zobacz... Może byś jednak poszedł?

149

Nie idę, będzie mi patrzył z wyrzutem w oczy, że ja kręcę projekty największe, a się nie narobię, tylko wiem to i tamto, co ci będę tłumaczył. Mnie wyszło, a jemu nie. Ty myślisz, że on mnie tak zaprasza, bo stara przyjaźń, bo gitara i dawne wspólne śpiewanie coś jeszcze może znaczyć, nie - liczy na coś, że mu jakiś przetarg załatwię, słówko szepnę gdzie trzeba i zlecenie za prawdziwe pieniądze dostanie. Ja wiem, że z tym jego biurem projektowym nie idzie, to by pewnie chciał, żebym mu jakiś projekt zlecił. Daj spokój, sam chciał, było się mnie trzymać, lojalność, kumasz takie sprawy, polityka mnie tego nauczyła... I ty też pomyśl, bo mi asystent z angielskim potrzebny. Bożenę przeleć. Czemu? A czemu nie? Tak? Słuchaj się mnie, rób, co mówię, a kasa popłynie, nie daj się sfrajerować. Cześć. Już. Na dzisiaj tyle.

Piotrek już wie, że teraz musi wstać. Wiktor się szybko nudzi, irytuje. Jeszcze tylko pieniądze do ręki. Taka forsa za godzinę lekcji to jest coś! Czy tylko dla tych pieniędzy uczy tego głaba? Ale czy on na pewno jest głabem? Z taką firmą? Zwykły, wydawałoby się, koleś po studiach, parę lat i proszę. A teraz jeszcze poseł... Zawsze miał talent do zarabiania pieniędzy i trzymania ludzi przy sobie, pod sobą właściwie. Oni wszyscy tłuką jakieś prace zleczone - kasa od czasu do czasu, długi, a ten szefuje innym, rzuca pieniędzmi. Ma rację. Karol to teraz będzie nawet żebrał u niego, byle dostać jakieś zlecenie. W kredyt weszli, trzeba spłacać, a dzieciaki jeść muszą. A to, że kiedyś razem przez całe imprezy? Kiedy to było?

Wiktor grał na gitarze, Karol śpiewał. Dawno i nieprawda, jak wszystko, co odeszło. Pokłócili się o coś,

150

a wtedy Wiktor bez skrupułów odsunął Karola od konkursowego projektu, skradł jego pomysł i kilkumiesięczną pracę, machnął podpis, korzystając ze swych uprawnień budowlanych. Dlaczego to zrobił? Karol nie miał wyjścia, oszedł z firmy, próbował założyć swoją. Lojalność? Piotrek nie znał całej sprawy, rozumiał jednak, że Karol ma teraz poważne kłopoty, nie zarabia, a kredyt na mieszkanie i długi jego firmy nie pozwalają odetchnąć. Czy wróci do Wiktora, tym razem po prośbie?

Piotrek zbiegał już w dół. Mijając recepcję, poczuł, że jest spocony, spocony z nerwów, jak zawsze, gdy wychodził od Wiktora. To przez tę maskę, która go dusiła, po prostu nie miał czym oddychać. Po co mówić o Klarze? Chuj, stało się, powiedział, Wiktor lubi takie historyjki, a nie lubi kobiet. To są baby, kobity, laski, dupy, la-chony, dziwki albo gorzej. Tak, to dlatego lubi Piotrka, który się nie sprzeciwi, od razu zaczyna nadawać na tych samych falach, żeby tylko Wiktorowi było fajnie, żeby być tym asystentem. Po co on teraz z tą Bożeną wyskoczył? Przecież Bożena też do niego przychodziła, ale po dwóch zajęciach zrezygnowała. „Pojeźdź, to sam się przekonasz dlaczego. Schamiał i zrobił się obleśny. Ja nie potrzebuję jego forsy, jak chcesz, to ci go odstąpię”.

Jakże piękny jest maj, gdy słońce płynie po niebie. Nawet gwiazda jakby skromniej świeci. A każdy biegnie w swoją stronę i potyka się, a na rynku gołębie jak zawsze głodne i oswojone, niektóre z połamanymi nogami. Dzieci, czy koty, w wózkach mrużą oczy, zasypiają? Lody topią się szybko i mała dziewczynka, czy dorosła kobieta, nie nadąża ze zlizywaniem białego nektaru?

151

To... jest ładne, a to... brzydkie. Albo odwrotnie. Ten... jest wesoły, a ten... smutny. A może nie. Ktoś się modli... tam, w chłodnym kościele. Dzieci, za kogo moglibyśmy się pomodlić? Pomódlmy się za Pana Boga. Bąk czy kwiat szuka miłości w balkonowej donicy? Robi się jakoś strasznie.

Jak zwykle za szybko, zdecydowanie za szybko. Dobrze o tym wie, ale i tak jeździ za szybko. Nie miała nigdy żadnego wypadku, stłuczki, niczego. Tylko mandaty. No i co, lubi płacić mandaty, stać ją. Skąd wiesz, że lubię? Co? Skąd wiesz, że lubię płacić mandaty, w myśli mi

zaglądasz?

Zerknęła w lusterko. Co za spocona twarz, lepka i błyszcząca, a jeszcze musi przed 17 zdążyć do urzędu, zapłacić te zasrane podatki, na które musi harować po 60 godzin tygodniowo. Dobrze, że już zrezygnowała z uczenia. Od tego tylko na przemian albo angina, albo zapalenie strun głosowych. Teraz więcej formalności, wciąż trzeba pamiętać o innych i o terminach. Musi jeździć szybko, inaczej nie przebije się na drugi koniec tego zasanego miasta. Ale musi, przecież wzięła kredyt, spłaca to drugie mieszkanie. Po co? No, inwestycja na przyszłość. Zamiast niepewnej emerytury, pewna nieruchomości w centrum miasta. Gdyby wiedziała, że nie będzie jej dane dożyć takiego wieku, gdyby, gdyby... Co? Mieszkanie to się właściwie samo spłaca, bo to, które jej ojciec kupił, wynajmuje. I jakoś się kręci. A może w ogóle przerzucić się na

153

nieruchomości? Teraz to chyba najlepszy biznes. Tak nie pomyślałam, nigdy nie chciałam rzucać języków. Nie zmyślaj, skoro już piszesz, to tylko prawdę.

Proszę bardzo. Bożena ma 30 lat i jej największym problemem jest samotność, twarz, tusza i dręcząca tajemnica. Kto to mówi? I taka jest prawda. I jeszcze to, że Bożena nie lubi siebie, dlatego tyle pracuje, żeby zabić działaniem, jakimkolwiek nawet, te wszystkie możliwe spotkania sam na sam ze sobą. Tak jak teraz w lusterku samochodu na światłach.

Bożena poprawiła włosy, te różne pasemka koloru blond, co mają zakryć siwiznę, coraz większą ostatnio. „No, pani Bożenko, latka leca, zmarszczki się robią, a włos siwieje, ja radzę dobre pasemka, tak ze dwa odcienie, żeby było w miarę naturalnie, na razie to wystarczy i trochę przytniemy, tak właśnie, nie, raczej z tyłu, no. A jak tam w ogóle, w życiu? Teraz to taki czas, proszę pani, ja to nie narzekam, mąż do domu wraca po robocie zaraz, a dzieci to on odprowadza do przedszkola. A pani? No bo mój najstarszy to już do gimnazjum...”

Więcej nie poszła do tego zakładu. Miał być najlepszy w mieście, jasne; kawę-srawę dostała, gazetki-sretki do czytania-srania, masaż głowy przy myciu, zasrane to wszystko, a fryzjerki - pierdolone plotkary - zasrane. Co to ona ich koleżanka? Znają się? Bezczelna dziewucha. „Proszę się zająć moimi włosami, nie mam ochoty na żadne rozmowy”. Musiała to uciąć, choć najchętniej by wtedy wybiegła z tego zakładu. Tylko jak, z mokrą głową?

Bożena - taka odważna w biznesie, najlepsza studentka na lingwistyce, angielski, francuski i hiszpański w małym palcu, prowadząca konkurencyjną firmę tłumaczy dla

154

biznesu, wciąż robiąca kursy, szybko podejmująca decyzje, jeżdżąca po świecie, a jednak nie potrafiła zwyczajnie pogadać, tak po babsku. No bo jak by to miało wyglądać? No nie, ja nie mam dzieci, nie mam męża, nie mam nawet chłopaka i nawet nie miałam. Bo widzi pani, jaka tłusta jestem z tą dupą, co mi się ledwo w wasz fotel mieści i z gębą jak u chłopca i wąsem, z którego wrywaniem nie nadążam, by upodobnić się do was, prawdziwych kobiet. Nie umiem - tak jak wy wszystkie - chichrać się, uśmiechać, chichotać z byle czego. No, nie miałam w życiu chłopaka, nie, naprawdę. I co, takie to dziwne? Lesba jestem! Przestań. A nie przestanę! Przestań, kto ci dał prawo? Piszę, tylko prawdę, tak jak chciałaś... Boże, czy nie ma we mnie nic fajnego, miłego, wdzięcznego? Hm, może i jest... Ale skoro ty tego nie widzisz, to skąd ja mam o tym wiedzieć. Przecież masz depresję i nienawidzisz siebie. Nie możesz czegoś zmyślić? Kim w ogóle jesteś? Jak to możliwe, że z tobą rozmawiam, że cię słyszę? Wszystko jest możliwe. Więc kim jesteś? Dowiesz się w swoim czasie. Kiedy? Spokojnie obserwuj siebie z daleka, nie pytaj, tylko patrz zwyczajnie, odwagi!

Może rzucisz to wszystko i będziesz naprawdę szczęśliwa, wyjedziesz nad morze i zamieszkaś tam. Będziesz codziennie o świcie biegać po plaży i pływać w lodowatej wodzie, pokochasz siebie, zmienisz się.

Pamiętasz, jak bardzo kochałaś morze jeszcze w liceum? Najlepsze wakacje, życie. Ty, Klara, Magda

i Wiolka. Byłyście wolne w te najdłuższe wakacje tuż po maturze. Klara? Gdybyś wtedy miała odwagę. Mogłaś przecież powiedzieć im wszystkim, przyznać się, przyjaźnić się prawdziwie, a może nawet kochać. Przecież nie zapomniałaś tego ogniska...

Było wspaniale, na wydmach znalazłyście sporo suchych gałęzi, ułożyłyście stertę w oczekiwaniu na noc, po której następuje wschód słońca. To Wiolka mówiła, że w nocy na plaży zawsze jest zimno i trzeba rozpaścić ogień. Miała wtedy łysą zbuntowaną głowę i blok rysunkowy, z którym się nigdy nie rozstawała, a w nim głównie portrety. Pamiętasz jej słowa? „Bożena, nie mogę cię dobrze narysować, gdzie się chowasz, to znaczy, jakbyś coś ukrywała, bała się czegoś, to dlatego zawsze jesteś taka niepodobna do siebie”. Tymi rysunkami nie tyle ćwiczyła swój warsztat przed pierwszym rokiem studiów, ile była waszym psychologiem, przewodnikiem, który pomagał zrobić pierwszy krok w stronę dorosłości, bo ona musiała dojrzeć dużo wcześniej. Klara, ty i Magda - na lingwistyce, a Wiolka na malarstwie. Koleżanki z liceum.

Pamiętasz to? Bożena! To jest naprawdę ważne! Bożeno, słuchaj tego, przecież możesz umrzeć... Co? Dlatego słuchaj, musisz to zobaczyć od nowa.

Słońce zaszło już dawno, a wy - lekko zamroczone tanim winem - nie mogłyście się oprzeć sennej aurze. Leżałaś przykryta śpiworem, zanurzona w szum wody, skupiona na ciepłe ognia, przychylna swym pragnieniom. Pamiętasz swe słowa, te, których nie powiedziałaś, choć mogłaś. Jestem mężczyzną zaklętym w ciele kobiety, kocham cię, Klara". To wtedy był moment, gdy mogłaś pokochać przede wszystkim siebie. Ale ty się bałaś, tak,

bałaś się miłości, tej najprawdziwszej, tej najtrudniejszej, jedynej, do samego siebie... I choć posłałaś za głosem pożądania i pozwoliłaś sobie dotknąć kobiecego ciała Klary, to przecież do dziś nie wiesz, co ona o tym myśli. Czym była miękka rozkosz, jaką jej ofiarowałaś? Dlaczego wtuliła się tak bardzo w twe włosy i śpiwór? Ze strachu? Ze szczęścia? Czyje dłonie zrobiły pierwszy ruch? Dlaczego wraz ze wschodem słońca przestałaś odwzajemniać jej spojrzenia? Czy nie widziałaś, że cały świat był przy was? Czy wiesz, jak bardzo ona cierpiała? Czy nie rozumiesz, jak gorzkie lekarstwo wybrała, by stłumić

swój ból?

Zapomniałaś o tej miłości. Wiem. Wybrałaś naukę, królowa kolokwiów, wykładów, mistrzyni zaliczeń, wirtuoz dodatkowych zajęć i fakultetów, szybko nauczyłaś się francuskiego, biegle. Odłączyłaś się od świata, zatkałaś uszy słuchawkami, w każdej wolnej chwili francuski. Najpierw rozmówki, a potem poważna literatura, melodia kochanków zamiast miłości, której się przestraszyłaś. Potem hiszpański... Kobiety. Chłonełaś je ukradkiem. Gubiłaś się, nie rozmawiałaś o tym z nikim, starałaś się przestać o tym myśleć.

Potem naukę zastąpiłaś pracą, coraz mniej czasu. Coraz dziwniej się czułaś. Sama. Niestety, nie z wyboru, tylko ze strachu. Harowałaś tyle, by zabić swoją tożsamość, wieczorem wino i szybki sen, bez marzeń. To

dlatego tak łatwo ci przyszło uczyć się innych języków, tych obcych. Obcość to było twoje drugie imię, jest nim do tej pory. Wszystko, co dalekie, miało stać się bliskie, potworność próbowałaś nazywać pięknem, a strach determinacją. Zabałaganiałaś swój świat, pomieszałaś.

157

Wiktor miał być lekarstwem, nigdy go nie lubiałaś, drażnił cię. Jakże więc miał cię uleczyć? To był głupi pomysł. Zamiast uleczyć, dobił cię. Upić się, ogłupić i zbajerować faceta, by zrobić z ciebie kobietę. Narzucić mu swój problem, niech go rozwiąże przy pomocy seksu. „Bożena, przestań, jestem gejem”. Nie tego się spodziewałaś... „Frajer”. Wyszłaś z jego biura i zienawidziłaś siebie jeszcze bardziej.

A może chciałaś poznać swoją przyszłość? Nie wiem.

Coś się stanie. Z Klarą. Możliwe, że umrze, coraz więcej na to wskazuje, choć wysyłam jej wszelkie możliwe sygnały, że nie wszystko jest przesądzone, ona mnie nie słyszy, nie widzi, złości się. Jej śmierć będzie dla wszystkich szokiem - i to taka śmierć, poprzez cierpienie i beznadzieję. Wtedy ty się zmienisz. Bo się przestraszysz widoku ciała wciąganego w przestrzeń makabryczną jak czarna dziura, choroba będzie ją wchłaniała stopniowo, zmieniając nie do poznania. Ze światła w ciemność. Z radości w rozpacz. Z życia w śmierć.

Jej śmierć zmieni twoje życie. Wyjedziesz nad morze, zaczniesz biegać, zabierzesz ze sobą Dantego. Kogo? Zobaczysz. Klara powierzy go właśnie tobie. Pokochasz słoną wodę, uspokoisz się, pokochasz kogoś, będziesz szczęśliwa. Tak to widzę... Taka będzie twoja droga do siebie, do miłości, ale Klara musi umrzeć... Nie chcę tego dalej słuchać, to jest jakieś szaleństwo, Klara na pewno

158

nie umrze, na pewno nie tak, jak myślisz. Zaczynam się ciebie bać, ja też mogę tworzyć wizje przyszłości, dam radę... Możesz? Hm... Przecież nawet nie jesteś świadoma tego, że rozmawiamy. Jak to?

Jesteśmy w nadświadomości, tu rozmawiam z każdym, lecz niewielu zdaje sobie z tego sprawę, więc piszę tę historię bez niczyjej pomocy, zmyślam, ile mogę, ale wasze pragnienia same mi się narzucają, kierują moim tworzeniem. Tyle mogę, ale czasem to wy jesteście silniejsi. Macie tyle pragnień, a one zmuszają mnie, bym pisała tak, jak chcecie. Przeraża mnie świat, który tworzycie, cierpienie, które kreujecie. Po co? Nic z tego nie rozumiem. Mam tyle pomysłów, mogę dać wam najlepszy los na loterii życia, ale wy nie chcecie. Dlaczego? Słuchają mnie tylko zwierzęta, jakieś zabawki albo dzieci. Wypełniają pustkę jak najlepsi artyści bezgranicznie otwarci na światło.

Bożeno, komu mam się wyżalić? Posłuchaj mnie jeszcze przez chwilę. Gubię się w waszych problemach, mogę wszystko, a czuję, że jestem ograniczona. Wiesz... ja nie widzę swojej twarzy, brakuje mi lustra, jakiegoś odbicia. Kim jestem? Każdy musi mieć dystans do siebie, nawet ja, a mnie brakuje go najbardziej. Widzę się tylko w waszych spojrzeniach, ale one są jak przez mgłę. Chyba wszyscy pogubiliśmy się w tym mieście.

A więc chcesz ocalić Klarę? Tak, proszę, nie skazuj jej na śmierć. Dobrze. To też mogę, jeśli tylko chcesz.



Wtedy jednak nic tobą nie wstrząśnie, znienawidzisz się tak, jakbyś była winna wszystkich cierpień tego świata. Zakochasz się w tej nienawiści i uzależnisz od niej. Z pozoru nic nie będzie po tobie widać, oprócz brzydoty, która już

159

zaczęła ogarniać twoją twarz i ciało. Błędne koło zacznie się kręcić coraz szybciej. Rok i dwa będziesz zmierzać do tej szafki, w której zgromadzisz tyle tabletek, bo nie będziesz mogła zasnąć, a będziesz zmęczona. Aż w końcu uświadomisz sobie, że tylko śmierć może przynieść uwolnienie. I tak dotrzesz do szafki z lustrzanymi drzwiami, w których po raz ostatni ujrzysz swoją twarz. Długo nie będziesz mogła zrozumieć, co się stało. Długo nie będziesz mogła uwolnić swojej duszy z więzów rozpadającego się ciała. Przestań, nie chcę tego słyszeć, każesz mi wybierać między śmiercią Klary a moim samobójstwem? Nie zrobię tego, nie. Nie możesz wybierać, pamiętaj, że nie jesteś świadoma tego, że rozmawiamy. To ja muszę zdecydować, wsłuchać się uważnie w wasze najskrytsze pragnienia. Wybrać z ograniczeń, jakie mi narzucacie, nie chcąc brać odpowiedzialności. To ja poniosę konsekwencje wyboru, w którym nikt mi nie pomaga. To ja będę je znosić w obojętności samotności, rozmawiając z fantomami waszych dusz. To ja pragnę waszego szczęścia bardziej niż ktokolwiek inny, a muszę wam zadawać ból. Bredzisz, Klara nie umrze i ja też będę żyć! Mogę być szczęśliwa, i Klara też, zobaczysz! Stop. Cisza.

Gdy Bożena w końcu załatwiła wszystkie sprawy, było grubo po szóstej, więc powinna już jechać do Gawronów. W rozgrzanym samochodzie zrobiło się niemożliwie gorąco, otworzyła szybę, mijając dworzec kolejowy.

160

Przecież to Klara! Stała na przystanku autobusowym, miała niewyraźną minę i tylko profesjonalnie rozjaśnione krótkie włosy dodawały jej wyglądowi trochę blasku i radości.

- Cześć, rany, co tu robisz? Wsiadasz? Jadę właśnie do Gawronów. - Bożena gwałtownie zatrzymała samochód i odblokowała zamek w drzwiach.

Klara, wchodząc do środka, nie ukrywała zmęczenia. Niby ucieszyła się na widok Bożeny i na myśl, że ktoś podwiezie ją do Gawronów, ale nie miała dość zdecydowania, by okazać to koleżance. Bożena już chciała spytać, co jej jest, czy coś się stało, ale zobaczyła, że między nogami Klary wciska się do samochodu jakiś pies. Jakiś kundel, trochę kudłaty, nawet ładny, biały.

- Hej, o co chodzi? Co to za pies?

Pies na dobre usadowił się między nogami Klary i oparłszy głowę na jej kolanie, patrzył na Bożenę i przewiercał ją czujnym nosem. „Czy wszystko w porządku, królowo, Bogini moja?” „W porządku, w porządku”. Na szczęście zapachy tych dwóch kobiet mieszały się harmonijnie, uspokajając go, więc nie musiał już czuwać. Pies odetchnął i przymknął oczy. W samochodzie zrobiło się duszno, a pachnąca dłoń Klary głaskaniem sprowadziła na niego sen.

- To jest mój pies, znaleziony. Jest naprawdę super, mówię ci, historia jak z filmu. Byłam nad morzem, a on przypląnął na takim wielkim pniu, jakby mnie znał od zawsze, i w ogóle, nie ma niestety imienia. - Klara jakby otrzeźwiała z wcześniejszego przygnębienia, a mówiąc o psie, rozluźniała się coraz bardziej, pozwalając sobie na uśmiech.

161

Bożena śmiała się. Kochana Klara, przywiozła psa znad morza, jak zwykle niczym się nie przejmując i zawsze ma jakieś przygody... Bożena uwielbiała jej słuchać, uwielbiała na nią patrzeć, pragnęła po prostu mieć ją przy sobie. Obecność Klary zawsze ją uspokajała. Obie dziewczyny nie zdawały sobie sprawy, że tak na siebie działają, że po prostu w swoim towarzystwie czują się nieskrępowane, a przez to zwyczajnie radosne. Ta zwyczajność mogłaby stać się ich szczęściem, a życie - z ciężkiego - przekształciłoby się w lekkie. Czułość istnieje i jest dostępna dla każdego.

Klara opowiadała historię psa. Słowa wyskakiwały z jej ust szybko, trochę chaotycznie, gubiąc się, przekręcając, łamiąc zasady szyku i językowego konwensu. To zawsze trochę rozśmieszało Bożenę. Fakt, że konduktor chciał dokument o szczepieniu psa... Daj pan spokój, dopiero go znalazłam, przecież nikogo nie ugryzie, ale pies zawarczał. Taki jest! Od razu wiedział, o co chodzi! No, że wróg, nie? Bystra psina, obroni, rozumiesz, wiem, że obroni, ta mordka jest piękna, ale jak zęby pokaże, kochana, wilk polarny, śnieżnobiały, więcej, bestia, szczeka krokodyla - takiego mam teraz kumpla zębatego. No to konduktor za drzwi, a ta kobieta, no, jechała ze mną w przedziale, w śmiech. Komedia. Ten, głupi, uchyla drzwi i przez szparę: „Wysiadać z pociągu, z takim niebezpiecznym psem i jeszcze bez kagańca”. A zębiska, słuchaj, jakby mu się powiększały i rosły w pysku. Proszę bardzo mogę wysiąść. Śmiać mi chciało. Bo co, zatrzyma pociąg w polu? „Wysiadać na następnej stacji!” Na następnej stacji i tak wysiadam, spoko, nie ma sprawy, przecież to ekspres. „Wzywam policję, spiszę panią na

162

dworcu, będzie kara". Luz, nie było żadnej policji, dupek jakiś, ten konduktor. Ty, nie jedź tak szybko, bo pies mi się chwieje, wariatko. O której zaczyna się impreza?

- Chyba o siódmej. Najpierw z dziećmi, prezenty, tort, te sprawy, potem ma przyjechać matka Karola i wziąć je do siebie, bo stwierdzili, że jakaś porządna impreza jest potrzebna...

Klara trochę posmutniała, nagle odpląnęła beztroską radość, coś ją złapało za gardło - skurcz strachu. Tak, Wiołka, i jeszcze Karol. Coś sobie obiecała. Miała porozmawiać z Wiołką o Karolu - o tej pierdolonej, kurewskiej zdradzie, która ją dusi pętlą tajemnicy. Nienawidzi takich tajemnic. A jest ich coraz więcej. To ją męczyło najbardziej, obiecywała Karolowi, ale nie może tak żyć. A ile jeszcze będzie żyć? Chciałaby, żeby ktoś jej po prostu to wybaczył, zrozumiał, przytulił, żeby mogła zwyczajnie przeprosić. Ale czy da radę powiedzieć, czy to ma sens, czy to jest potrzebne? A może zwierzyć się Bożenie? Właściwie chyba tylko ona nigdy nikogo nie oceniała, nie krytykowała, po prostu żyła...

- Co jest? Nie masz ochoty na imprezę?

Bożena szybko zauważyła zmianę nastroju wesołej przed chwilą Klary. A jednak Klara milczała, nie potrafiła przyznać się, co ją gryzie, nie chciała zwierzać się ani z choroby, bo to by znaczyło, że ona naprawdę jest i coś przerażającego może się stać, a ona tego nie chce, ani z dawnego romansu z Karolem, którego rocznicę

163

obchodzi właśnie dzisiaj. Mruknęła tylko pod nosem: „Nic, nic, głowa mnie rozboleła”. Odwróciła szybko twarz, nie chcąc pokazać Bożenie przerażenia, które pochłaniało ją tak, iż coraz trudniej było sprawować nad nim kontrolę. Przecież może nawet umrzeć.

Pies chciał jej powiedzieć, że czuje wszystko razem z nią. Opowiedzieć o tym, co jest zapisane we krwi - że śmierci nie należy się bać, bo nie jest straszna, i że miłości do życia też nie trzeba się bać, bo życie też nie jest straszne. Że się żyje i umiera, i że nie ma innej możliwości. Że raz się chłonie świat wszystkimi zmysłami: nosem, oczami, uszami, łapami, co tam się ma. A potem jest tak samo - tylko odwrotnie, jest się światem, który ktoś może chłonąć nosem, oczami, uszami, łapami, czymkolwiek. Raz jest się oglądającym, a raz oglądanym. Raz na zewnątrz, a raz wewnątrz. I w tym jest pełnia.

- Słuchaj - Bożena, widząc gwałtowną zmianę nastroju Klary, próbowała jakoś zagadać - to jak byś nazwała tego psa? Może jakieś szalone imię, słowo, którego nie ma, nazwa absolutnie niepowtarzalna?

Bożena przypomniała ich dawną zabawę w wymyślanie nowych słów, żeby zastąpić te, które im się nie podobają. I tak - ping pong, jakaś bzdurna chińszczyzna to kilkakulka, buty - brzmiące tak prostacko - czasome-try, a seks, słowo, które niczego nie wyjaśnia - ciałowanie, miłość to po prostu ciepłość, a śmierć... Tu chyba nic nie wymyśliły, a może nawet w ogóle o niej nie myślały.

- Słuchaj, a co powiesz na Aralk?

- Co? Aralk?

- Klara od tyłu.

164

- To może Aneżob, czyli Bożena od tyłu... Nie, nie, nic z tych rzeczy, to musi być piękne imię, żadne wygłupy. Nic od tyłu. Teraz wszystko ma być do przodu, rozumiesz?

Klara chwyciła się tej myśli. Tak, teraz ma być wszystko do przodu, od początku, jeszcze raz i od nowa.

- A może jakiś bohater albo coś z literatury... Co czytałaś ostatnio? - Pytanie Bożeny skierowało myśli Klary w jeszcze innym kierunku...

Ostatnio czytała, a właściwie tylko przeglądała, Boską komedię, Alighieri i jego nadzwyczajna wyobraźnia! Trochę przypadkiem sięgnęła po tę książkę, zresztą dawno już czytanie nie przynosiło jej tej zwykłej radości, że można się znaleźć gdzie indziej i stać się kimś innym, przeżywając coś innego, niż swoje zwykłe życie i zwykłe

problemy.

Klara nagle zdała sobie sprawę, że ona i tak była kimś innym tu i teraz, że na co dzień była kimś, kto nie był nią, jakimś bohaterem literackim, który się sam wykreował. Niby żyła naprawdę, ale jakby nie swoim życiem, nie o takim życiu marzyła, nie takiego życia chciała. Żyjąc prawdziwie, będąc z krwi i kości, ale nie sobą, pozwoliła, by wypełniła ją treść, pod którą nigdy nie chciałaby się podpisać. A teraz może jeszcze umrzeć, umrzeć jako ktoś inny... Jak można umrzeć, nie żyjąc wcześniej

naprawdę?

Wtedy szukała jakiegoś listu, wertowała różne książki, no i ta ją zatrzymała, podróż przez piekło i czyściec na szczyt raju... Przecież ją też czeka taka podróż, tak, wcześniej czy później... Szukała listu od Filipa. Miała nadzieję, że pośród tych kilku słów odrzucenia, jakie jej

165

napisał, znajdzie coś pomiędzy nimi, jakieś gdyby, jakąś namiastkę bliskości, do której dążyła.

Listu nie znalazła, może to i dobrze, po co czytać tak bolesne słowa: „To, co się zdarzyło między nami, biorę na siebie, to ja cię do tego sprowokowałem. Wybacz mi. Proszę też, by zostało to między nami. Nie mieszajmy w to Magdy...”

- Boska komedia! Ale ty masz gust! Kto teraz czyta takie książki? No, ale mam imię! Co powiesz na Dante?

— Klara spojrzała Bożenie w oczy. Wspaniałe! Po prostu Dante. Nadświatowy podróżnik!

-Jesteś genialna! Podoba mi się. Dante, Dante, no obudź się! - Klara tarłosiła uszy psa, patrząc z wdzięcznością w oczy koleżanki. Zapragnęła żyć, przytulić się do niej i iść do przodu. - Dzięki, to będzie jego imię

- Dante.

- To tu mieszkają twoi znajomi?

Ewa wskazała na biały blok, który stał daleko na peryferiach miasta, pośród łąk.

Robiło się chłodno, majowe słońce nie grzało już tak mocno jak w samo południe, ale oni tego nie czuli. Dzikie trawy - wysokie i zaniedbane - zaszumiały, wpatrując się w Adama i Ewę, a oni wpatrywali się w siebie. Zanurzili się w pierwszej zieleni, by spokojnie próbować dotyku, który wymieszał się z kurzem ziemi, mrówkami i wiatrem. Pochylili się i opadli na ziemię. Adam oparł głowę na kolanach Ewy, patrzył raz na płynące chmury, raz na jej oczy, właśnie poznane usta i tę grzywkę, którą ukochał wiatr. Ewa gładziła jego czoło i tak milczeli, nie widząc świata. Adam miał ochotę powiedzieć jej, że jest najpiękniejszą kobietą, cudowną i unikalną, że kocha ją bardziej niż siebie, nie mówił jednak nic, zahipnotyzował go wiatr i jej czułe dłonie.

Mężczyzna mimowolnie pozwolił sobie na przypadkowy sen, do którego wdarł się obraz tego, co dzisiaj przeżył. Obraz, nad którym wkrótce będzie pracował,

167

gdy tylko niewyrażona myśl zacznie dobijać się do jego świata głośniejsz i głośniejsz.

Naga Ewa stoi obok Adama. To będą oni, ich twarze, włosy i zauroczenie w oczach. Nagi mężczyzna i naga kobieta trzymają się za ręce. Stoją w jakiejś nieokreślonej gęstwinie kolorów, przypominających kwiaty, zanurzeni prawie po pas w bujnej roślinności. Ich wstydliva nagość ukryta jest w wijących się krzewach. Jednak, gdy dobrze się przyjrzeć, widać, że łono Ewy to wspaniałe jabłko, czerwony kuszący owoc, a w jego kierunku wychyla się wąż wyrastający wprost z podbrzusza Adama. Za chwilę ukąsi, by zaspokoić swoje pragnienie. I tak powstanie miłość, życie i śmierć, dążenie i szukanie celu, rozdzielenie i chęć łączenia się wbrew zakazom. Ten obraz zachwyci Ewę. Postanowi nigdy go nie sprzedawać, to będzie ich prywatna wizja raj, trochę niezrozumiała dla innych, ale dla nich wyjątkowa.

- Adam, Adam, patrz...

Ewa obudziła ukochanego, by upewnić się, że to, co zobaczyła, nie jest złudzeniem. Na szczęście schowani w bardzo wysokich trawach zdawali się być niewidoczni dla tego, co przechodziło tuż obok...

Obraz był niezwykle i raczej nieprawdopodobny. Wielki mężczyzna z gęstwiną siwiejących - rozczochranych włosów, z powiewającą brodą, niby zwyczajny bezdomny, jakich wielu kręci się po łąkach, a jednak inny - dumnie wyprostowany i szlachetny w swej pewności ruchów, kroczył przed ich głowami, przysłoniętymi drgającymi łodygami wysokich traw. Kroczył, wołając rytmicznie: „Przemienienie niedźwiedzicy, przemienienie niedźwiedzicy”. I ona - niedźwiedzica - jak z telewizji,

168

jak z zoo, prawdziwa. Dreptała posłusznie, trochę kuśtykała, jakby potykając się. To nie był koniec tego zdumiewającego orszaku... Za nimi chuda, czarna linijka, nieco skulona w sobie, człowiek w sutannie - ksiądz, który szedł stawiając zamaszyste kroki.

Zakochani milczeli, nie wiedząc, czy obojgu wydaje się to samo, czy może gdzieś po prostu znajduje się plan zdjęciowy i jest to jakaś próba do filmu. Nie, raczej nie. Nie było wokół innych ludzi, kamer, mikrofonów czy cegokolwiek, co wytłumaczyłoby ten nieprawdopodobny spacer. Może przyjechał cyrk? Nie, dookoła nich rozciągała się tylko łąka.

Jedynie gwiazda wzdychała z oddali, starając się wygładzić drogę, którą wybrali. Niech.

Adam i Ewa nie byli pierwszymi, którzy ich ujrzeli. Ksiądz, Sasza i niedźwiedzica mijali przecież na klatce schodowej Karola i - mimo że Sasza szybko narzucił na plecy Glorii koc - Karol zorientował się, że pod nim znajduje się coś dziwnego, jakieś zwierzę, ale na pewno nie pies. Mijając księdza, którego wzrok skupił się na włochatym mężczyźnie i na tym, co zakrywał koc, zawstydził się, przypomniał sobie poranną wizytę i swoje szalone wyznanie wiary. Właściwie to nie był wstyd, tylko smutek, że wyznał coś, co

najgłębiej skrywał, czego nigdy wcześniej nie umiał wyrazić słowami. Tak, dla niego Bogiem, światem i religią są jego dzieci. Wiedział też, że nie jest to instynkt, zwierzęcy imperatyw bycia ojcem. Czuł, że tak mówi głos, którego, mimo że go nie słyszy, nie może zignorować.

Na szklanym stole, zamkniętym w czworobok metalową obręczą - której ostrza i siły miała Marysia nigdy nie pozna - stał już tort. Wiolka zrezygnowała z pracochłonnego ucierania masy i przełożyła plastry ciasta zwykłym budyniem. Kanapki leżały na tacy, a sałatka owocowa, uwielbiana przez dzieci, znalazła się w różowej misie. Było wczesne popołudnie, a Wiolka już skończyła przygotowania do imprezy. Zwyczajnie odpuściła sobie, nie zamierzała szykować żadnego wystawnego przyjęcia. Dzieci na widok gotowego tortu zaczęły oczekiwać gości i prezentów. Najgorsze poranne zdarzenia mieli za sobą. Wizytę księdza, zdenerwowanego tatę, który wybiegł z domu bez pożegnania, zdenerwowaną mamę i spory o laleczkę, a potem łazienkę zalaną wodą i jeszcze większe zdenerwowanie mamy. W końcu zapanował odświeżony i spokojny nastrój. Mama zajęła się doprawianiem zupy, a oni wyszli na balkon. Wojtek pokazywał Marysi, jak fajnie można z góry pluć na chodnik.

Wiolka nie zamierzała mówić Karolowi o zalaniu łazienki, o całym bałaganie, jaki z tym miała, i o tym, że naprawdę dziś rano przestraszył ją tymi niedorzecznymi

170

bluźnierstwami. Jak można się tak zachowywać w obecności księdza, przecież on nie jest winien jego religijnych wątpliwości. Teraz będą jak przekłęci na tym osiedlu i chyba nigdy nie pójdą do kościoła. Chociaż ksiądz bardzo ją namawiał, by zaczęła się modlić, pocieszając, że może Karol ma jakiś problem i obraził się na Pana Boga, więc zwyczajnie szuka zaczepki, jakby chciał, by Bóg go skarcił, co byłoby dowodem na jego istnienie. Gdyby równo i sprawiedliwie wydawał wyroki, kary i nagrody.

Ale Wiolka miała inne wytłumaczenie. Nie potrzebowała metafizyki i Boga, dobrze znała swego męża i równie dobrze pamiętała swego ojca. Powodem musiała być wódka, pod jej wpływem można robić o wiele gorsze rzeczy niż pokrzykiwanie na księdza, i żaden ksiądz nie jest w stanie sobie tego wyobrazić.

Duchowny zostawił dla Karola małą Biblię i prosił Wiolkę, by namówiła go do przeczytania jakiegokolwiek fragmentu. Miał jeszcze iść na dół, by dalej głosić Ewangelię. Wiolka tłumaczyła mu, że mieszkanie pod nimi jest puste i nikt tam nie mieszka, bo gdyby mieli jakieś pieniądze, to mogliby je kupić i zrobić sobie dwupiętrowe. Była nawet zgoda w administracji. Ale ksiądz się upierał i dziwił, że nic nie zauważyli.

Ta Biblia zaciekała ją, niewielkie kieszonkowe wydanie, Stary i Nowy Testament, drobny druk, chyba trzeba ją czytać z lupą albo pod mikroskopem. I przez ten właśnie zminiaturyzowany druk zaczęła ją czytać, najpierw tylko po to, żeby sprawdzić, czy jest w stanie dojrzeć tak małe literki, jednak treść wciągnęła ją nadzwyczaj mocno. To, co czytała, zdumiewało ją i jednocześnie porażało.

171

Między nogami plątała się Marysia, Wojtuś podrzucał piłkę, a Abraham prowadził swego syna na śmierć. Postanowił go zabić, bo głos tak chciał. Chciał ofiary, chciał, by Abraham ofiarował coś absolutnie najcenniejszego - syna. Głos ten był głosem Boga! Boga? Jak to możliwe? Wiolka czytała i choć znała ten biblijny przekaz, to nagle, jakby po raz pierwszy w życiu, zobaczyła go w całym jego niewyobrażalnym okrucieństwie.

Głosy w głowie Abrahama to według niej zwykłe szaleństwo, choroba psychiczna, jakieś niebezpieczne wariactwo - czysta psychopatia! Jak można prowadzić swoje dziecko na ofiarny stos? Jak można związać mu ręce i przygotować drewno, by dokonać całopalnej, tradycyjnej ofiary? Ale tak prowadził Bóg. Taki był głos.

Zastanawiała się, jak ten fragment miałby wpłynąć na Karola. Sądziła, że tylko by się utwierdził w przekonaniu, że ta religia jest oparta na szaleństwie. Jednak Bóg nie wymagał, by Abraham dokonał tego, do czego go prowadził. W ostatniej chwili wytrącił mu nóż z ręki. Cóż za łaska i wspaniałomyślność! Wiolka zastanawiała się, jak wyglądało dalsze życie ojca i syna, który miał zginąć, będąc zwykłym pionkiem w próbie sił między oddaniem człowieka, a zwątpieniem Boga.

Jak straszliwie syn musiał się bać swego ojca, bać życia w ogóle, skoro ten, który mu je dał i mówił, że kocha, w chwilach niepoczytalności mógł zabić. Strach Izaaka musiał być niewyobrażalny, a Bóg, który go wywołał, był za niego odpowiedzialny. Jedyłą ostoją mogłaby być dla niego silna i mądra matka. Matka, która przepędziłaby z domu zwyrodniałego mężczyznę i jego niepojęte zapędy razem z Bogiem, żądnym przelewu krwi. Dlaczego

172

tego nie zrobiła? Jakże wspaniałą religię mogłaby stworzyć. Religię miłości do życia, do dzieci, prawdziwie opiekuńczą i zwyczajną jak dobry, bezpieczny dom z gorącą zupą na kuchence, ciastem w piekarniku i snem bez strachu, że ktoś zerwie kołdrę i pokaże swą diaboliczną twarz: pijanego ojca, wojny, głodu i biedy, gwałtu. Sam sobie dopisz, co chcesz...

Wiolka musiała przerwać czytanie, bo zupa domagała się uwagi. Przykrywka podskakiwała od nadmiaru pary, więc trzeba było ją zdjąć, a potem zupę zamieszać, powąchać i ocenić. Abraham został odsunięty na bok, zamknięty w Biblii. Nie mógł już dalej straszyć, teraz liczył się tylko kapuśniak i to, czy jest odpowiednio kwaśny. Wiolka postanowiła, że potraktuje Pismo Święte jak normalną książkę, przeczyta ją bez żadnych uprzedzeń i stereotypowych interpretacji, które za bardzo wryły się w umysły wiernych. Zachciało jej się zgłębić Biblię od serca i poprzez serce. Może dowie się w końcu, o co w tym wszystkim chodzi. Przestała się też obawiać tego, co Karol mówił księdzu. Dostrzegła w tym jakąś irracjonalną siłę i mądrość. Zrozumiała, że jej mąż wiedział coś, co wszystkim umykało i nie dał się nabrać odwiecznemu kłamstwu.

W pewnym momencie przed jej oczami stanęła twarz matki, taka, jaką pamiętała najlepiej - ze zdjęcia do Pierwszej Komunii, uśmiechnięta, jeszcze niewiedząca o raku, który tak błyskawicznie ją potem zabrał. A teraz to Wiolka jest matką.

Nagle historia o Abrahamie i Bogu ostatecznie zrzuciła z siebie patriarchalny bagaż, ujrzana przez pryzmat matczynego serca. Oto Bogini Matka chce dowodu, że

173

Wiolka ją kocha ponad wszystko. Zabij swą córeczkę Marysię, złóż ją w ofierze, bo wątpię, czy mnie kochasz. Tylko tak mogę się przekonać. O zła, fałszywa matko, wiedz, że cię nie kocham, że właśnie uciekam przed tobą, nie wiem, kim jesteś, ale z pewnością cię nie posłucham. Wiolka otrząsnęła się wzburzona. Zerknęła na dzieci, nikogo nie kochała bardziej. Jak to dobrze, że Karol też to czuł. Jakże przewrotnym myśleniem trzeba się wykazać, by ze zwykłego diabła czynić Boga! Kapuśniak się udał, naląła go dzieciom na talerze.

Marysia już z daleka dostrzegła tatę. Zaczęła mu machać i machać, a gdy zniknął, wchodząc do klatki schodowej, podbiegła do mamy, skomląc, by już zapaliła świece. Dała się jednak przekonać, że tata musi najpierw zjeść zupę, bo jest głodny i nie będzie miał siły śpiewać Sto lat.

W domu Gawronów zapanował zwyczajny, a jednocześnie odświętny nastrój. Nie było czasu rozmawiać ani o zuchwałym wyznaniu wiary Karola, bluźnierstwach, późniejszych rozmowach Wiolki z księdzem, szalonym Abrahamie, czy kwiecistych majtkach, które wypłynęły spod wanny. Rozmawiali jak zwykle, włączyli radio, a Wojtek śpiewał razem z nim, rozśmieszając w ten sposób pozostałych.

Wszystkiemu przysłuchiwała się laleczka - porzucona, nie mogła cieszyć się szczęściem całej czwórki, nie mogła też powiedzieć, jakie zdarzenia naprawdę zaszły

174

dzisiaj w tym domu, w jaki sposób w ułamku sekundy znalazła się w łazience, by odbić się w lustrze i skierować zdumioną Wiolkę z powrotem do dzieci. Ani tego, że nie ma jednego planu, że cuda zdarzają się na chybił trafił, a obdarowany łaską nie może o niej wiedzieć, choć czasem myśli, że to jakaś niesprawiedliwość, kara...

Gdy zadzwoniła komórka Karola, natarczywie przerywając wspólną prostą i domową chwilę, wszyscy przypomnieli sobie o imprezie i gościach, którzy już niebawem zaczną się schodzić. Halo... W porządku, no, tak... Mała imprezka... Nie ma sprawy... Wpadaj...

- Kto dzwonił?

- Piotrek, wiesz, ten tłumacz, ten, który mi tłumaczył projekt na konkurs. Pamiętasz?

- Ale Wiktora zaprosiłeś? Obiecałeś. - Wiolka chciała się upewnić, że Karol stara się podtrzymywać kontakt ze starym kumplem, od którego zależy teraz czy będą mieli pieniądze i to mieszkanie, które trzeba spłacić.

- Tak, ale nie sądzę, żeby przyszedł, wykręcał się, że ma jakieś spotkanie, ale pozdrawia wszystkich. -



Karol skłamał, nie zamierzał bowiem kontaktować się z Wiktorem, a tym bardziej prosić go o jakąkolwiek pomoc, zwłaszcza finansową.

- Karol, to już nie chodzi o ciebie i stare sprzeczki sprzed lat, mamy długi, kredyt. - Wiolka czuła, że Karol próbuje ją zbyć i wcale nie zaprosił Wiktora, nie był u niego ani nie zadzwonił. - Karol, przecież chodzi o dzieci, one są najważniejsze... Przecież dziś przy księdzu sam się zarzekałeś, że to one są dla ciebie Bogiem, czyli że dla nich poświęcisz wszystko... - Wiolka zawiesiła głos,

175

nie wiedziała, czy dobrze robi, nawiązując do porannego spotkania z księdzem.

- Wiolka, wpadasz w panikę, będzie dobrze, zobaczysz.

- Mama, mama, ciocia idzie z pieśm, mama... - głos Marysi na balkonie wytrącił im z rąk nierozwiązaną kwestię.

To Klara, prowadząc dumnie Dantego, który właśnie dostał własną smycz i obrożę, zauważyła małą i pomachała jej ręką. Ciocia Klara i ciocia Bożena. Hura, zaraz zaczną się urodziny.

Piotrek, gdy dzwonił do Karola, był już w sklepie, dwie ulice dalej. Kupił wino i porządną wódkę, nie było żadnych kwiatów, więc wziął czekoladki dla Wiolki, jeszcze tylko coś dla ich córki. Ale co? Czy on naprawdę zamierza dzisiaj poderwać Bożenę? Sam się sobie trochę dziwił, ale właściwie czemu nie. Spróbuje... dla Wiktora. Takie zadanie. Kupił pluszowego jednorożca. Fajny. Różowy, w sam raz dla dziewczynki. Ukłął się jego miękkim rogiem w czoło.

Wiolka czekała na nich na klatce. Ciocia z psem? Szok! Dante czujnie wywęszył ślady po Glorii, wijące się groźnie po schodach. Tak, na pewno jest stara i chora, mógłby z nią walczyć. Na kolejnym pięttrze trop się urywał, chciałby wrócić, by sprawdzić, dokąd prowadził, jednak posłuszny smyczy wszedł wyżej. Znowu fajerwerki emocji wykutych w zapachach pomieszały się za szybko, by mógł prawidłowo ocenić sytuację. Musiał więc szczerknąć, trzeba sprawdzić każdego po kolei, czy nie zagraża królowej. Różni są ci ludzie i nawet dwoje małych, ruchliwych, ale niegroźnych. Jest ich matka,

176

a to ojciec, silny, pachnie metalem. A jego królowa wiruje w zapachach, przeobraża się. Dante pojął, że ten samiec ma je dwie, tę matkę i jego królową. Musi go szanować, jego wyciągnięta dłoń pachnie metalem. Posłusznie ukłonił się, schylając ogon. Weszli do ich domu. Dzieci chciały się z nim bawić, wspaniałomyślnie pozwolił im trochę, ale tylko trochę. Pachniały szczęściem, chciałyby przypomnieć ten zapach swej królowej.

- Przecież miałas być nad morzem. Co ty tu robisz? - Wiolka próbowała przebić się przez ogólny śmiech i komentarze dotyczące psa.

- Już mi się znudziło, znalazłam Dantego i pomyślałam, że zrobię wam niespodziankę, więc przyjechałam.

Dziewczyny usiadły razem, przecież trzeba sobie dokładnie opowiedzieć, co się działo i tu, i tam. Nieważne, że mówi się tylko to, co ktoś chce usłyszeć. Nieważne, że Bożena aż drżała od niespełnionej miłości, nie mogąc oderwać oczu od Klary, a ta prowadziła małą kłótnię wewnętrzną. Bała się swojego postanowienia, aby powiedzieć Wiołce o tym, co zaszło między nią a Karolem. Czuła, że musi to zrobić, ale nie chciała burzyć ich zwyczajnego, dobrego życia. Choć coś, co kwitnie na kłamstwie, nie może być dobre, bo i tak - wcześniej czy później - uschnie. „Nieprawda, to nie jest kłamstwo, to po prostu mój grzech i egoistyczne pragnienie wyrzucenia go z siebie”. Klara czuła, że ta prawda mogłaby ich wzbogacić. Jeśli naprawdę się kochają, to będą mocniejsi. Bała się jednak przekonać, że miłość może okazać się silniejsza od największych upokorzeń, a to by znaczyło, że ona nie jest do niej zdolna... bo ona by nie wybaczyła zdrady, nigdy.

177

Refleksje o relacjach damsko-męskich, mimo że bolesne, pozwalały jej zapomnieć o chorobie, a tego pragnęła najbardziej.

Karol podał im kawę, przetykając głośno ślinę. Nie wiedział, kogo bardziej teraz nienawidzi; Klary, że tak łagodnie i ciepło się uśmiecha - zwykła wiedźma - czy siebie, że wciąż jej pożąda, bo ten szalony raz w łazience, tylko odkrył to pragnienie, którego nie mógł przecież zaspokoić. Czy ona też pomyślała o tym, że to ich rocznica, trzy lata tajemnicy, trzy lata mieszanych uczuć, trzy lata niespełnienia.

W końcu nadszedł czas na prezenty dla Marysi. Muszelki i kamyczki od Klary oraz wspaniały zestaw fryzjerski od Bożeny. Taki, że można i czesać lalkę, i nawet myć jej głowę, skręcać papiloty i zaplatać warkoczyki. Nie wolno tylko obcinać włosów, bo przecież nie odrosną, tak tłumaczyła Bożena. Marysia była zachwycona. Zapomniała o psie, teraz prosiła tylko o tolta i tolta, a także i zdmuchnięcie świecki. No dobrze, zaczną już, przecież może zgasić je jeszcze raz, gdy przyjdzie reszta. Jest tylko dzieckiem, czekała cały dzień.

Czy Marysia pomyślała życzenie? Tak, było wspaniałe, niewypowiedziane, niedające się przełożyć z kolorowego języka wyobraźni na żadne słowa, bo nie ma takich zdrobnień w ludzkiej mowie, które mogłyby pomieścić niewinność i lekkość dziecka, jego przedracjonalność i wszechogarniającą ufność.

178

Nawet gwiazda znalazła wytchnienie... Podążyła za marzeniem Marysi. Widziała puszyste ciastka wirujące w kosmosie słodkich lodów, cukierki olbrzymie jak planety, tęcze pragnień i misy kolorów przemieniających się w motyle. Misie, które nigdy nie staną się niedźwiedziami, zaczarowane lalki nie będą w ciąży, zahipnotyzowane w swym ponadczasowym różowym stanie, którego piękna nie trzeba się obawiać. A dalej, kuliste supernowe wybuchały zimnymi ogniami jak na balu choinkowym, pudełko z tajemnicą w środku, prezentem, który nie ma dna, tylko wieczny uśmiech dobrej niespodzianki.

Życzenie było tak wielkie, że jedząc tort, dziewczynka poczuła się zmęczona od szczęścia. Ktoś mógłby rzucić pierwszy - rzucić kamieniem - w tę baśniową krainę, powyrywać motylom czułka, by oślepy, a

potem podrzeć im skrzydła, żeby je uwięzić w wilgotnej piwnicy. Ja tego nie zrobię! Życzenie Marysi choć ledwo wyszeptane, choć pokaleczone niedostatkiem słów, miało moc tysięcy niech. Niech!

Wojtuś zaśmiał się głośno, bo mama zapaliła świece jeszcze raz. Niech i on sobie zdmuchnie! Ale zabawa! Jeszcze raz Sto lat! Całe miasto skurczyło się, by przycupnąć i odetchnąć w dziecięcej wyobraźni: Klara, Magda, Bożena, Karol, Wiolka, Piotrek, Wiktor, Filip, Adam i Ewa, Bartosz i jego Basy... Pani Maryla z pociągu, Sasza, Gloria i Dante, nieważny konduktor i nieważny choć znaczący motyl, bliżsi i dalsi, nagle zjednoczeni... ksiądz, Alicja z cyrku, Baśka Kocica, Romeo i Roman, góral Twardy, Leśna Kobieta, matka Karola, która zaraz przyjdzie po dzieci, znani z imienia i ledwo wspomniani, wymyśleni i prawdziwi, obecni tu i tam, wczoraj, teraz

179

i jutro, zza góry i rzeki, nienarodzeni i już zapomniani, i ty...Ty też możesz... Odpocznij.

Patrz, są tu pałace i dzikie zwierzęta na dywanach z trawy, spokojny lew i młoda antylopa, zielony krokodyl i wesola zebra. Rzeka, którą płyną samochody z żaglami i wielkie liście będące okrętami dla kolorowych psów. Brat i siostra. Księżniczka i kosmiczny rycerz, twoja prawdziwa twarz spoza lustra...

Tort był bardzo słodki, a truskawki zimne jak lody, teraz można się już bawić... Dzieci, idźcie do swojego pokoju!

- Wojtuś', jak kceś, to ci dam ten plecaczek i misia, jak kceś, to ci dam na zawse. - Marysia starała się dzielić zabawkami.

- Ale to twój prezent, nie, nie chcę - Wojtuś próbował nadludzkiej sztuki wyrzeczenia.

- Ale maś.

Misio z plecaczkiem już był w rękach brata, wypełnił się klockami. Jego - na zawsze.

Stojąc przed drzwiami, Piotrek próbował sobie przypomnieć, jak ma na imię córka Gawronów. Mariola czy Marysia? Trudno, nie pamięta. Dante szczeniła, usłyszawszy pukanie. Początkowo rozmowa zupełnie się nie kleiła, bo Piotr nie znał za dobrze rodziny Gawronów, zwłaszcza takiego życia domowo-rodzinnego, z tortem dla dziecka i szczerym zachwytem nad sprawami, o których nie miał pojęcia...

180

Oddał wino Wiolce, zauważył też, że Karol ucieszył się na widok wódki. Będzie miał z kim wypić, pogadać po męsku, żeby tylko szybko przyjechała matka i zabrała dzieciaki do siebie. Niech tam, Karol dał wyraźne, wewnętrzne przyzwolenie swojej rozwijającej się chorobie

woli.

Piotrek zauważył Bożenę na balkonie. Najlepiej pójść do niej od razu, zacząć jakąś rozmowę. Jest coś dziwnego w Bożenie, tak jakby zdawała sobie sprawę, że jest naprawdę brzydką kobietą, więc nie musi

się zachowywać ani dziewczęco, ani kokieteryjnie, nie musi walczyć o męską uwagę, bo nie ma na nią zbyt wielu szans. Może przestać kontrolować mimikę, usta, zamiast się uśmiechać, mogą swobodnie wydymać się drwiną, a brwi - zamiast zachęcająco unosić się w górę czoła - mogą się trzymać skupione przy sobie, przyduszając oczy, by nikt nie widział ich koloru. Rozmawia się z nią bardzo dobrze, najlepiej o pracy. Jest ironiczna i szybka w ripostach. Bożena obruszyła się na wspomnienie o Wiktorze. Pozwoliła sobie na naturalne zdziwienie, że niektórzy zmieniają się pod wpływem pieniędzy i sukcesu. Zrobił się arogancki i schamiał. Tyle. Nagle zastanowiło ją, czy i ona stała się inna, od kiedy ma swoją firmę i pieniądze, które teraz już się tylko pomnażają. Musiała się zmienić, na pewno, ale sama tego nie widzi, nie czuje. Czy ktoś miałby odwagę jej o tym powiedzieć?

- No i co, dobrze ci się go uczy? - Bożena rzuciła od niechcienia, przecież o czymś muszą rozmawiać.

-Wiesz, jakby to powiedzieć, nie oceniam go, on po prostu świetnie mi płaci, a że jest tępy językowo, co poradzić, nie każdy musi być taki zdolny jak ty.

181

- Nie o to mi chodzi! Pytam, czy zauważyłeś, jak bardzo zaczął lekceważyć ludzi, przestał kogokolwiek słuchać, mógłby gadać i gadać, właściwie powtarza cały czas to samo. Monolog samotnego milionera, że polityka, że trzeba być lojalnym, że trzeba mieć ideały. To nie jest ten sam Wiktor. Myślę, że on ma jakiś problem ze sobą. Czy pamiętasz, że on kiedyś grał na gitarze? Razem z Karolem. A teraz? Zobacz, co z tego zostało... nic. Jezu, ale się zmienił.

Piotr zastanawiał się, na ile może być szczery z Bożeną. Czy mógłby jej powiedzieć, że nienawidzi tych lekcji z Wiktorem w jego biurze? O tym, że Wiktor niby traktuje go jak dobrego kumpla, ale wszystko, o co pyta, to tylko kto ile ma kasy, ile zarabia, co kupił, czy awansował, tak jakby się musiał ciągle upewniać, że jemu się udało, a innym nie. A on mówił, radził, że trzeba się go było trzymać, wejść w politykę w odpowiednim momencie, tak jak on, rozliczyć tych, którzy rozgrabili kiedyś kraj, tych wszystkich, którzy wzbogacali się, korzystając z wojennego zwycięstwa. A przecież ta wygrana była pozorna, przecież przegrali swoje ideały! I że Karol nie umiał tego dostrzec i zrozumieć, że nie wzbął się ponad rodzinną przynależność, tchórz; że idiotycznie bronił swego ojca, kiedy tu nie o niego chodziło, tylko o prawdę. O kraj! Gdyby wtedy Karol się nie złamał, gdyby miał odwagę iść za prawdą, teraz wszystko byłoby inaczej. On jednak stchórzył, nie umiał jak dorosły mężczyzna wygarnąć własnemu ojcu, że wszystko, co posiadają, ma swe źródło w kłamstwie, że mieć przeważało nad być.

Tego jednak Wiktor nigdy nie zdradzał starym znajomym i nikt do końca nie wiedział, dlaczego najwięksi

182

przyjaciele nie umieją już z sobą rozmawiać. Sprawa konkursu i wspólnej pracy była tylko konsekwencją dokonanych wcześniej wyborów.

Piotr wiedział tylko, że Wiktor jest teraz dla niego szansą i jest w stanie zrobić, cokolwiek, o co poprosi, i że będzie wobec niego lojalny. Coraz bardziej przerażała go bowiem myśl, że nie mając własnej rodziny, w codziennej samotności, miałby też nie mieć pieniędzy i prestiżu. Miał nadzieję, że tym wypełni swą

tożsamość, a polityczna działalność określi cel jego egzystencji.

- Mam szansę pracować u niego jako asystent.

Piotr rzucił te słowa szybko, jakby chciał zaimponować tym oświadczeniem. Tylko, że na Bożenie nie zrobiło to żadnego wrażenia. Jej krótkie i lekceważące „gratuluje” ucięło dalszą rozmowę. Piotr nie wiedział, jak podrywać takie dziewczyny jak Bożena, jak wykonać zadanie, głupie zadanie, ale skoro Wiktor tego chce...

- Chcesz może drinka? Idę sobie coś zrobić. - Piotr próbował zmienić temat.

Klara chciała szybko zapalić trawę i wziąć tabletkę. Szkoda, że Magda jeszcze nie przyszła. Co oni się tak długo zbierają? Zakochana para... Jasne, za miesiąc ślub. Super - jedni planują śluby, a ona musi iść do szpitala. Nic nie musi, może lepiej pójść do innego lekarza. Skąd tak naprawdę oni mogą być pewni, co jej jest? Mogli się przecież pomylić! To co, że powtórzyli badania. Słyszała, że zdarza się, że w tym samym laboratorium mogą być

183

źle dobrane testery, przez pomyłkę, a wtedy, żebyś nie wiem ile razy powtarzał badania, to i tak wynik będzie nieprawidłowy, tak długo jak nie poprawi się odczynników... Trzeba koniecznie iść do innego lekarza!

Klara weszła do łazienki, była zmęczona podróżą i swymi wątpliwościami. Nie czuła się gotowa, by się leczyć, by się autentycznie zmierzyć z chorobą, nie wierzyła w nią. Chciała widzieć przyczynę swych dolegliwości w trybie życia, jaki prowadziła. Może za dużo narkotyków, może zbyt rozwiązłe życie? Woląta tak myśleć niż uznać, że bezlitosne fatum po prostu ją sobie wybrało, jak myśliwy jelenia na rykowisku. Cel, pał i trup.

Po raz pierwszy też dopuszczała do siebie myśl, że nie jest po prostu wolną kobietą, pełną namiętności, lubiącą seks, ale zachowuje się jak zwykła dziwka. Z takiego życia nic dobrego nie wynikło, a ona w duchu marzy o prawdziwej miłości i założeniu rodziny, wspaniałej rodziny, takiej jak Gawronów. Może wystarczy przeprosić, błagać o przebaczenie, zmienić się, a wtedy choroba się cofnie. Zwinie w kulkę, którą Klara zwymiotuje i będzie wolna.

Kobieta całą siłą skupiła się na ciemnej stronie swojej osobowości. Tak, jest zwykłą dziwką! Poderwała męża swojej koleżanki. I za to otrzymała zasłużoną karę! Sprowokowała też narzeczonego drugiej koleżanki i tylko przypadkiem nic poważnego się nie stało! I za to też należy jej się kara. Tyle razy bezmyślnie wpadała w jedno ramiona, a odtrącała inne. I za to też należy się jej kara! Musi więc przeprosić, wyjawić wszystkie swe grzechy, zmienić się. Może, gdy już jej wybaczą, to i choroba odpuści.

184

Postanowiła skupić całą swą energię na zdradzie, na Wiołce i Karolu, na Magdzie i Filipie, na tamtej nocy sprzed trzech lat, na tamtym popołudniu, gdy czekali, aż Magda wróci z pracy i wyjdą gdzieś w trójkę. Na

tych wszystkich zdarzeniach, do których nie przywiązywała do tej pory aż takiej wagi... Powiedzieć, nie powiedzieć. Klara narzuciła sobie te rozważania, byle tylko nie myśleć o swym ciele i kryjącym się w środku bolesnym wyroku.

Przecież to zwykła męska słabość... Karol jest taki sam jak inni mężczyźni... Klara zagłębiała się w swą psychikę. Wystarczy być sam na sam, spojrzeć dłużej w oczy, dotknąć dłonią czoła, policzka, nawet ramienia, to ich hipnotyzuje. Właściwie to potem wszystko dzieje się już samo... tak było z każdym. Karol nie jest wyjątkiem, ale Karol ma żonę, dzieci... dom, jest ojcem. Przede wszystkim jest mężczyzną, a ona kobietą.

Kiedyś Magda powiedziała jej, że to ona sama robi z mężczyzn bezwzględnych samców, którymi kieruje zwykła żądza, więc nie powinna się dziwić, że ją zostawiają. „W mężczyźnie możesz mieć, co tylko chcesz - zależy od tego, do czego go sprowokujesz. A ty robisz z siebie zwykłą dziwkę, zaczynasz od łóżka". Te słowa ją bolały, bardzo, zwłaszcza że mówiła je Magda. Zawsze myślała, że Magda ją rozumie, a nie obserwuje i ocenia. A noc z Bartoszem? A Basy? Ona też była zdolna do takich szaleństw. Tym bardziej powinna ją rozumieć, a nie wyrokować i oceniać. Zresztą, co ona może teraz o tym wiedzieć, od kiedy jest z Filipem, to siłą rzeczy nie może już żyć tak jak kiedyś, musi oddać się wszystkim społecznym układom, musi więc i myśleć inaczej. Jest zwykłym tchórzem, złapała faceta na przyjaźń i trochę

185

namiętności. Chwaliła się, że to jej najlepszy przyjaciel, jedyna osoba, która może ją zrozumieć. Więc ona, Klara, nigdy jej nie rozumiała, nigdy nie była jej prawdziwą przyjaciółką?

To z nią Filip rozmawiał o jej doświadczeniach i czuła, że jest tym zafascynowany. Jesteś prawdziwie wolną kobietą, Klaro - podziwiam to w tobie". Wystarczyło, że wtedy przysunęła się do niego odrobinę bliżej, a pocałunek był szybszy niż jego wierność, niż jego przyjaźń. To jest tak proste i takie banalne, wystarczy pochylić się, by wypełnić męskie spojrzenie całą sobą, by nic więcej ze świata obok nie wpadało w zasięg ich wzroku. Czy oni wtedy zwyczajnie głupieją? Czy może Klara znalazła po prostu klucz do uruchomienia istniejącej między nimi chemii, by zalać ich nakazującym testosteronem, na jej rozkaz.

Zawsze było tak samo, nachylenie, oddech, uwspólnienie oddechu - pocałunek, wnikanie w głąb, odurzenie przekazywane z ust do ust, a potem w różnej kolejności: zdzieranie ubrań od razu albo później, zawsze w wielkim pośpiechu, który utrzymywał temperaturę wrzących ciał. Droga rysowała się sama, jeden kierunek, jeden cel dwóch ciał i namiętności, wyzwolić się, skoczyć ze szczytu prosto w niebo. Bungee jumping dla każdego, ptasia bezskrzydła namiastka. Jednak Klara nigdy nie miała żadnej liny, która chroniłaby ją przed roztrzaskaniem podczas gwałtownego upadku, a tym bardziej skrzydeł, które pozwoliłyby jej lecieć, dokąd chce. Znała doskonale ból tego upadku, jednak namiętność, od której się uzależniła, i brak miłości, na którą sobie nie pozwalała, nie powstrzymywały jej przed kolejnymi skokami.

186

Wtedy z Filipem tylko zbieg okoliczności nie pozwolił, by wspięli się na szczyt i rzucili w dół. Magda

wróciła kilkanaście minut wcześniej, dźwięk domofonu zatrzymał ich, wyrwał im siebie z rąk, wrzucił w realność, otrzeźwił. Potem Filip dał jej list, właściwie kartkę z prośbą, by oszczędziła Magdę i nic jej nie mówiła. To był dla Klary policzek. Ani słowa o niej, jak zwykle. Czowała, że znika, robiło się to już zbyt przerażające.

Klara obmyła spoconą twarz, nie mogła przestać myśleć, wspominać, rozdrapywać różnych ran. Magda to po prostu dziecko, to dziewczyna, która wygląda jak kobieta, która nie umie dobrze wykorzystać swej urody... Wiolka oddała całą siebie dzieciom, musi wiedzieć, że dużo tym ryzykuje, że Karol jest bardziej niż ktokolwiek skłonny, by wpaść w jakieś kobiece ramiona.

Kolejne wspomnienia coraz dalej odsuwały ją od ciała, od cykającego w nim zegara, od szyjki macicy, która potrafi nagłym wybuchem bólu powalić na kolana, by błagać o zwrot życia, jakiegokolwiek, byle trwało.

Dante, zmęczony nie mniej niż Klara, niepokoił się. Chciał ułożyć ją do snu. Dlaczego nie wpuściła go do łazienki? Zabrała mu swój zapach, który choć przeniknięty chorobą, koił go i nadawał sens jego istnieniu. Szczeknął pod drzwiami, w samą porę przerywając coraz bardziej wściekłe wspomnienia Klary.

Pani Barbara wysiadła z taksówki. Wiedziała, że jest już spóźniona, a obiecała synowi, że zabierze wnuki

187

wcześniej. Prezenty czekały na nich w domu, teraz po prostu wejdzie, zabierze maluchy i już. Obiecywała sobie w duchu, że nie będzie się denerwować, że przecież jej nie wolno, bo musi oszczędzać chore serce. Nie chciała na to wszystko patrzeć, a już na pewno nie zamierzała kolejny raz dyskutować z Wiolą. Kto to widział, żeby w dzisiejszych czasach tak sobie siedzieć w domu - żadnej pracy, sześć lat niańczenia dzieci, a Karol się zaharowuje. To jest niezdrowe przede wszystkim dla małych, cały czas w domu i tylko z matką. Trzeba dać im szansę, niech się rozwijają, przedszkole jest bardzo ważne. Sama ich niczego nie nauczy, nie ma nawet żadnego przygotowania. Artystka od siedmiu boleści, dyplom niezrobiony, przecież ona nic nie maluje.

Pani Barbara wspominała ze zdenerwowaniem chwilę, gdy Karol przyszedł do nich z Wiolą. Niestety, Wiola już była w ciąży. Jakie to żałosne, jakie przewidywalne, powtarzalne, prostackie. Pani Barbara dobrze знаła kobiety takie jak Wioletta, udające niezwykłość z obietnicą w oczach, że tylko z nimi nadejdzie spełnienie. Oferujące potem zwykłe, ciężkie życie, siebie i dzieciaki do utrzymania. Zawsze obawiała się tego, że i jej syn zostanie złapany na ciążę i uziemiony. A przecież taka przyszłość go czekała...

Przyjaźń z Wiktorem i jego talent biznesowy były szansą dla Karola, który zawsze więcej marzył i nieostrożnie chodził po ziemi. Gdy poznał Wiolę, opuścił się w swoich architektonicznych zajęciach, przestał zaliczać kolejne przedmioty, pojawiły się problemy z dopuszczeniem do dyplomu, zamiast do komputera coraz częściej zasiadał do sztalug i malował. Wpływ Wioli

188

oczywiście... Wiktorowi to jednak nie przeszkadzało, sam pracował w świetnej firmie, a obroniwszy się, od razu zdobył uprawnienia architekta i założył swoją firmę Nowe Domy.

Karola przyjął bez wahania. „Lojalność - mawiał - tylko z prawdziwym przyjacielem mogę wejść w biznes, w świat bez skrupułów, gdzie każdy każdego chce oszukać i zgarnąć dla siebie jak najwięcej, zwłaszcza dzisiaj, gdy politycznie trzeba się wyraźnie określić". O co im poszło? Karol niewiele mówił, nie chciał powiedzieć, o co strasznie pokłócił się z ojcem. Odsunął od nich, a przecież chcieli im pomóc, przecież mieli pieniądze, mogli im swobodnie kupić mieszkanie. Po co im ten kredyt, takie ryzyko, teraz tylko dzieci cierpią. „Nie wezmę od ciebie żadnych pieniędzy! Wiem skąd pochodzą". Skąd? Z ciężkiej pracy ojca, z powojennej odwagi, by przede wszystkim żyć, dla niego właśnie, dla syna. Tak jak on, powinien teraz żyć dla swoich dzieci!

Pani Barbara smutniała coraz bardziej, zdając sobie sprawę, że nie może już przeprowadzić swego dziecka przez życie, trzymając je za rękę, tak jak robiła, gdy szli do szkoły. Nawet w starszych klasach, gdy już nie musiała, korzystała z przyzwolenia syna, by razem z nim wyjść z domu i odprowadzić chociaż do skrzyżowania, za którym stała szkoła. Teraz dłoń Karola najczęściej trzymała kieliszek...

Pani Barbara zdawała sobie z tego sprawę, ale też nie miała odwagi powiedzieć mu o tym wprost -jesteś alkoholikiem, lecz się, odpowiadasz za dzieci... Alkoholik? Jej syn? Nie, jej syn nie jest alkoholikiem, to mąż Wiolki nim jest. Ona ostrzegała go przed tą bezwzględną dziewczyną.

189

Teraz trzeba się po prostu skupić na wnukach, by nie musiały dźwigać jarzma, jakie niosą ich rodzice.

Pani Barbara nie potrafiła nawet współczuć Wioli, mimo że wiedziała, iż jest pólsierotą, bo jej matka wcześniej zmarła na raka. Wiola miała wtedy chyba osiem lat, nie więcej, ojciec rozpił się, a dziecko wychowywało się samo. To nawet miła dziewczyna, ale z tak trudnym dzieciństwem jest tylko obciążeniem dla Karola. Poza tym, jaką ona może być matką, jeśli nie ma właściwie żadnego przykładu ze swojego domu.

Zresztą, jeśli nawet teraz jest dobrą matką, to i tak najpierw oboje powinni studia skończyć, pracę znaleźć, a nie tak - wszystko nie po kolei. To przez nią Karol nie zrobił dyplomu, uparł się wtedy, zhardział, zrobił się obcy, nie chciał niczego, kto wie, czy przez Wiolę też nie pokłócił się z Wiktorem. Wiktor to taki wspaniały mężczyzna: ambitny, zorganizowany. Nikt nie wiedział dokładnie, jak znalazł tę ziemię, którą teraz biegną autostrada, szybko ją kupił, a potem sprzedał z ogromnym zyskiem. Prawdziwy mężczyzna. I zawsze był szarmancki, uprzejmy dla kobiet, nawet dla niej. Pocałunek w rękę jasny garnitur, „Dzień dobry, pani Barbaro, pani zawsze wspaniale wygląda".

Słyszała, że jest teraz posłem w tej nowej partii. Parti Pragnących Pokoju. Jej zadaniem miało być rozwiązanie struktur militarnych państwa jako tych, które pochłaniają największe koszty, skoro w czasie wojny i tak nie przynoszą pożądanych rezultatów. Pragnący Pokoju mówili o zupełnie nowych ideach, ale robili to w stary, znany pani Barbarze sposób. Znaleźć winnego obecnych pro blemów, zamiast je rozwiązywać. Cała polityka kręciła



się wokół tego, dobrze, że jej mąż przestał się tym zajmować, emocjonować.

Zbliżając się do mieszkania, irytowała się coraz bardziej, bo na pewno otworzy jej Wiolka i będzie musiała udać w tym ich chwilowym sam na sam, że wszystko jest w porządku. Zapukała, nikt nie usłyszał, musiała nacisnąć dzwonek, by przebić się przez gwar, jaki płynął ze środka.

- Dzień dobry. — Na szczęście to Klara, miła dziewczyna, spokojna, grzeczna... - Karol, przyszła twoja mama.

Klara wywołała podpitego lekko Karola. Razem z Piotrem wypił już kilka głębszych, czuł się więc zrelaksowany, a znajomość z dawno niewidzianym kolegą od razu nabrała rumieńców i ożyła.

- Synu, miałeś nie zaczynać picia przy dzieciach. Gdzie moje misiaczki?

Pani Barbara nieudolnie karciła syna, nie zamierzała też wchodzić do pokoju, w którym było słychać muzykę, a na stole i parapetach paliły się świece, czuć było klimat zabawy, imprezy, ale nie taki, jaki ona znała i pamiętała z czasów swej młodości. Poszła więc prosto do dzieci, szczęśliwa pozwoliła im wytargać się za włosy: „Babcia, babcia”. Cudowne maluchy.

Małe mieszkanie Gawronów wypełniło się chaotycznymi rozmowami. Byli już wszyscy, którzy mieli przyjść, wciąż nie nadchodzili ci, którzy nie zamierzali się tu pojawić.

Największe zamieszanie wprowadził oczywiście Adam i jego właśnie odnaleziona Ewa. Dziewczyny były lekko spłoszone. Adam zawsze był sam, co najwyżej towarzyszyły mu jego obrazy.

Tak, jak świetnie malował, tak samo doskonale opowiadał o tym, nad czym pracuje, co zamierza. To pomogło mu potem w jego gwałtownej karierze, miał talent do autoreklamy. Bożena i Klara, wieczne singielki, zawsze przy okazji tego typu spotkań mogły wesprzeć się bezpiecznie jego pewnym towarzystwem, ale nie dzisiaj. Adam nadal opowiadał o obrazach, ale za rękę trzymał Ewę. Badawcze spojrzenia nie krępowyły jej. Towarzysząc Adamowi czuła się tak pewnie, że zwyczajnie pozwoliła sobie na bycie widzkiem tego spektaklu - tego spotkania. Prostego dramatu o przyjacielach, którzy wpisani w stare role, nie mogli się od nich uwolnić.

Ewa była dużo młodsza niż pozostali, dopiero skończyła 23 lata - czuła, że wszystko przed nią... a oni są już starzy, dorośli, miotają się między sobą. Dziwiły ją te rozmowy o pracy, o zakupach, pożyczkach, planowanych wycieczkach zagranicznych i tych już zaliczonych, z potwierdzeniem w postaci setek zdjęć. Oczy nie skupiały się na drugim człowieku, tylko na takim czy innym urządzeniu, które wyświetlając obrazki, zastępowało opowieść. Co to za impreza? Nikt nie tańczy? Oni w ogóle się nie

bawią?

W końcu utworzyły się małe grupki pomieszanych, przekrzykiwanych rozmów. Nie było całości, tylko rozsypane klocki, powtórka z wieży Babel. Nikt nikogo nie chciał słuchać, nikt nikomu nie miał nic do powiedzenia. Nie było nikogo, kto odważyłby się powiedzieć coś ważnego i zrobić to na tyle głośno, by wszyscy zwrócili

uwagę.

Na balkonie trzy dziewczyny - Bożena, Klara i Magda - przypalały trawę, nie trudząc się szukaniem innej inspiracji. Oddały się używce, która przywoływała wspomnienia jakiejś dawnej przyjaźni.

Karol rozpoczynał drugą butelkę wódki, mamrocząc coś do Piotra. I jeden, i drugi byli zbyt tchórzliwi, by zmierzyć się z wrogiem na trzeźwo.

Wiolka kroїła chleb w kuchni, zagadując Filipa o ślub. Kiwając głową, dawała mu do zrozumienia, że wie, jak to jest, i że wszystko się potem zmieni.

Ewa delikatnie puściła dłoń Adama, miała ochotę przejść się po mieszkaniu, trochę się wszystkiemu po-przyglądać, może znajdzie jakąś lepszą muzykę, coś do słuchania, przeżywania, kochania, a nie takie buczące tło.

193

Adam został na balkonie ze swoimi opowieściami o malarskiej interpretacji grzechu pierworodnego. Klara śmiała się z niego, z tego, że wszystko pomieszał, że wąż to musi być coś odrębnego, przecież to jest zło, które wtargnęło do świata, do raj, to nie jest część człowieka, człowiek jest z natury dobry, tylko się jakoś pogubił. Ale on już widział gotowy obraz przedstawiający nagiego mężczyznę, którego przyrodzenie jest prawdziwym wężem, a czerwień owocu podawanego przez kobietę - obietnicą wieczności.

Przy stole, na którym paliło się parę świeczek i czerwona lampka, siedział Piotrek z Karolem. Właściwie tylko oni naprawdę pili, wyzwajając z siebie to, co chcieliby powiedzieć. Niestety, alkohol psuł im szyki, najpierw utknęli w jakimś sporze, by w końcu spotkać się, odnalazszy wspólnego wroga. Piotr wściekał się, że musi dawać komuś dupy, a Karol wspierał go, żeby się w końcu wypiął tak jak on. Ewa nie wiedziała, o kim tak rozmawiają. Czuła tylko, że to zwykła męska zazdrość o czyjś sukces, wojenne braterstwo przeciw komuś, mobilizacja w wódce.

Aneks kuchenny, odgradzony tylko wysokim barkiem, był najjaśniejszym miejscem. Paliło się tam zwykłe światło, gospodyni coś kroїła i układała na talerzach. Filip rwąc sałatę, próbował sprowokować ją do jakiejś ambitniejszej rozmowy, ale ona tylko się śmiała i powtarzała że się za dużo naczytał jakiś filozofów, a wszystko jest takie proste.

Ewie został już tylko pokój dzieci, tu były zupełnie inne zapachy, trochę jak ze sklepu z zabawkami. Dwa małe tapczany, koce, lekki bałagan, niesprzątnięte tale rzyki z ciastem, raczej duszno z powodu zamkniętych

okien. Ewa pogłaskała psa. Ten wolał pozostać tutaj, niż próbować odczytać mieszaninę emocji wypełniających drugi pokój. To był naprawdę piękny pies, robił wrażenie bardzo spokojnego, tak jakby wiedział, że historia jest już dawno napisana i nie trzeba się już szarpać i płynąć pod prąd, skoro można się zwyczajnie poddać delikatnej fali. Na biurku, pośród porzucanych kredek, stał odtwarzacz CD, taki dla dzieci - kolorowy. Ewa przejrzała wszystkie płyty i włączyła sobie wiersze dla maluchów. Właściwie nie słuchała, tylko przeglądając rysunki, zastanawiała się. Czy ona też tak się zmieni? I jej znajomi też przestaną tańczyć i robić zwykłe wygłupy, i pić razem aż do płaczu? Wolałyby teraz być na imprezie u siebie, w akademiku, robić jakiś niezaplanowany teatr, gasić światło w pokoju, żeby sprawdzić, jak długo wytrzymają w ciemności i ciszy, albo kłaść się na podłodze i śmiać tak mocno, że się nie poznaje swojego głosu, że już nie wiadomo, kto się śmieje, a kto właśnie łąpie powietrze.

Na pewno się zmieni. Przecież kiedyś była małą dziewczynką i też pewnie rysowała takie kolorowe abstrakcje, a już jest duża. Urosła nie wiadomo kiedy. Więc chodzi tylko o to, by w odpowiednim momencie dostrzec tę przemianę, nie udawać, że jej nie było i że jest się wciąż tym samym. Czy gdyby poznała Adama jako początkującego studenta malarstwa, czy również zakochałaby się w nim w jednej sekundzie? A może właśnie ta różnica wieku między nimi jest tym, co ich przyciąga do siebie najbardziej?

Przygotowane przez Wiołkę kanapki skusiły wszystkich. Dziewczyny siadły przy stole, skupiając się, by reszta też miała trochę miejsca na dostawionych stołkach.

Przeżuwanie chleba, sięganie po oliwkę, cegiełkę sera - jedzenie wszystkim smakowało.

Tylko Klara czuła, że jest coraz słabsza i albo zaraz zaśnie na siedząco, albo wypije kawę i jakoś się pozbiera, może więc szybko coś łyknie. Wiedziała już, że nic nie będzie mówić Wiołce, jej wszystkie postanowienia są nieważne, teraz jest tylko ciężka głowa, język spuchnięty od palenia i szparki oczu, które już nie chcą patrzeć na świat. A w środku cyka zegar strachu. Zbliża się północ.

- Powiem wam, co widzieliśmy dzisiaj na waszych łąkach. - Chwilowe milczenie przerwał Adam. - Niespotykany widok, i gdyby nie Ewa, która widziała przecież to samo co ja, to chyba bym nie uwierzył. Leżeliśmy sobie w jakiś chaszczach, a obok nas taką wydeptaną ścieżką szedł facet z niedźwiedziem i ksiądz. Rozumiecie coś z tego? Facet coś pokrzykiwał jak nawiedzony, niedźwiedź, nawet nie taki duży, szedł przy nim jak pies, a za nimi dreptał ksiądz w sutannie, wysoki, chudy...

- Stary, może miałeś jakąś kolejną malarską wizję... niedźwiedzie... - zaśmiewała się Bożena. - Niedźwiedzie to są w lesie, w zoo albo w książkach, to musiał być pies, daj spokój... Zakochałeś się, to ci się trochę miesza w głowie. Zresztą Chagall miał zwidy z latającymi krowami, to czemu ty nie miałbyś widzieć spacerujących niedźwiedzi? Wy, artyści, macie halucynacje we krwi.

- Nie, nie, mówię poważnie, to był autentyczny niedźwiedź. Scena rzeczywiście mocno malarska: zachodzące słońce, łąka drży od owadów i ta dziwna trójka. Chyba to namaluję...

Klara szybko zalała sobie kawę, ukradkiem połknęła małą tabletkę, na wszelki wypadek jakby coś ją miało

196

rozboleć. Pójdzie jutro jeszcze raz do lekarza, jakoś za szybko się męczy, ale opowieści o zwierzętach kochała od dziecka, zainteresowała się więc i szybko wtrąciła.

- Niedźwiedź... To nawet by się dało jakoś wytłumaczyć, może coś kręcili w okolicy, film, czy coś. Ale co powiesz na Dantego? Pies, który przypląnął do mnie na pniu drzewa, gdzieś het ze środka morza... Choć teraz to już wcale nie wydaje mi się dziwne, tylko normalne, to jest mój pies, po prostu znalazł się i już.

Stół skupił wszystkich bliżej siebie, zaczęto rozmawiać przytłumionymi głosami, muzyka przestała grać, świece migotały lekko poprzez papierosowy dym, dodając magii tym opowieściom.

Wiolka zerkała na Karola, był już mocno wstawiony, ale jeszcze łagodny. Myślała o tym księdzu, którego widział Adam, i o tym, który był u nich w domu. To musiał być ten sam, chudy i wysoki. Ale z tym niedźwiedziem to raczej przesada, i fakt, że pies przypląnął do Klary. Ona zawsze miała bujną wyobraźnię, a historie ze zwierzętami wypełniały jej życie. I chyba nigdy Klara nie przechodziła obok nich obojętnie, nie potrafiła.

Kurę, znaną w samym środku miasta, zwyczajnie złapała i zawinęła w kurtkę. Zziębnięta przyjechała do nich, nie wiedząc oczywiście, co dalej robić z takim opierzonym stworzeniem. Filip zawiózł ją do schroniska dla zwierząt, a tam obiecali, że oddadzą ją komuś, kto ma wolno biegające kury, jakieś podwórko wiejskie

197

i kurnik. Klara upewniała się potem telefonicznie, czy znaleziona kura nie wylądowała w rosole. Wszyscy się wtedy z niej śmiali, ale ona potraktowała tę kurę jak początek przemiany.

Wówczas przestała jeść mięso, a historii ze zwierzętami przybywało, jakby przyciągała do swego nadwrażliwego serca wszystkie zwierzaki, czy też jakimś nadnaturalnym zmysłem wiedziały one, że właśnie Klara im pomoże, uratuje, a nie zje. Tłumaczyła swój wegetarianizm w prosty sposób. „Nie zabiłam żadnego z tych zwierząt, które macie na talerzach, nie byłabym w stanie, nie mam więc prawa ich jeść”.

Historie z gołębiami można by spisać. W mieście jest ich pełno, a co drugi ptak: chory, stary, a najczęściej po prostu z nogami zaplątanymi w jakieś kawałki nici, sznurki, żyłki, kawałki pasków. Klara często opowiadała o ich fatalnie okaleczonych łapach, o tym, że nie potrafią się same uwolnić, a każdorazowe próby zerwania tych kleszczy własnym dziobem, powodują tylko większy ucisk i brak dopływu krwi do kończyn, które w najlepszym wypadku obumierają, czyniąc gołębia kaleką. Po pierwszym odplątaniem gołębiu, Klara w wolnym czasie jeździła w okolice dworca, gdzie żyła największa gołębia populacja i wyszukiwała te wplątane w jakąś włóczkę. Sprawnie zarzucała przygotowaną specjalnie w tym celu starą koszulę i zasiadała na ławce. Z chirurgiczną cierpliwością wydłubywała ptasie nogi z uwięzienia, a w razie

czego to i plaster przykleiła. Nic sobie nie robiła z ciekawskich spojrzeń: modnie ubrana drobna blondynka i stary, szary gołąb ze świdrującymi ślipiami.

198

Kiedys przyniosła do Gawronów małą myszkę. Zwykłą polną myszkę, którą znalazła pod ich blokiem. Coś szeleściło obok śmietnika i wzywało ją, tak opowiadała. Był to odgłos foliowej torebki, która uwięziła zwierzę. Niefortunnie weszło do środka i nie umiało się uwolnić. Pewnie skusił je zapach jedzenia, który wciąż utrzymywał się w torebce. Klara przełożyła myszkę do pudełka po papierosach i zaniosta Gawronom, niech dzieci zobaczą. Wiolka się wtedy wściekła, wykrzyczała Klarze prosto w twarz, że robi z siebie dziwaczkę i czy pomyślała o ewentualnych chorobach przenoszonych przez zwierzęta.

Od tego wieczora Klara nie przychodziła już do Gawronów tak często, a kiedyś robiła to prawie codziennie, usypiała Wojtusia i Marysię wymyślanymi przez siebie bajkami - najlepsza była o rybce, która chciała wyjść z wody i żyć na lądzie. Niteczka chyba. Tak. I w końcu jej się udało, wyrosły jej nóżki i stała się zieloną żabką, ale wciąż nie była szczęśliwa pośród innych żabek, aż zwykły pastuszek pocałował ją, bo się w niej zakochał, i przemieniła się w piękną dziewczynę. Wzięli ślub i żyli długo i szczęśliwie. „Bo nigdy nie wiadomo, dokąd zaprowadzą marzenia i jak przemieni się świat, a ty wraz z nim”. To była ładna bajka, nie jakieś dziwactwa jak z tym Abrahamem, na których świat zbudował cywilizację - zgroza.

Myśli Wiolki wskoczyły na nowy tor, kazały jej szybko się odezwać.

199

- Dla mnie najdziwniejszą rzeczą, jaką dzisiaj słyszałam, a właściwie czytałam, jest biblijna opowieść o Abrahamie i Izaaku. Znacie to? Jeśli za początek cywilizacji ludzie wybrali sobie, po bratobójstwie, motywy dzieciobójstwa, to nie spodziewajmy się, że wyniknie z tego coś innego niż zbrodnia i permanentny stan wojny.

Ją samą zdziwiło, że zaczęła o tym mówić, widocznie poruszyła ją ta historia bardziej niż przypuszczała.

- Kierkegaard twierdził, że to najwyższy poziom rozwoju człowieka. Przekroczyć wszelkie ludzkie kodeksy, nawet uniwersalne prawa moralne, i oddać się boskiemu prowadzeniu, nawet gdyby to miało wyglądać na szaleństwo. - Filip próbował uporządkować to, o czym mówią, odnieść do czegoś, o czym już ktoś pisał, co już jakoś zbadano i próbowano zrozumieć. - Możliwe nawet, że psychozy to jest jakiś eksperyment natury, która szuka nowych możliwości dla człowieka, żeby w końcu pokonał rozdzielanie na dobro i zło. A ty, Adamie, skoro już zacząłeś grzebać się w grzechu pierworodnym, to pamiętaj, że w Ogrodzie Rajskim było jeszcze jedno drzewo, nie tylko Poznania Dobra i Zła, ale też Drzewo Życia. Chyba największa tajemnica. Drzewo, którego Bóg kazał strzec aniołom z ognistymi mieczami, wiedząc już, że człowiek jest bardzo zuchwały i pewnie będzie próbował się do niego dostać. To tak jakbyśmy jako gatunek ludzki, homo sapiens, mieli przekroczyć jeszcze jakiś próg na drodze ewolucji, nie tylko zaczęliśmy rozumować i moralizować, dzieląc rzeczy na dobre i złe, ale także... Nie wiem... że jest jeszcze coś większego, jakaś najpotężniejsza tajemnica życia w ogóle, od samej podszewki... Cała filozofia jest

właśnie próbą przebicia się przez jakieś

200

bielmo, które mamy na oczach. To, że to wszystko się jakoś kręci, Ziemia się kręci. Rodzi się i umiera, i w tym człowiek, który musi pytać, po co? Jak aktor zupełnie nieprzygotowany do występu, amator, który nie pamięta sztuki, w której występuje i musi improwizować. I ciągle bredzi jak opętany: po co? Po co?

Filip urwał, bo jak ciągnąć to dalej, skoro nic nie wiadomo, a pytania tylko się mnożą. Może rzeczywiście powinien poważnie zabrać się za medytację, poszukać jeszcze innej drogi, uwolnić się od pytań?

Znowu nastąpił moment ciszy, przerywany tylko zapalonymi papierosami i odgłosem otwieranych drzwi, przez które Dante kierował się do swojej królowej. Za nim weszła Ewa. Postanowiła sprawdzić, co spowodowało ciszę.

Po co? Po co? Bożena знаła to pytanie, nie znała tylko odpowiedzi... Dzisiaj nie zawahała się jednak zapytać głośno.

- A po co są na świecie homoseksualiści? Bo wiadomo, mężczyzna i kobieta to do siebie zwyczajnie pasują, jest seks, miłość, zlepiają się niczym puzzle i powstaje obrazek, owoc miłości - dziecko, ale homoseksualiści? A przecież wiadomo, że to jest stały procent populacji i homoseksualizm występuje także w przyrodzie. Tylko powiedzcie mi, po co?

Rzuciwszy to prowokujące pytanie, trochę się przestraszyła, ale może nigdy więcej taki moment się nie powtórzy, może ona nie odważy się zapytać. Mogłaby oczywiście powiedzieć dokładniej, o co jej chodzi... że to jest jej osobisty dramat i ciężar. Nie tylko o tym, że postanowiła go ukryć przed światem, przybierając maskę

201

starej panny, niby feministki, tak naprawdę nie wiedząc, dlaczego musi być inna i dlaczego ją samą to przeraża i nie dziwi się ludziom, że w duchu nie tolerują homoseksualistów i rzucają się z nienawiścią na te ich marsze i żądania. I nie chcą widzieć facetów trzymających się za ręce albo mam zapładniających się dziwnymi sposobami, by dzięki przypadkowej spermie mieć dziecko z drugą kobietą.

- Wiesz, Bożena, to jest i proste, i trudne. - Filip zaczął, choć sam nie wiedział, co jej powiedzieć. - Tak już jest, więc musi być w tym jakiś sens, trzeba by zapytać jakiegoś geja, jak oni to widzą. Psychologia sobie w sumie z tym nie radzi. Wciąż nie wiadomo, czy to zwykły wpływ wychowania, czy może geny determinują naszą seksualność, a może homoseksualizm jest dla natury mechanizmem chroniącym przed przeludnieniem...

Takie tłumaczenia nie zaskoczyły Bożeny. Co oni mogą o tym wiedzieć? Nic... Przecież ona próbowała kiedyś... z Wiktorem, ale to było, jakby kazać leworęcznemu arcy mistrzowi skrzypiec grać prawą ręką. Czuła wtedy, że to się kupy nie trzyma, a jej pragnienie miłości rozbija się w jakieś karykatury... Że jakiś belfer, który pozjadał wszystkie rozумы, każe jej koślawić litery, byle tylko używać prawej ręki, kiedy

lewa aż swędzi i pragnie wyrafinowanej kaligrafii. I to szybko: „Przestań, Bożena, jestem gejem”. On też? I zamiast w tym wyznaniu znaleźć brata, spowiednika, podobnego do siebie człowieka, zamiast tego rzuciła mu w twarz ostre: „frajer”. Wtedy też jeszcze głębiej zeszała ze swą nienawiścią do siebie. Stopień w dół, najniżej, jak się da, do jakiejś

202

potwornej piwnicy, pełnej strachu i wstydu. Powoli znikąca w tym Tartarze.

- A moim zdaniem - Klara wybudziwszy się widokiem Dantego, ciągnęła myśl Filipa - to chodzi tylko o miłość, która nie ma ani granic, ani definicji, ani chyba tak naprawdę celu... A że ludzie zawsze coś wartościują, to już inna sprawa. Mamy normy, bo tak jest wygodniej, ale nawet ten Abraham też chyba szedł za głosem miłości, nawet w zbrodnię... Nie wiem, miłość jest... - Klara przerwała i już ze śmiechem ciągnęła: - nie wiem czym.

Śmiała się sama z siebie, że próbuje wytłumaczyć coś, czego przecież nie rozumie, nie zna, bo nigdy tak naprawdę nie doświadczyła. Przypomnieli jej się wszyscy mężczyźni, ustawili się w długim szeregu i jednocześnie wskoczyli do łóżka. I tylko słodka amfetamina we krwi pozwoliła jej zaśmiać się, kiedy oczy chciały płakać.

- Miłość... - tym razem Magda postanowiła wtrącić coś od siebie i postawić te naiwności Klary na baczność. Widziała jakby z dystansu, że nie można mówić o miłości, gdy jest się młodym, ładnym, poszukującym, zdrowym, mającym jeszcze możliwość wyboru i zapał, naiwny zapał, no i złudzenie celu.

- Miłość to największa fatamorgana, Klara, zapytaj swojej matki, czy kocha męża. Zresztą, nie musisz, sama mówiłaś, że oni po prostu żyją obok siebie. Nie w miłości, nie w przyjaźni, raczej w rutynie i strachu, bo poza tym nie ma nic, a jeśli coś jest, to oni się tego boją. Przecież tak mówiłaś. Miłość to nie jest żadna konkretna sprawa dotycząca kogokolwiek indywidualnie. A ludzie to nie są porozrzucane połówki, gdzie tylko jedna jedyna pasuje do drugiej. Właściwie to każdy mógłby być z każdym, tylko

203

tak się przypadkowo dzieje, że Wioletka jest z Karolem na przykład. Sorry, kochani, ale szczerze mówiąc, to równie dobrze Wioletka mogłaby być z każdym innym facetem... No, tak myślę, może bluźnię, zwłaszcza, że zdecydowałam się na ślub. Ale naprawdę tak myślę, nie miłość jest ważna tylko decyzja. Zamiast mówić „kocham cię” lepiej mówić „decyduję się być z tobą, bo nie chcę być sam”. Wtedy byłoby prościej, bez szaleństw, uczciwiej.

Filip poczuł gorąco w całym ciele, nigdy nie podejrzewał Magdy o takie myśli. O takie wyrachowanie. Coś się z nią działo ostatnio, stała się surowa i chłodna, a to do niej niepodobne.

- Magda, nie chcę ci niczego narzucać - zdecydował się na publiczną walkę o miłość, a tak naprawdę o jej miłość do niego. Może miłości nie ma, ale Magda powinna go kochać. - Może każdy mógłby być z każdym, ale jednak coś powoduje, że decydujesz się być z kimś konkretnym, a nie z kimkolwiek? Przecież jednak istnieje coś takiego jak zakochanie i jest to uczucie raczej irracjonalne, i nie ma nic wspólnego z

wolnym wyborem, czy potrzebą znalezienia sobie towarzystwa.

Ewa przyglądała się Adamowi, który zastygł, starając się pojąć, o czym mówi tych dwoje. Przecież kochają się już od kilku lat, postanowili wziąć ślub, są szczęśliwi... W ogóle nie doceniają tego, czego on szukał tak długo. Zawsze muszą wszystko udziwniać.

Adam przytrzymał dłoń Ewy leżącą na jego ramieniu, by się upewnić, że to jest jedyna dłoń na świecie, którą może całować i chce całować przez całe życie, i nie ma drugiej takiej. Starał się coś wtrącić, ale Filip z Magdą już weszli w swój typowy spór na oczach publiczności.

204

Wiedzieli, że gorszą tym pozostałych, którzy nie chcą uczestniczyć w ich intymnych nieporozumieniach, ale i tak nie mogli się powstrzymać.

- Filip, przestań, jeszcze może mi zaraz powiesz, że myślę nielogicznie i mam ukryte założenia. Może nie mam racji, nie wiem, ale mam prawo sobie myśleć, co mi się chce, w tym jestem wolna. I nie przypuszczałam, że ty, taki indywidualista, nieskrępowany stereotypami, będziesz próbował bronić największego mitu ludzkości. Przetrzyj oczy - miłość to stan, który ma ci pomóc w prokreacji, zaczernić umysł podnieceniem przed tym żenującym zadaniem. Potem bardzo szybko jest tylko obowiązek, dzieci i tak dalej, a na końcu śmierć. Wcale się pod tym względem nie różnimy od zwierząt, tylko one się nie wstydzą kopulacji, a my tak, bo rozum wie, do czego to prowadzi. Dlatego to musi być intymne i ubrane w złote szaty miłości, kiedy tak naprawdę król jest nagi. Bo zwierzęta nie myślą, po co to wszystko, po co świat, i jaki jest cel ostateczny, a my myślimy, drążymy i gdybyśmy tylko przestali naiwnie mówić o miłości, to byśmy zrozumieli, że nie ma sensu ani rodzenie się, bo trzeba umrzeć, ani chwile szczęścia, bo będzie też i cierpienie. Zrozumieliśmy, że gdy się raz spytało o sens tego wszystkiego, to już się przestało żyć. Zgadzam się, że jesteśmy jak aktorzy, którzy grają w sztuce, tylko nie wiedzą, o czym ona jest. Ale ja wiem, o czym jest ten cały teatr - o niczym. I nie ma co z tego powodu płakać ani się śmiać, trzeba tylko sobie to uświadomić, że to jest spektakl o niczym i nie ma żadnego reżysera ani publiczności, i że można opuścić ten teatr albo występować

205

dalej, tylko bez oczekiwania na szczere oklaski. Po prostu trzeba improwizować...

Magda pędziła dalej i dalej, płacząc się, gubiąc wątek, co jeszcze bardziej ją irytowało, bo tego zawsze czepiał się Filip, że jest chaotyczna i nie wiadomo, o co jej chodzi.

Filip przerwał jej jednak i to inaczej niż zwykle, zrobił się poważny, wstał... Wytrzymał moment ciszy i spojrzenia skierowane w swoją stronę. Łagodnym głosem spytał Magdę, czy go kocha... Magda spłoszona takim obrotem rozmowy, która nie chciała się przemienić w zwykłą znaną jej konfrontację, zwyczajnie się zacięła. Nie wiedziała, co powiedzieć. Skąd mogła wiedzieć, czy go kocha, skoro nie wierzyła w miłość.

- Kochasz go?



Niespodziewanie Klara powtórzyła pytanie Filipa, a po niej kolejno pytali wszyscy - blokując tym samym gardło Magdy, która czuła, że jest otoczona przez gromadę wilków, czekających tylko na jej ruch, by zacząć ją gonić i pożreć. Kochasz go, kochasz go, kochasz? Lepiej więc stać, przetrzymać ich... udać martwą.

- Kochasz go, czy nie? - Ewa zapytała jako ostatnia. A Magda tylko się rozplakała jak małe bezradne

dziecko, bo co mogła powiedzieć, że tak, kocha go, ale nie wie, jak długo i czy wystarczająco mocno, że czasem jej myśli wariują. A może miała z zimną krwią wyznać, że go nie kocha i upokorzyć go tym przy wszystkich. Przecież to nie w kochaniu jest sedno sprawy.

- Dobra, przestańcie! - Filip poczuł jej zagubienie, a może nie chciał słyszeć takiego wyznania publicznie. - Dla mnie najważniejsze jest, że chcesz być ze mną i jakkolwiek będziesz to nazywać, to ja chcę w tym

206

widzieć miłość. Normalną, staroświecką miłość, bo inaczej byśmy wszyscy zwariowali, a jeśli nie chcesz ślubu, bo może o to ci chodzi, to nie ma sprawy. A może nawet tak by było lepiej, nie mieszać w to całego świata z kościołem, urzędem, świadkami i obietnicami na czele. Jeśli chcesz, to pobierzmy się dopiero na starość, gdy już przejdziemy wszystko, co ma nas spotkać i to dobre, i to złe. Dopiero na łożu śmierci. Wtedy się okaże, czy to rzeczywiście była miłość i zrobimy najhuczniejsze wesele - z wdzięczności, że nam się to przydarzyło. Pobierzmy się na czekającą nas wieczność bez ciał, pobierzmy się, by uświęcić przeszłość, zamiast przysięgać, że przyszłość będzie taka, a nie inna, co przecież jest zwykłym bluźnierstwem, wygrażaniem Bogu, który tylko śmieje się z naszych planów i oczekiwań. Teraz, gdy myśli mieszają się z uczuciami, a instynkty z wolną wolą, nie jest to dobry moment. Pobierzmy się, gdy już nic nie będziemy mieli sobie do zaoferowania, tylko rozstanie...

Magda przestała już płakać i malutkim uśmiechem podziękowała Filipowi. Nie pojmując tego, co mówił, poczuła, że właśnie to pragnęła usłyszeć. Klara tylko westchnęła, targając ucho Dantego, to musi być prawdziwa miłość ze ślubem na łożu śmierci. Rozmarzyła się.

Znowu popłynęła muzyka, ta sama płyta, lecz teraz można było usłyszeć, o czym są te melodie. O miłości. O tym, że każdy kocha i pragnie tego bardziej niż czegokolwiek innego. O miłości, która nie ukrywa się ani pod taflą pożądań, ani w gęstwinie obowiązków, ani w przyrzeczeniach niemożliwych do spełnienia, ani w goryczy duszących zdrad, ani w zapatrzeniu w dziecko

207

zmieniające się przez życie, ani w celowym rozchylaniu się kwiatu, by dać się ponieść wraz z owadami i wiatrem, ani w modlitwie do milczącego Boga, ani w Bogu, który szuka powiernika, ani w rozkoszy zaskakującej lekkim ukłuciem, ani w kosmosie pędzącym w bezruchu, ani w kształtach, ani w kolorach, ani w dłoniach, ani w oceanach...

Znowu coś poruszyło się w tym małym mieszkaniu. Wrócono do normalnych rozmów, by zakryć największe tajemnice serca...

Klara nie powiedziała nic o zdradzie, której żałowała, ani o fatalnej chorobie, z którą jutro zamierzała się zmierzyć, poddając się lekarzom i zabiegom, bo zwyczajnie chciała żyć.

Bożena planowała, w jaki sposób rozwinąć swoją firmę edukacyjną. Może to ona zatrudni Piotra, przecież jest świetnym lektorem. Żałowała tych słów o homoseksualizmie i wiedziała, że więcej nie będzie próbować mówić na ten temat, że może panować nad sobą tak doskonale, jak to robiła do tej pory, a Klara jest tylko jej przyjaciółką i nie można tego zmienić.

Piotr upijał się dalej, a zerkając na Magdę, żałował, że tak się spóźnił, i nie wiedział, jak do niej dotrzeć. Nie wierzył, że ona nie wyjdzie za Filipa, nawet jeśli opowiadała, że każdy mógłby być z każdym, to na pewno nie mogłaby być z nim - z Piotrem, z żalonym anglistą, który coraz bardziej ryje - skoro ma przy sobie przystojnego,

208

inteligentnego i romantycznego faceta. Cóż on mógłby jej zaoferować? Finansowe problemy? Spekulacyjne szukanie żony z kasą? Poddańcze asystowanie Wiktorowi? Jakiś flirt? Kochać się z nią mógł tylko w wyobraźni. Pożądał jej za to jeszcze bardziej - i nienawidził jednocześnie. Myślał też o Klarze i o tym, dlaczego im nie wyszło. Przecież każdy mógłby być z każdym, a Klara jest piękna, szalona, namiętna.

Ewa mocniej zacisnęła ramiona wokół szyi Adama, wtulając się w jego zapach, była szczęśliwa. Tańczyli razem, a może po prostu pozwalali muzyce snuć się wokół

ich pragnień.

Wiolka próbowała przekonać Magdę, że wszystko się ułoży, gdy tylko urodzi dziecko. Przystanie szaleć i szukać nie wiadomo czego, a przede wszystkim nie będzie już dręczyć Filipa, bo będzie matką, a on ojcem, i wszystko im się przewartościuje. Przyznała jej rację, że właściwie lepiej mówić o decyzji i odpowiedzialności niż o miłości, bo ta się zmienia. Jeszcze czymś innym jest kochanie swoich dzieci i że to jest największa miłość, jakiej kiedykolwiek doświadczyła.

Na balkonie Filip wypatrywał gwiazdy. Szybko dojrzał ją wśród innych, świeciła tak różnobarwnie, że na moment zapomniał o wszystkim. Dopiero Piotr, gaszący papierosa w doniczkę, wyrwał go z niemyślenia. Właściwie nigdy wcześniej ze sobą nie rozmawiali, to był tylko Magdy kolega ze studiów.

Filip nie spotkał nigdy takiego faceta, który by mu prosto w oczy powiedział, że ma wspaniałą kobietę, godną zazdrości. Próbował go łapać za słówka i tłumaczyć, że na pewno jej nie ma, że ona jest i zawsze będzie wolna,

209

co tylko rozśmieszało Piotra. Był podпиты i odurzony bliskością Magdy. Ale Filip uparcie twierdził, że nawet jeśli ją kocha i mieszkają razem, to on jej nigdy nie zniewoli i że pomysł ich ślubu był naprawdę

bez sensu, a on będzie ją kochał, nie mając żadnej gwarancji ani jej wierności, ani miłości.

- A gdyby się ze mną przespała? - Możliwość głośnego wymówienia swojego pragnienia nieco otrzeźwiła Piotra.

- Gdyby się z tobą przespała? Nie wiem, pewnie nadal bym ją kochał, może byłbym wściekły, ale dalej bym ją kochał.

- A gdyby się ze mną przespała i chciała ze mną zostać? - Piotr prowokował dalej.

- Co ty bredzisz? Masz coś do niej? Podoba ci się, tak? Odpierdol się od nas.

Filip poczuł, że Piotrek się z niego nabija, robi z niego idiotę! Nie chciał, żeby takimi prowokacyjnymi żartami naigrawał się z niego.

- Obrażasz w ten sposób Magdę! - Tym stwierdzeniem tylko rozśmieszył Piotrka, który gestem umykania rąk próbował się wycofać z drażliwego tematu.

Filip sam nie wiedział, kiedy zawołał Magdę na balkon. Skoro o niej rozmawiali, niech utnie te pijackie niedorzeczności.

- No, sam ją zapytaj!

Teraz to Filip prowokował, czuł też, że może w ten sposób potwierdzić jej miłość po tych wszystkich niepotrzebnych dyskusjach. Piotr śmiał się pod nosem, zakrywał twarz dłonią, nie chciał tego dalej ciągnąć, upił się i tyle.

210

- O co ma mnie pytać? - Magda zaciękała się.

- Czy byś się ze mną przespała, wiesz, sama mówiłaś, że właściwie każdy mógłby być z każdym... - Piotr plątał się w tłumaczeniach, czuł się coraz bardziej idiotycznie.

- A podobam ci się, pociągam cię?

Zaskoczenie znowu zaatakowało Filipa falą gorąca. Po co ona ciągnie tak żenujący temat? Piotr poczuł się nagle bardzo blisko Magdy, to jedno pytanie uderzyło go swą intymnością, tak jakby rozmawiali sami, szczerze, bez Filipa i całej tej sprowokowanej gry, tak jakby od tego momentu był już tylko z nią i zaczynał nową historię. Magdalena... Skąd się biorą takie kobiety-koty?

Spowaźniał.

- A jeśli ci powiem, że podobasz mi się do szaleństwa i że zawsze o tobie marzyłem...

- A powiesz?

Cała trójka zastygła w milczeniu. Filip poczuł się dobity i to jakby na własne życzenie. Ukochana, która

przyznała się, że nie ma z nim orgazmu, nie chce brać z nim ślubu, dla której zdobył się na największe wyznanie miłości, teraz na jego oczach rozpoczyna flirt i czeka na potwierdzenie swej atrakcyjności.

Magda też była przerażona sposobem, w jaki mówi. Więc to tak wygląda, tak, jak opowiadała Klara. Jest taki moment, w którym coś się dzieje samo, bez względu na konsekwencje, bez względu na wstyd, który przyjdzie, i żal, że się stało. Kieruje tobą coś, czego się boisz, ale jeszcze bardziej pragniesz. Jest takie spotkanie kobiety i mężczyzny poza czasem i przestrzenią, gdy od niechcienia porzuca się cały świat, by stać się światem.

211

- Lepiej nic nie mów - Magda zatrzymała Piotra, który wahał się, jak ciągnąć to dalej. - Ja powiem. To ty mi się podobasz, nawet tak do szaleństwa, poczułam to przed chwilą, mogłabym oddać ci się nawet tu, na oczach Filipa - głos zaczynał jej drżeć, myśli galopowały, nie mogła ich zatrzymać. Chciała mówić dalej, byle wyrzucić to z siebie. - Właściwie to każdy mężczyzna na świecie mi się podoba. Są takie momenty, że do każdego możesz się zbliżyć, osunąć na kolana, by dać się kochać. Ale ja wybrałam Filipa, nie dla jakiejś konkretnej przyczyny, bo namiętność mogłaby wybuchnąć wszędzie, ale ja go po prostu wybrałam.

Przerwała, bo nie wiedziała, czy Filip ją dobrze zrozumiał.

- Nie wiem, Filipie, czy takie wyznanie miłości, bo to jest wyznanie miłości, bez mówienia Kocham cię, a za to z przyznaniem, że mogłabym kochać się z każdym mężczyzną, bo wszyscy mamy dostęp do czystej namiętności, czy to ci odpowiada? Ale to jest moja miłość, moja prawda, możesz z nią zrobić, co zechcesz. I chyba tylko to chciałam ci powiedzieć tej nieciekawej nocy. Wiesz, co mam na myśli, choć sama nie wiedziałam, jak to wyrazić. I pomimo tego, że każdy mógłby być z każdym, ja jestem tylko z tobą, bo cię po prostu... lubię.

Filip nie patrzył na Magdę. Myśli o upokorzeniu i walce kotłowały się w jego głowie. Nie poznawał ukochanej, ale zdawał sobie sprawę, że to jest jakiś decydujący moment, gdy Magda wyznaje mu coś, co jest większe od niej, a on albo to uniesienie, albo nie. Ale przecież ją kocha... więc wszystko wytrzyma. Złapał ją mocno za rękę i przyciągnął do siebie. Kocha ją, ale niech już więcej nic nie mówi.

212

Rozbawiona głowa Karola zajrzała na balkon. Właśnie kupił wódkę w nocnym sklepie i szukał Piotra, jedyne chyba, z którym można było normalnie wypić. Bo ta cała reszta to... phi, baby tylko marihuanę ciągną, a tych dwóch to jakiś dowcip czy co? Adam z nową laską, to może nie chce się upijać, zależy mu, ale Filip? Wszystko przez te buddyzmy, coś mu pieprznięto pod czaszką i chce być zawsze trzeźwy... świadomy... Po co?

Picie we dwóch jest trochę denerwujące, a Wioletka poprosiła tylko o drinka, no to co zrobić. Kiedyś to się piło. I wtedy, gdy... Pamiętasz? A potem u tego... Pamiętasz? Ale było chłanie... A konkurs? Też się piło. I żeby temu zasranemu, kurwa, Wiktorowi, nogi z dupy wypadły. Ale ty mi, bracie, pomogłeś... Ty, kurwa, a i tak dupa z tego... Gównu, lepiej było tłumaczyć dla Wiktora, to byś przynajmniej miał w CV -

współpraca przy zwycięskim projekcie, a konkurs wielki, międzynarodowy - a tu chuj z bieżni zleciał, trzeba się go było trzymać, a miał przyjść dzisiaj, że go też, nalej...

Ty się tak, nie, no, wiesz... Nalewam, już... sio, sio... Ci powiem, on to się boi, ja ci mówię, wiem... bo widziałem. No co, no co - gana ma w szufladzie, coś mnie kiedyś podkusiło, to zajrzałem, normalny, wiesz, ja pierdolę - pistolet. No to po co mu? Boi się, ale się urządził, baardzo się boi... poseł Partii Walczących o Pokój, sio...

Teraz jest ten moment - bracia od wódki, bracia od nienawiści, gdyby mogli, to by sami strzelili w głowę Wiktora. Nie muszą, ktoś to ma zrobić. Za nich? Wiktor się pobrudził, już od samego początku zaczęło śmierdzieć wokół niego. Nie wiedział, jak się umyć, a życie brudziło go dalej...

213

Wiolka nie wiedziała, co zrobić, patrzyła na Karola po pijacku stoczonego już na dno byle czego, by za chwilę wybuchnąć, otrzepać się z błota i rzucić na nią, bo jest zawsze najbliżej. Wiolka nawet nie nienawidziła swojego męża, raczej się go bała, modliła się w duchu o szybkie wyparowanie alkoholu i o to, żeby nie musiała zostawać z nim sama. Może by Klara z nią posiedziała, ona wszystko rozumie, albo Bożena. Od piwa to mu się tak nie mieszało, ale wódka była straszna, spirytus - duch nieczysty.

Przypomniało jej się poranne spotkanie z księdzem. Karol zachowywał się wtedy, jakby był zalany wodą - zwymiotował, ale przecież nie pił, nie pił, jest pewna. Wybiegł potem tak szybko. Po pracy był normalny, zwyczajny. Może spróbować go odciągnąć? Przecież jutro będzie musiała sama jechać po dzieci, a on będzie dochodził do siebie, z bluzgami i chrapaniem, spocony i uświniony na oczach dzieci. Zostańcie w pokoju, bawcie się tam, dobrze, dobrze, zaniosę wam telewizor. Ilu Karolów jest w jednym Karolu? Gdzie jest ten, którego kocha? Jak pozbyć się tych podszywających pod niego tych - obcych?

Widok jej własnego ojca jak duch stawał jej przed oczami.

Pomysł Ewy zdawał się być bardzo dobry. Trzeba wyjść, przewietrzyć się, zostawić otwarte okna i dać mieszkaniu odetchnąć. Była majowa noc - ktoś zawiesił w górze księżyc z siwą głową i jednym okiem, a tuż obok przykleił gwiazdę, która przestała już dziwić, czasem tylko ktoś zachwycał się jej urodą.

Dante też miał ochotę wyjść. Na łąkach na pewno już rosa, więc będzie biegał i węszył, bo tyle jest opowieści leżących wprost pod nogami.

214

Piotr tylko szturchnął Karola... Idziemy? Idziemy... Zajdzie się do nocnego... Idziemy. Jeszcze mieli siłę. Jednak coś postanowiło ich dzisiaj powalić i uderzając w głowy, odebrać świadomość.

Wiolka, Bożena z Klarą, Klara z Dantem, Adam i Ewa... Filip za Magdą, śpiew na końcu, melodia z dzieciństwa, wołanie utrudzonego dorosłego - jestem sam, wódko, gdzie jest moja mama, gdzie mój anioł, moja droga?

Łąka chciałaby zatrzymać nocnych gości z miasta, podsunąć im coś ciekawego i zachwycić. Pozwala wchodzić w siebie dalej i dalej, niech przedrą się do jej serca, a gwiazda wskaże im, którędy iść. Nie, nie po ścieżkach, najlepiej przez dzikie trawy.

Tylko Dante wie, jak należy chodzić po łące, jak zataczać elipsy i spirale, jak odnaleźć labirynt. Odbiega co jakiś czas od Klary, chciałby być jej przewodnikiem, bo ona źle prowadzi, po prostej ścieżce. A na dróżce jest coś niepokojącego - groźny zapach wielkiej samicy. Mógłby z nią walczyć, gdyby było trzeba. Ci ludzie są już zmęczeni. Dlaczego nie zakosztowali wzmacniającej drzemki przed taką wyprawą? Nie wiedzieli, że trzeba mieć siłę, by chodzić po łące, i czyste zmysły, by znaleźć dobre przejścia?

Gdzieś w oddali widać strzelające światło, to pewnie bezdomni palą ognisko. Coś bezmyślnie ciągnie grupę do tego żaru - teraz już widać sylwetki ludzi. Lepiej nie podchodzić zbyt blisko. Wystarczy popatrzeć z daleka.

Czarna, długa, chuda linijka stoi i grzebie w ogniu kijem, obok dwie wtulone postacie. Barczysty mężczyzna

216

obejmuje kobietę. Kobietę? Patrzą w ogień, a światło rozbłyskuje na twarzy staruszki owiniętej kocem, wtulającej się w brodę swego bezdomnego towarzysza... Syna?

Brata? Kochanka?

W ich spojrzeniu jest taka siła, że nawet odważny Dante wstrzymuje łapy przed kolejnym krokiem, a grupa skupia się, bo zbliżeni do siebie mniej się boją. Zahipnotyzowani w lęku. Nie podejdują już ani kroku bliżej, nie cofną się też ani o krok.

Wiolka poznaje - to ten ksiądz. Jak to możliwe, że nie zauważyła wcześniej, że on jest zupełnie siwy? Co tu robi? Jest straszny, parę guzików sutanny niedbale rozpiętych obnaża jego nagi, chudy tors. Kij, którym miesza ogień jak wiedźma tajemniczą zupę, odbiera mu całą sakralną powagę, nadaje innego, nieziemskiego wyrazu. Stara kobieta odsuwa się od mężczyzny, potrząsa głową, rozrzucając długie włosy, zrzuca koc i robi krok na przód. Jej nagie ciało z obwisłymi piersiami przestępuje z nogi na nogę. Utykając, uderza w ziemię stopami, by pokazać, że jest silne. Matczyne, instynktowne, odważne, gotowe zabić intruzów.

Dante mógłby z nią walczyć, jest silniejszy, warczy, budzi ukrytą w sobie bestię. Będzie bronił królowej. Jego ogon mimowolnie ujawnia strach, bo samica jest dzika,

a on oswojony.

Ile jeszcze cudów potrzeba, by ratować wszystkich błądzących?

Niewidzialne „Niech!” rzuca Klarę na ziemię. To ból z jej środka chce się uwolnić, musi więc nią wstrząsnąć, powalić, wyrazić się głosem z jej gardła.

217

Gniewna samica zatrzymuje się, przeraża ją śmiertelny krzyk upadającej Klary. Kij przestaje mieszać ogień. Mężczyzna narzuca koc na nagie ciało kobiety. Przytrzymuje ją.

Grupa przyjaciół, milcząc, podnosi Klarę, która sztywnieje rozrywana w głębi brzucha. Rozbiegają się. Komuś kapią łzy. Nie... to rosa...

Biegną bardzo szybko, podtrzymując Klarę. Do miasta? Do domu? Nie - do szpitala. Co ci jest? Boże, co się stało? Co cię boli?

Bożena szaleńczo kieruje samochodem, Klara traci przytomność. Zdążyła powiedzieć... rak... wie od tygodnia... brała prochy, dużo amfetaminy, co mogła - dawała radę.

Szpital. Państwo są rodziną?

Dante biegł za nimi, ile tylko sił. Zniknęli. Został sam, a chciał ją obronić. Nie mógł. Dokąd teraz? Wróci do tego mężczyzny pachnącego metalem, on chyba pojmie, taki silny...

Adam i Ewa wracają przez nocne miasto. Próbuje zrozumieć. Tak, nie, może. Co to? Dlaczego? Jutro pojedą do szpitala. Nie zasną.

Wiolka płacze. Więc mnie zdradziłeś? Teraz mi mówisz, gdy nawet nie mogę jej nienawidzić, gdy się schlałeś i łatwiej się zwierzyć? Najlepsza przyjaciółka! To co, że raz! Więc mam jej współczuć, bo chora? Przestań albo mów, ze szczegółami! Jesteś pijany, obrzydliwy, podły, wracaj do swojej matki, nie chcę cię tu widzieć! Nie wiem! Nie wiem! Zostaw mnie samą! Wiolka odgania ducha pijanego ojca.

218

Piotr prosi Bożenę, by wracali, przyjadą znowu rano. Teraz i tak nic nie pomogą. Potrząsa nią, przyciska jej policzek do swojego, wymieszali swoje łzy.

Metaliczna dłoń gładzi łeb Dantego. Nie ma Klary, nie ma pani, pojechała do szpitala, wróci, wróci, zostaniesz tutaj ze mną, jaki jestem głupi dupek, debil, idiota i kutas, nie bój się, chodź, musimy stąd iść, pojedziemy do Wojtusia i Marysi, pobawicie się rano.

Magda błaga Wiołkę, by nie robiła nic głupiego. Masz dzieci, a to były tylko zwyczajne zwierzęce popędy! Prześpij się, odpocznij, ja zajmę się jutro dziećmi, pojedę po nie, zaopiekuję się tobą! Jeśli chcesz, to zostaniemy tu z Filipem. Nie jesteś sama. Wypij to...

Filip siada na balkonie, prostuje kręgosłup, chciałby wypełnić się pustką... Bierze głęboki oddech - choroby... są choroby. Spokojnie wypuszcza powietrze - cierpienie... jest cierpienie. Kolejny wdech - śmierć... boi się, nie wie, czy da radę. Ona nie umrze, ale i tak kiedyś umrze, i ja umrę. Co za różnica? Pustka nie przychodzi - jest tylko błędzenie.

Wiktor; zdziwiony; upada. Pistolet został w biurze. Więc oni byli szybsi?

Są dwa światy - miasto i łąka. Gdzieś tam jest morze, a jeszcze dalej góry. Miasto jest zupełnie inne niż łąka. Inaczej pachnie. Jest w nim też cieplej, bo miasto jest domem - szklarnią dla egzotycznych roślin, które nie przetrwałyby chłodu łąki, gdyż pochodzą z innego

219

świata, z innej planety. Łąka otacza miasto, a miasto - niewdzięczne - coraz bardziej się w nią wdiera, rozszarpując betonowymi zębami drobne kwiatki, goni żuki i miażdży ich pancerze, przewraca apostołów życia zamienionych w drzewa, bezlitośnie rozprawia się z ziarenkiem piasku, odbierając mu towarzyszy, zabija jego tożsamość.

Łąka tajnymi drogami wchodzi do miasta, zakwita w uschłych sercach, wychładza nienawiść, odmienia oczy, które nie widziały kolorów, przemawia we śnie, ubrawszy się w baśń. Wtedy pozwala zakosztować lotu - z ufnością pulsuje w żyłach...

Daleko, na skraju łąki, są już tylko góry. Tam miasto nie dochodzi. Góry są naczyniem - ogromnym i pustym, by móc pomieścić głos Boga. Echo gór niesie jego wołanie dalej i dalej, zniekształcając po drodze kolejne zdania. Lecz jeśli wyłączy się telewizor - ten w pokoju i ten w głowie - szept niespodziewanie zamienia się w pieśń.

Ale morze zawsze jest blisko - łatwo dostępne - więc miasto często je odwiedza. Można do niego dojechać samochodem, pociągiem, jest wiele możliwości. Morze ogłusza myśli swym szumem, łagodnie otumania i daje zapomnienie, dlatego każdy chciałby mieszkać nad morzem. Morze porusza się, mogłoby podejść do samych gór, mogłoby je zalać, mogłoby spaść falą na miasto.

Nad miastem, łąką, górami i morzem świeci diamentowa gwiazda.

Julia Hoffmann „Dzielnica czerwonych jabłek”

Joanna od dzieciństwa żyje w cieniu siostry, zamiast sprzątać - nałogowo czyta książki Pewnego dnia na jej drodze staje Czapla.

Luiza Piotrowicz „Wszystkie moje matki”

Powieść o kobietach i id kobiecości, o dziedzictw jakie nosimy w sobie i przeszłości, która determinuje nasze działania.

Jutro będzie normalnie

Agnieszka Lis



„Jutro będzie normalnie

Małgośćkę spotkało w życiu już chyba wszystko - sieroctwo, mobbing w pracy, niewierny mąż i jeszcze ta teściowa...